

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Paweł Huelle**

**Pierwsza miłość  
i inne opowiadania**

Tower Press 2000

**Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000**

## PIERWSZA MIŁOŚĆ

Każdej wiosny Dżez szedł do szopy w ogrodzie i wyciągał swój motor. Lubilem jego kolor, lubilem zapach benzyny i smaru, jaki unosił się wówczas nad grządkami, a nade wszystko lubilem Dżeza – wiedziałem, że godziny spędzone w jego towarzystwie, kiedy podtrzymywałem mu śrubki, czyściłem rozkręcone części, przynosiłem papierosy i piwo ze sklepiu Cyrsona, nie pójdą na marne.

Gdy ciemnoczerwona Fumka była już wreszcie gotowa, myliśmy dokładnie dłonie w miednicy, Dżez wkładał skórzaną kurtkę amerykańskiego lotnika, przewiązywał szyję kraciatą chustą i ruszaliśmy z kopyta na pierwszy objazd. Czasami mieliśmy kłopoty z gaźnikiem, Fumka strzelała wówczas strasznie z rury wydechowej, a ludzie pokazywali nas sobie palcami, pukając się w czoło, jakby nie mogli zrozumieć, że Fumka to nie przedwojenny sokół ani tym bardziej harley—davidson. Pod lasem, tam gdzie mieszkała pani Buerger, Dżez robił wiraż jak na żuźlowych zawodach, w powietrzu unosił się tuman kurzu, gdakały kury, czekały psy, byliśmy szczęśliwi.

– Dżez! – przekrzykiwałem szum wiatru i ryk silnika. – Dodaj gazu!

Odpowiadał skinieniem głowy i zaraz potem pędziliśmy jak szaleni, w dół, po piachu, kocich łbach, asfalcie, aż do kasztanów, gdzie czasem wyskakiwała nam furmanka, a wtedy pisk hamulców mieszał się z końskim rżeniem, strzelaniem z bata i przekleństwami, jakich nie szczędził nam woźnica.

Dżez jeździł do pracy dwójką i w stoczni nie zarabiał wiele, dlatego Fumka czekała w szopie na niedziele i święta z takim samym napięciem, jak ja. Jeśli Dżez miał swoje sprawy, zniknął po prostu do wieczora, a jeśli nie miał, zabierał mnie za miasto, w dolinę, nad jezioro, nad morze albo nad kanał rzeki. Nie rozmawialiśmy wiele. Rozciągnięci na piachu, lub w wysokiej trawie, śledziliśmy obłoki. Dżez palił grunwaldy, ja obgryzałem żdźbła lebiody albo ssałem miętówki kupione u Cyrsona. Wiedziałem, że nie ma rodziców. Wiedziałem, że nie skończył szkoły. Wiedziałem, że jego wuj, czy stryj, nie zakończył partyzantki w roku czterdziestym piątym: zdradzony, schwytany przez sowietów, rozstrzelany, zanim zdążyłem się urodzić. Dżez wiedział, że nie lubię szkoły, tej samej, z której go wylali. Wiedział, że nauczyciel przyrody przekręca moje nazwisko, nazywa Szwabem, podejrzewa. O tym więc nie musieliśmy gadać, a jeśli czasem wyrwało nam się jednak jakieś zdanie, najczęściej dotyczyło motorów.

– Taki zindapp – wzdychał Dżez – ma więcej koni niż cztery moje Fumki.

– Zindapp to zindapp – odpowiadałem – ale gdybyśmy mieli hannomaga!

Dżez nigdy nie zaprosił mnie do siebie. Mieszkał w sąsiednim domu, na poddaszu, liście kasztanów przysłaniały jego okno. Zimą widywałem tam światło, do późna w nocy, latem słyszałem, jak przy otwartym oknie gra na altowym saksofonie.

– Dżez – pytałem go czasami – czy ty właściwie grasz w orkiestrze?

Wtedy uśmiechał się tajemniczo i mówił, że ma własną, prawdopodobnie najlepszą nad środkowowschodnim Bałtykiem orkiestrę, jednoosobową. Lubilem jego uśmiech. Była w nim kpina, dystans i serdeczność.

Tamtego roku, kiedy umarła pani Buerger, nasz sezon motorowy rozpoczął się bez zmian. Tą samą trasą podjechaliśmy pod las, tak samo ryczał silnik Fumki, wzięliśmy wiraż, uniósł się tuman kurzu, gdakały kury, czekały psy, byliśmy szczęśliwi. A jednak nie wszystko

było tak jak dawniej i zrozumiałem to, gdy Dżez, zamiast natychmiast dodać gazu i pędzić w dół na łeb na szyję, nagle zatrzymał motor i spytał:

– Widziałeś ją?

– Panią Buerger? – zawołałem przestraszony, nie tyle myśląc o pogrzebie, co nagłym hamowaniem.

– Tę nową, u Cyrsona – odparł spokojnie Dżez. – Jedziemy tam, natychmiast!

Miała na imię Basia i była córką nowego właściciela sklepu. Jej palce, czułe i delikatne, zanurzały się w słoju z landrynami z niepokojącą ruchliwością, zupełnie tak, jakby nie dotykały zlepionej, słodkiej masy, ale klawiszy fortepianu.

– Ja wolę te zielone – powiedział Dżez – a kolega białe.

Nigdy przedtem nie nazwał mnie kolegą. Siedzieliśmy potem pod szopą, ssąc jeden cukierek po drugim. Ich słodycz była nieznośna.

– Dżez – westchnąłem – nigdy nie kupowałeś landrynek!

– Od dzisiaj – wyznał – wszystko się zmieniło.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Basia miała gruby, ciemny warkocz, który spływał jej na ramiona i kończył się gdzieś poniżej pleców, a ja nie lubiłem dziewczyn z długimi warkoczami, przynajmniej tych z mojej klasy.

– Ona wcale nie jest ładna – rzuciłem ostrożnie – i na pewno obgryza paznokcie!

– Niech obgryza – Dżez był kategoryczny. – I tak się z nią ożenię.

– Coś ty! – wyplułem przezroczysty kawałek ostatniej landrynki. – Będzie się bała wsiąść na Fumkę.

Ale Dżez nie myślał już o Fumce i wyglądało na to, że w ogóle nie słucha tego, co mówię. Patrzyłem na mrówki, które jak muchy na płacie mięsa roiły się teraz przy cukierku. Gdzieś od strony zatoki zagrzmiało i suchy, ciepły podmuch wiatru przypominał, że już wkrótce nadejdzie pora upalnych dni.

– Dżez – powiedziałem – to wszystko jest takie dziwne.

Nie odpowiedział. Ciężkie, ogromne krople deszczu wsiąkały w ziemię, pozostawiając na piachu ciemnobrunatne plamy.

Parę dni później spotkałem Basię na dziedzińcu naszej szkoły. Na rękawie białej bluzki miała naszytą czerwoną licealną tarczę. W dłoniach trzymała książkę, którą powoli, spacerując pod murem, kartkowała długimi palcami. Był to pierwszy tom *Popiołów*. Nie wiem, co podobało mi się bardziej – jej brzoskwiniowozłota opalenizna, ciemny, aż granatowy warkocz, palce przewracające kartki czy fakt, że czytała w czasie przerwy, skupiona i nieobecna. Chciałem być blisko niej. Chciałem dotknąć długiego warkocza i brzoskwiniowozłotej skóry jej ramienia, chciałem zapytać, o czym jest ta powieść, czy lubi motocykle, czy woli plażę w Jelitkowie od plaży w Brzeźnie i czy kolekcjonuje płyty, ale nie żadne tam pocztówki, tylko poważne, czarne krążki, tak jak Dżez. Ale nie zapytałem o nic. Tarcza na moim rękawie była niebieska, jak wszystkie tarcze podstawówek, nie czytałem *Popiołów*, a lewe skrzydło gmachu, w którym zniknęła Basia zaraz po dzwonku, było dla mnie niedostępne. Dzieliła nas przepaść i to nagłe odkrycie wypełniło moje serce goryczą. Na szczęście – nie bez reszty. Reszta zajęta była przez wiarę i nadzieję, że jednak, któregoś razu, zwróci na mnie uwagę.

Odtąd każdego dnia po lekcjach wyczekiwałem pod tablicą Jurija Gagarina i kiedy tylko pojawiała się na schodach, ruszałem za nią, aż do domu. Mieszkała w starej, ponemieckiej willi przy Polankach. Kiedy zniknęła za żelazną furtką obrośniętą dzikim winem, dostrzegałem równo przystrzyżony trawnik i małą sadzawkę. Obok naszego czynszowego domu nie było trawników ani sadzawek ze skałkami.

„Mieszka jak w raj” – powtarzałem w myślach. – „Pewnie dlatego nie chce na mnie spojrzeć”.

W końcu wiedziała, że ją śledzę. Nigdy jednak nie zwolniła kroku, nie obejrzała się za siebie, nie zamieniła ani słowa. Byłem już zniechęcony. A przecież nie potrafiłem zrezygnować.

Do rozpoczęcia wakacji pozostawało ledwie parę dni. Miałem nadzieję, że jednak coś się zdarzy. I rzeczywiście – było to w sobotę – kiedy żelazna furтка zamknęła widok do ogrodu i kiedy stałem, tak jak zawsze, jeszcze przez parę chwil na chodniku, żeby zachować obraz lusterka wody, w którym odbijał się tatarak, alpejskie kwiaty i długi, czarny warkocz, niespodziewanie nadjechała Fumka, a na niej roześmiany Dżez. Miał na sobie szykowną pilotkę, prawdziwe wyścigowe gogle i kraciatą flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami.

– Proście, a będzie wam dane – powiedział. – Chodzi się za nią, co?

– Coś ty. Dżez – wzruszyłem ramionami. – Ja tylko tak, dla zabicia czasu.

– Czy wiesz, ile jej stary dał za ten dom? – wskazał na siodełko, żebym wskoczył. – Podobno milion dwieście! A czy ty wiesz, kto mieszkał tu w czasie wojny?

Nie wiedziałem. Pędziliśmy Polankami, a potem wzdłuż nasypu, w cieniu drzew, obok kościoła, na skrót, do domu.

– Gauleiter Albert Forster – wyjawiał wreszcie Dżez. —Ten, co go powiesili!

Widziałem to, na filmie. Plac w naszym mieście pełen ludzi, drewniane podium, szubienicę. Forster, w więziennym, zszarzałym garniturze, wcale nie wyglądał groźnie. Kiedy zawiśnął i przez tłum przebiegł głuchy pomruk, na ekranie pojawiły się obrazy z przeszłości: trybuny, kwiaty, przemówienia, fackelzugi, kolczaste druty, strażnicze wieże, gazowe komory, krematoria i piramidy nagich trupów. Forster przemawiał, Forster krzyczał, Forster przyłączał nasze miasto do tysiącletniej Rzeszy, miał piękny mundur, witał Hitlera i płakał ze szczęścia. Kiedy kat założył mu pętlę, jego chuda, bez wyrazu twarz nie zdradzała oznak wzruszenia. Podobno nie chciał księdza. Kamera pokazała radzieckich generałów obecnych przy egzekucji.

– Dżez – zapytałem niespokojnie – a myślisz, że ona wie?

Siedzieliśmy przed szopą, obok Fumki, w gęstwinie porzeczkowych liści.

– Dlaczego ma nie wiedzieć? – Dżez zapalił grunwalda i wypuścił kilka misternych kółek dymu. – Jej stary to podobno Żyd.

– Może w tym domu straszy? – powiedziałem bez przekonania.

Milczał przez dłuższą chwilę. Nad dachami Wrzeszcza zahuczał ciężko silnikami samolot pasażerski.

– Posłuchaj, mam do ciebie sprawę – Dżez zerwał liść porzeczki i międlął go w dłoni. – Zaprosiłem ją na wycieczkę, ona się zgadza, ale powiedziała, że ty masz jechać z nami.

Nie chciałem wierzyć w to, co mówi, choć, z drugiej strony, Dżez nie rzucał słów na wiatr. Musieli się spotykać. Musiał dotykać dłońmi jej warkocza, musiał całować jej brzoskwiniowozłotą skórę na policzku, niejedną raz.

– A po co ja? – rzuciłem bez przekonania.

– No wiesz... – zagasił peta na suchym piachu grządki. – Ona cię bardzo lubi.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Słyszałem tramwaje zjeżdżające do zajezdni. Słyszałem ostatnią kolejkę elektryczną z Gdańska. Słyszałem portowy buczonek znad kanału, świerszcze i nietoperze, które z piskiem kłębiły się na strychu. Wszystko to, w świetle gwiazd, zdawało się powtarzać: ona cię bardzo lubi.

Nad ranem znalazłem się w pokoju Basi, przy Polankach. Ostrożnie, tak żeby jej nie budzić, dotknąłem delikatnie jej policzka. Czułem dziwną, nie znaną dotychczas słodycz, której wilgoć wypełniała mnie jak wino suchy bukłak. Chciałem powtórzyć jeszcze raz to zdanie, chciałem raz jeszcze dotknąć jej policzka, tym razem śmieiej i wargami, gdy nagle usłyszałem za sobą skrzypnięcie drzwi. To był on, w wysokich, glansowanych butach, w mundurze, przy orderach, sam Albert Forster, gauleiter Gdańska i Okręgu.

„Jak śmiesz dotykać mojej córki?” – powiedział cichym, metalicznym głosem.

Krzyczałem, że jest kłamcą. Krzyczałem, że już dawno go powiesili. Krzyczałem, żeby zniknął, bo jak nie, zawołałem Dżez i kolegów. Uśmiechnął się dobrotliwie i dodał:

„Spójrz za siebie!”

Basia nie była już Basią. Miała jasne, blond włosy, spadające na kark falą loków. Jej twarz, pełna i różowa, była twarzą aniołka z katechizmu. Nie mogłem już krzyknąć. Czuję zimny, jak podmuch północnego wiatru, strach. Nie mogłem się poruszyć. *Gauleiter* podszedł do mnie i z mojej szkolnej bluzy zerwał niebieską tarczę. W kaskadach śmiechu ujrzałem jego zdrowe, białe zęby. Z kieszeni munduru wyjął opaskę, którą przytwierdził w miejsce tarczy. Była żółta, z gwiazdą Dawida. Bałem się jeszcze bardziej. Potem prowadził mnie po schodach, w dół, aż do ogrodu. W sadzawce pływały małe, złote karpie. Tatarak był zielony, niebo niebieskie, alpejskie skałki szare. W miejscu żelaznej bramki stała drewniana, ozdobna dziwkim winem szubienica. Po drugiej stronie, na ulicy, czekał milczący tłum. Wielkie jak szyby magistrackich okien, portrety Stalina, Marksa i Engelsa powiewały na wietrze obok swastyk.

„Nie! Nie!” – krzyczałem. – „To pomyłka!”

Pętla dusiła szyję coraz mocniej. Tłum podniósł ręce w partyjnym pozdrowieniu. Orkiestra grała *Międzynarodówkę*. Umierałem. W ostatniej chwili, pełnym gazem, zajechał po mnie Dżez. Harcerską finką odciął konopny sznur i gnaliśmy na łeb na szyję Polankami, a potem wzdłuż nasypu, w cieniu drzew, obok kościoła, na skrót, do domu, do drewnianej szopy. Dżez wszedł do środka i ze skrzyni z narzędziami wydobył powstańczego stena. Wiedziałem, że ta broń jest po jego wuju czy stryju, zdradzonym, schwytanym, rozstrzelanym. Gnaliśmy dalej. Dżez dusił gaz do dechy, a ja strzelałem do brązowego mercedesa, którym *gauleiter* Albert Forster ścigał nas bezlitośnie. Miasto zaroilo się od Schupo, żandarmów i milicji, co chwila musieliśmy zawracać, wszędzie już stały blokady i szlabany.

Ponad torami kolejki elektrycznej, na wiadukcie, Fumka wzbija się w powietrze. Lecieliśmy długo, bardzo długo, ponad lotniskiem, ponad dachami Wrzeszcza, Zaspy, Letniewa, Brzeźna i Nowego Portu, aż wreszcie zabrakło nam paliwa. Fumka prychnęła, zacharczała i spadaliśmy gwałtownie, prosto na ogród przy Polankach. Serce podeszło mi do gardła, poczułem straszne, kosmiczne przyspieszenie, a potem ciężar uderzenia.

W mokrej od potu pościeli, przebudzony, przypominałem sobie ostatnie słowa Dżeza: ona cię bardzo lubi. Tramwaje wyjeżdżały już z zajezdni. Buczek portowy znad kanału milczał. Gwiazdy zniknęły. Nad miastem, plażami i zatoką wschodziła Jutrzenka.

Patrzyłem w okno. Zaczynało się lato. Miałem trzynaście lat.

Tamtego dnia byłem pomiędzy nimi. Najpierw na siodełku Fumki: trzymałem Dżeza za brzuch i przytulałem się do jego pleców. Basia spłótła swoje długie palce na moim brzuchu i przytulała się do moich ramion. Gnaliśmy asfaltową szosą, potem piaszczystym duktem, mięły sosny, wrzeszczały gęsi, czekały wiejskie kundle, byliśmy szczęśliwi. Potem na łące: Dżez leżał z lewej strony, Basia z prawej, ja pośrodku. Gadaliśmy, milczeli, jedli, słodki pył traw opadał z wiatrem na miętę, rumianek, koniczynę. Następnie w wodzie: Dżez wszedł na pomost pierwszy, jak brzeszczot rozciął toń jeziora, za nim skoczyłem ja, na końcu Basia spłynęła w zieloną, chłodną głębię. Pływaliśmy czałkiem, żabką, grzbietem, co chwila dając nura aż do samego dna. Widziałem czysty, jasny żwir, rośliny, łuski ryb, widziałem stopy Dżeza i stopy Basi, w górze, skąd biło światło. Potem znów w drodze: miedzą, wśród pól. Dżez pchał ciemnoczerwoną Fumkę przez sypki, grząski piach, ja szedłem za nim, dźwigając sakwę z saksofonem, a za mną Basia, z plecakiem na ramionach. Tak samo w czasie mszy: był już wieczór, w wiejskim kościółku pachniało zbożem i kadzidłem, jaskółki śmigały pod krokwiemi, a ja patrzyłem na ich twarze – po lewej, w blasku świec, gięły się łuki brwiowe Basi, po prawej, na tle witraża z rybakami, jaśniał skupiony, ostry profil Dżeza. I nie inaczej też w altanie: pan Bieszke przyniósł balon wina, które spuszczaaliśmy do ciężkich, kryształowych szklanek, wokół naftowej lampy krążyły ćmy, gdzieś za jeziorem wołał nocny ptak, pan Bieszke opowiadał o wuju czy o stryju Dżeza – jak go ujęli, jak prowadzili go przez wieś – a ja czułem gorąco ich oddechów, ciepło nagrzanym słońcem ciał: po lewej stronie Dżeza, który już tę historię słyszał, po prawej stronie Basi, która dziwiła się wszystkiemu i wciąż pytała o szczegóły, ścisłym i nieśmiałym głosem.

Byłem pomiędzy nimi przez całą, długą noc; weszliśmy do stodoły, Dżez wyjął z sakwy swój saksofon, przeleciał parę gam i zaraz zaczął koncert, najpierw spokojnie, *Małym Kwiatkiem*, potem rozkręcił się Armstrongiem, aż wreszcie, po tej przygrywce, zaczął improwizować; najchętniej brał za temat jakiś ograny szlofoks, sentymentalną melodyjkę, tango Gardela albo rosyjski romans, lecz tylko po to, by uczynić z pospolitego niezwykle, tak, potrafił z prostego marsza zrobić melodię modlitewną, hymn do samego Boga, i odwrotnie – z pieśni kościelnej uczynić skoczny walczyk; słuchaliśmy tego jak urzeczeni, ja i Basia. Dżez szalał na klepisku, spod jego stóp wzbijał się srebrny pył, te wirujące słupki kurzu krążyły wokół nas, opadały i znów się podnosiły jak niewidzialne nuty, a księżyc, który przez szpary dachu zaglądał do stodoły, rozrzucał po kłapkach instrumentu króciutkie, diamentowe bliki. Już nie pamiętam, czy pierwsza zatańczyła Basia, czy może ja, porwany synkopowanym rytmem, objęci ramionami tworzyliśmy z muzyką jedno, Dżez krążył wokół nas i, grając, także tańczył, potem, przez krótką chwilę, śmiali się głośno, Dżez podał Basi instrument i uczył, jak trzeba złożyć wargi do ustnika, zagrała, dość niepewnie, ale po pierwszych nieudanych próbach, przypominając sobie lekcje pianina, wydobywała wreszcie długie, poprawne, coraz lepsze frazy i grała *Dla Elizy* albo *Marzenie*, zupełnie tak jakby Beethoven czy Schumann pisali te utwory nie na fortepian, lecz na altowy saksofon Dżeza.

Byłem pomiędzy nimi aż do szarego świtu, kiedy zmęczeni runęliśmy w pachnące, świeże siano: nad lewym uchem chrapał łagodnie Dżez, a w prawe wpadał cichy i równomierny oddech Basi.

Wracaliśmy do miasta w strugach deszczu. Fumka lawirowała między kałużami. Pod pelegryną trzymałem Dżeza za brzuch i opierałem się na jego plecach. Basia zaplotła swoje długie palce na moim brzuchu i przytulała się do moich ramion. Mijały nas ciężarówki, chłopskie furmanki, zaciął wiatr, byliśmy niespokojni. Kłamstwa, moje i Basi, o szkolnej wycieczce na Kaszuby, powychodziły na jaw prędko. Dżez nie miał komu kłamać, nikt też nie zrobił mu awantury, nie wlepił lańsaka, nie zamknął do aresztu domowego.

Znów byłem między nimi, choć już inaczej. Codziennie rano, przed pójściem do pracy, Dżez zostawiał mi w skrytce obok szopy liścik. Na pierwszej przerwie wręczałem go Basi, a przed ostatnią lekcją odbierałem na dziedzińcu szkolnym jej odpowiedź. Dżez pisał swoje wyznania na czystej kartce bloku listowego, którą składał potem na czworo. Nie używał kopert. Basia odpowiadała mu natomiast na pięknej papeterii, z godłami wszystkich branż przemysłu lekkiego i ciężkiego. Kupiłem specjalny, gruby zeszyt i jak kronikarz wpisywałem co dzień, kaligraficznym pismem, ich listy: z datą i nagłówkiem.

„Chyba zwariuję” – pisał Dżez. – „Czy nie możemy się gdzieś spotkać?”

„Przecież wiesz” – odpowiadała Basia. – „Ojciec odwozi mnie do szkoły i czeka już po lekcjach, a z domu nie wolno mi wychodzić”.

„Czy bardzo się awanturował?” – pytał Dżez. „Bardzo” – odpisywała Basia. – „Najgorsza była wizyta u lekarza, obrzydliwość, ty nawet nie wiesz, Dżez, jak ja ich nienawidzę!”

„Wczoraj, jak zawsze, przejeżdżałem Polankami, co do sekundy punktualnie, a ty nie stałaś w oknie!” – żalił się Dżez.

„Oni już wiedzą, że to Ty. Jak tylko mama słyszy motor, każe mi schodzić do kuchni albo grać na pianinie” – wyjaśniała Basia. – „Gdyby nie nasza miłość, Dżez, otrulabym się trutką, benzyną albo jeszcze czymś”.

„Tylko nie rób głupstw!” – denerwował się Dżez. – „Bądź im posłuszna, udawaj, że o wszystkim zapomniałaś. Niedługo znajdę jakiś sposób, uciekniemy w Bieszczady albo za granicę. Kocham Cię coraz bardziej, czekaj”.

„Ojciec nazywa Cię szumowiną, chuliganem, bikiniarzem i mówi, że gdyby miał tyle władzy co parę lat temu, siedziałbyś w więzieniu” – donosiła Basia.

„Siedziałem już w więzieniu” – uspokajał ją Dżez. — „A co do ojca, nie przejmuj się, nic mi nie robi, tylko niszczy wszystkie moje listy i czekaj na mój znak”.



Kartki Dżeza, po przepisaniu, składałem z powrotem na czworo. Trudniej było z listami Basi. Koperty miały słaby klej, który nad parą puszczał łatwo, ale ponowne ich zamknięcie, tak żeby nie zostawić śladu, było trudniejsze ze względu na godła przemysłowe: te ciężkie i te lekkie. Mijały dni, a Dżez nie dawał upragnionego znaku. Być może miał kłopoty. Nie pytałem go. Byłem posłańcem. Nikim więcej.

W ostatni dzień szkoły, na akademii i przy rozdaniu świadectw, Basi towarzyszył ojciec. Widziałem jego krzaczaste brwi, widziałem jego tweedową marynarkę i aksamitny krawat z bliska, w tłumie, przed gmachem, gdy było już po wszystkim. Trzasnęły drzwiczki samochodu i błękitna skoda-octavia, kołysząc się łagodnie na wybujalym bruku ulicy Nowotki, odjechała w stronę ponemieckiej willi.

– Dżez – omal nie rozplakałem się ze złości, zwracając jego list – nie mogłem tego zrobić, nie odstępowałem jej na krok, Dżez, czy ty mnie słuchasz?

Siedzieliśmy przy szopie, obok Fumki. Schował pomietą kartkę do kieszeni. Nie odpowiedział.

– Dżez – krzychałem jeszcze głośniej – czytałem wszystkie wasze listy, dlaczego nie uciekłeś z nią, ja miałem spakowany plecak, czekałem na twój znak!

I to wyznanie nie poruszyło go. Bębnił palcami po manetce gazu, jakby myślami był gdzie indziej.

– Dżez – ściszyłem głos – ona wyjeżdża dzisiaj z matką, sleepingiem do Zakopanego, powiedz mi tylko słowo, można by przecież coś...

– Mam pewien pomysł – odpowiedział wreszcie – i będziesz mi potrzebny, ale na razie szła, dopóki nie nadejdzie czas!

W sobotnie popołudnia lub w niedziele zabierał mnie jak dawniej za miasto, nad jezioro, nad morze albo nad kanał rzeki. Nie rozmawialiśmy dużo. Rozciągnięci na piachu lub w wysokiej trawie, śledziliśmy obłoki. Palił grunwaldy, ja obgryzałem żdźbła lebiody albo ssałem miętówki kupione w kiosku, obok zajezdni tramwajowej. Były gorsze niż te od Cyrsona. Ale zieloną budę, gdzie urzędował teraz ojciec Basi i jego nowa ekspedientka, omijaliśmy z daleka.

– Dżez – zagadywałem – czy nadszedł już czas?

Uśmiechał się puszczając kółka dymu w niebo. Umierałem z ciekawości. Musiał to czuć, lecz milczał jak zakłęty. W połowie lipca Basia przysłała do mnie widokówkę.

„Jest fajnie” – odczytałem jej znajome, lekko pochylone pismo. – „Mam tutaj koleżanki i kolegów, chodzę po górach, pozdrów Dżeza i powiedz, że do niego też napiszę”.

Długo patrzyłem na skaliste szczyty i gładką jak zwierciadło toń Morskiego Oka.

– Dżez – zapytałem – chciałbyś tam być? Oddał mi widokówkę i wzruszył ramionami.

– Ja zawsze chciałbym być gdzie indziej – odpowiedział.

Wreszcie któregoś popołudnia Dżez zajechał po mnie Fumką. Pędziliśmy naszą ulicą, w cieniu kasztanów, potem pod górę, kocimi łbami, aż pod las. Motocykl wył jak odrzutowiec: pomiędzy modrzewiami, na wertepach. Dżez brał przeszkody niczym mistrz świata w motocrossie. Maszyna odrywała się od ziemi, frunęła parę metrów, gwałtownie opadała. Spod buksujących kół tryskały grudki żwiru, pożółkła trawa, szyszki, piach.

– Dżez – wrzeszczałem przerażony – zabijesz nas, co ci odbiło, przestań!

Nie słuchał mnie. Rozpędził Fumkę jeszcze mocniej.

Brał slalom. Skakał. Cisnął gaz. Potem stromą ścieżką w dół, po igliwiu, co chwila wpadaliśmy w poślizg. Wychodził z tego po mistrzowsku: gaz, sprzęgło i redukcja, znowu gaz. Zatrzymał Fumkę na nasypie. Wyłączył silnik. Zdjął pilotkę. Spod gogli, spod skórzanej kurtki spływały mu strumienie potu.

– To tylko uwertura – powiedział roześmiany – właściwe przedstawienie będzie zaraz.

Z krzaków głogu, leszczyny, bzu, dereniu, wyciągnęliśmy deski równoważni. Za nimi skryte były blaszane, puste beczki. Deski pachniały smołą nabrzeża portowego. Beczki – ole-

jem napędowym z poligonu. Konstrukcja była przemyślana. Części gotowe. Montaż krótki. Gdy już zabilismy ostatni klin, Dżez otarł twarz kraciatą chustką, zapiał kurtkę, założył gogle i pilotkę, kopnął starter. Odjechał ze czterdzieści metrów, zawrócił, stanął, był gotowy.

Patrzyłem, jak rusza z pochyloną nisko głową. Patrzyłem, jak się rozpędza. Jak wjeżdża na drewniany, wąski pomost, wiodący wprost do nieba. Widziałem Fumkę, odrywającą się od desek. Widziałem powiewające paski od pilotki. Motocykl, jak wyrzucony z katapulty, przeleciał długim łukiem nad moją głową i wylądował na twardej ziemi, bez buksowania, bez wywrotki, równo. Biegłem do Dżeza. Dżez jechał do mnie. Byliśmy szczęśliwi.

Każdego popołudnia wynik poprawiał się. O kilkanaście, czasami kilkadziesiąt centymetrów. Badaliśmy kąt nachylenia równoważni. Długość rozbiegu, czas i prędkość. Każdego popołudnia, ze stoperem w jednej dłoni i chorągiewką w drugiej, zaznaczałem dokładnie miejsce lądowania. Zapisywałem dane i uwagi. Ale Dżez ciągle nie był zadowolony.

– O co ci chodzi, Dżez? – powiedziałem rozczarowany. – Pobiliś rekord Clarka, a do tego Amerykanina, Blaisa, zostało ci jeszcze niewiele ponad dziesięć centymetrów!

– Mam gdzieś rekordy, amerykańskie czy angielskie, wszystko jedno. Mnie chodzi o zerwany most – wyjaśnił.

– Nie – wyszeptalem – chyba nie mówisz tego serio?

Pokiwał głową, co oznaczało: jak najbardziej serio.

– Słuchaj, Dżez – usiłowałem perswadować – przeszła są za daleko, to się nie może udać.

– To się uda – skwitował moje wątpliwości. Teraz wiedziałem, czego chce: sukcesu, sławy i rozgłosu. Oczywiście wyobraźni czytałem już nagłówki gazet:

„Skok stulecia”, „Amator arcymistrzem”, „Robotnik stoczni rzuca wyzwanie światowej stawce zawodowców”. Widziałem minę Basi. Minę jej ojca. Miny sąsiadów i przełożonych Dżeza w pracy. Mógłby objeżdżać cały kraj. A może nawet NRD, Czechosłowację czy Bułgarię. Udzielałby wywiadów, kupił maszynę, na przykład harleya—davidsona, miałby pieniądze, własny dom.

– Dżez – powiedziałem – ale zerwanych mostów jest chyba siedem!

– To wybierzemy ten najlepszy – odparł.

Odtąd, po każdym treningu, pędziliśmy nasypem zniszczonej linii kolejowej od Wrzeszcza do Brętowa i dalej, aż do Piecek. Mijaliśmy wzgórze, zagajniki, kościół, samotne gospodarstwa, niebieską strugę Strzyży i opuszczony cementarz. Przy każdym z wysadzonych mostów Dżez zatrzymywał Fumkę, wdrapywał się na przyczółek, badał stan cementowych progów, sprawdzał nawierzchnię, kręcił głową. Ja, z drugiej strony, rzucałem nad przepaścią linę. Dżez chwycił jej koniec, napinał, liczył supły i wołał:

– Trzydzieści metrów, dwadzieścia centymetrów, to za mało!

Mimo że mieliśmy już wszystkie dane, Dżez wciąż powtarzał te czynności. Jakby nie ufał naszym obliczeniom. Jakby się chciał upewnić, na którym z mostów zdobędzie nieśmiertelną sławę. Do domu wracaliśmy późno, okryci kurzem i zmęczeni. Coraz częściej spotykał nas Gazownik. Lubilem jego stary, zniszczony rower. Lubilem patrzeć, jak opiera go o żeliwną żerdź latarni, zdejmuje z pleców długi klucz, przekręca kurek i zapala kolejne światło przy ulicy, z początku blade, po chwili coraz mocniej jaśniejące. Przy ogrodowym kranie, obok szopy, piliśmy chciwie wodę. Miała smak rdzy, kolor leśnego mchu i była ciepła, jak całe tamto lato.

Basia wróciła już do domu, ale nie rozmawialiśmy o tym. Liczyłem dni do skoku. Dżez liczył kilogramy, zdejmował z Fumki siodło, błotniki i osłony. Nocami nad miastem i zatoką huczały wojskowe samoloty. Gdzieś w Azji miała wybuchnąć wojna. W radio podano, że kanclerz Adenauer ostrzy zęby, szykuje desant, chce wylądować w Gdańsku. Nie chciałem umierać za Gdańsk. Chciałem się znaleźć przy Polankach, w pokoju Basi, chciałem z nią rozmawiać o górach, Dżezie i motorze.

Długo nie zasypiałem, patrząc przez okno na spadające gwiazdy. W ponury, monotony jęk myśliwców, kołujących nad miastem i zatoką, wkładały się dźwięki kanonady. Miałem na sobie oficerski mundur, pas, parabellum i wysokie buty. Koła drezyny wystukiwały równomierny rytm. Jechaliśmy wolno. Od pól pokrytych śniegiem wiało odwilżą. Pomiedzy podkładami od czasu do czasu pojawiał się odtajały spleść ziemi. Daleko, w mieście gotyckich wież, pomiędzy wąskimi uliczkami, przetaczał się dźwięk dzwonów. Przy każdym moście czekał na nas patrol. Dżez sprawdzał ładunki, ja odbierałem szybki raport. Łączyliśmy kable, naciskałem guzik i tony stali, cementu, cegieł i podkładów wznosiły się w powietrze jak dziecinne klocki. Obok Piecek. W Brętowie. Przy cmentarzu.

Na moście, który biegł nad Polankami, drogę zatarasowała nam lokomotywa. Trafiona w tender przez sowieckiego lotnika, sapała jak zmęczona baba. Wartownicy dawno już uciekli z posterunku. Nie mieliśmy czasu. Dżez sprawdził ładunki, ja nacisnąłem guzik. Lokomotywa drgnęła i razem z żelazną kratą mostu runęła w dół, prosto na bruk ulicy. Z pyskiem zarytym w śniegu, stercząca w górę jak pochodnia, wyglądała dziwnie. Pędziliśmy do domu gauleitera, złożyć meldunek, że rozkaz wykonano. W sadzawce, pośród lodowych bryłek, pływało ścierwo uduszonego psa. W willi nie było nikogo. Puste pokoje, splądrowane, ziały chłodem. Sztandary prześcieradeł zwiślały z okien i okapu. Polankami ciągnęły ciężarówki. Grała harmonia. Zalaływo machorką, samogonem, tłuszczem. Krasnoarmiejcy otaczali nas. Z podniesionymi rękami, szliśmy pod nasyp, w mokrym, grząskim śniegu.

„Jak głupio jest umierać” – szeptał Dżez.

„Tak, po co to wszystko?” – powiedziałem.

Żołnierze pociągnęli losy. Patrzyłem na ich kałmuckie twarze, na lufy pepesz, patrzyłem w oczy oficera, którym był ojciec Basi. Jego niebieski otok odcinał się od szarego nieba ciemną pręgą.

Każdego ranka budziłem się po salwie, zdziwiony, że nie krwawię, zdziwiony, że nie ma przy mnie Dżeza, zdziwiony, że zamiast w śniegu leżę w pościeli, żywy.

Biegłem do willi gauleitera, patrzyłem w okna, chodziłem wokół zielonej budy sklepu. Wszystko na próżno.

Basia była zamknięta, niedostępna.

– Dżez – zagadywałem wieczorami – czy myślisz, że przyjdzie na twój pokaz?

Mówił, że przyjdzie. Mówił, że wybrał odpowiedni most i skakać będzie ponad ulicą Słowackiego, w najszerszym miejscu, prawie czterdzieści metrów.

Byłem spokojny. Gdy trenowaliśmy na nasypie, skakał czterdzieści jeden, nieraz czterdzieści dwa. Fumka przypominała teraz rajdowy motor zawodowca. Podrasowany silnik miał kilka koni mechanicznych więcej.

– Dżez – nie dawałem mu spokoju – a jak nie przyjdzie, to też skoczysz?

Mówił, że będzie skakał, bo tak mu się podoba. I choćby nikt nie przyszedł, zrobi swoje, bo zawsze trzeba robić swoje. Nie wiedziałem, jak chce ją zawiadomić. Afisze, które malowaliśmy w szopie, miały nijaki, szary kolor. Gdy rozwieszałem je w sobotę, padał deszcz. Krople wody zmywały plakatową farbę. Litery były nieczytelne. Puszczal klej. Z gazowych latarń, kory drzew, sztachet spróchniałych płotów zwiślały mokre, beznadziejne strzępy.

A jednak przyszła. Gdy wszystko było już gotowe, gdy pod zerwanym mostem zebrał się pokościelny tłumek, gdy Dżez, wysoko, na nasypie, rozgrzewał Fumkę, robił kółka, wiraże, świece i ósemki, zobaczyłem, jak od strony ceglanego kościółka, pomiędzy drzewami, nadjeżdża błękitna skoda-octavia. Trzasnęły drzwiczki. Ojciec trzymał Basię za rękę. Miał na sobie tweedowy garnitur, białą, wykrochmaloną koszulę, brązowy krawat i ciemne okulary. Stanęli w pewnej odległości, tak żeby nie mieszać się z gapiami. Pomachałem do Dżeza. Dżez pomachał do mnie. Byliśmy szczęśliwi. Mogliśmy zaczynać.

Z blaszaną puszką przebiegłem pośród widzów. Brzęk monet, szybki, coraz gęstszy, wypełnił niespokojną ciszę. Chciałem podejść do Basi, chciałem podsunąć jej ojcu kwadrat skar-

bonki z napisem *Czaj pierwowo sorta*, ale uprzedził mnie zdecydowanie. Zostawił córkę. Podeszedł do mnie. Z portfela wyjął szybko banknot i zanim zdążyłem powiedzieć mu „dziękuję”, wrócił do niej, sprężystym, mocnym krokiem.

Tak jak chciał Dżez, ukloniłem się publiczności. Przeciąłem brukowaną szosę i wolno, bez pośpiechu, wspinałem się na nasyp. Potem stanąłem na cementowym przeszle mostu. Podniosłem chorągiewkę.

Tam, z drugiej strony, Dżez jechał powoli na linię startu. Widziałem plecy jego skórzanej kurtki, widziałem róg krzasiastej chustki. Widziałem wzgórze, las, wieżę kościoła, stary cmentarz, widziałem, jak Dżez zatrzymuje się, nawraca, pochyla głowę, rusza. Na podjeździe z desek poderwał Fumkę do lotu i szybował, skulony nad kierownicą, ponad głowami gapiów, ponad szosą, ponad niebieską karoserią skody-octavii i ponad całym naszym życiem. Był coraz bliżej. Widziałem już dokładnie skórzane paski od pilotki, srebrzystą sprzączkę, szkiełka gogli. Widziałem, jak uderza przednim kołem w przeszło mostu, słyszałem tępy, głuchy jęk motoru. Fumka runęła w dół i już jej nie widziałem. Dżez, wyrzucony z siodła, poszybował dalej, przeleciał nad moją głową i spadł na nasyp, w trawę.

– Dżez – rozpiąłem jego kurtkę – co tam Fumka!

Udało się, jesteście po drugiej stronie!

Z ust ciekła mu wąska strużka krwi. Nie mogłem płakać. Nie chciałem wierzyć, że jest martwy. Nie mogłem przeczytać widokówki z gór, która wypadła mu z kieszeni w trawę. Nie słyszałem karetki pogotowia. Złorzeczeń ludzi. Pytań milicjantów. Nie widziałem, jak niebieska skoda-octavia oddala się od mostu i znika w perspektywie drzew. Nie wiedziałem, że na pogrzeb Dżeza przyjdziemy tylko trzej: ksiądz katolicki, pan Bieszke i ja. Nie przypuszczałem, że urzędnicy zarekwirują wszystkie jego rzeczy: saksofon, nuty, skórzaną kurtkę, pilotkę, gogle i nawet to, co pozostało z Fumki – złom.

Zaczynał się rok szkolny. Znowu widywałem Basię na dziedzińcu, często wśród koleżanek, roześmianą. Nie wiedziałem, jak do niej podejść, jak zagadać. Obcięła długi warkocz i w krótkich, spadających na kark włosach wyglądała bardziej na młodą nauczycielkę niż na uczennicę. Chciałem powiedzieć jej o Dżezie. O naszych treningach i rozmowach. Chciałem zapytać, czy pamięta naszą wycieczkę nad jezioro, pana Bieszke, koncert w stodole, saksofon, srebrny pył. Chciałem jej oddać kartkę z widokiem Morskiego Oka, tę, którą znalazłem przy Dżezie, na nasypie. Chciałem powiedzieć, że czytałem listy, ale tej jednej kartki – nie.

Nic z tego nie wyszło. Patrzyła na mnie tak, jakby spotkała mnie pierwszy raz.

– Widokówka – wzruszyła ramionami – i co z tego?!

Zatrzymaj ją sobie, jak chcesz.

– Ale ta nie jest do mnie – usiłowałem wytłumaczyć. —Wysłałaś ją do Dżez!

– Dżez, jakie to głupie przezwisko, naprawdę mało oryginalne – zaśmiała się i odeszła.

Długo patrzyłem na skaliste szczyty i gładką jak zwierciadło toń Morskiego Oka. Długo wahałem się, czy nie odesłać na Polanki ostatniej rzeczy, jaką miałem po Dżezie. Długo czytałem słowa Basi:

„Powinieneś zrozumieć, że to nie ma sensu, mama ma rację, tata zresztą też”.

Kawałek po kawałku, rwałem na strzępy górski widok, darłem na strzępy moje serce. Trwało to długo. Tak jak pierwsza miłość.

# MIMEZIS

## I

Lubiła tę drogę. Mech, który pokrywał wydmy, był miękki jak dywan. Z obu stron strzelały w niebo sosny, a między nimi szumiała wysoka trawa. Gdy słońce grzało dłużej niż kilka dni, czuło się tutaj mocny, gęsty jak smoła zapach jałowców. Wielkie i małe, czasami o fantastycznie pokręconych grzywach, rosły tu wszędzie, jak zatrzymane w ruchu elfy. Zupełnie inaczej niż tam, nad rzeką, gdzie ścieżka co rusz niknęła w torfowisku albo błotnistej glinie, a z liści olch i wikliny podnosiły się roje komarów. I chociaż nad morze było przez wydmy znacznie dalej, co roku chodziła właśnie tędy. Bywało, że spotykała sarnę. Wtedy zatrzymywała się na chwilę, aż zwierzę, obrzuciwszy ją spojrzeniem dwojga wilgotnych oczu, zniknęło szybko w lesie. Natomiast dzikie króliki i wiewiórki ignorowały ją zupełnie, jakby nigdy nie zagnały niczego złego od człowieka. Nigdy też nie spotykała tu Willmana. Co innego nad rzeką, gdzie dawniej pasał bydło. Tam zastępował jej przejście na wąskiej ścieżce i mówił zawsze ten sam, głupawy wierszyk:

Wiosna, zima, jesień, lato...  
Co panienka powie na to?

Po czym wyciągał z kieszeni połatanych spodni szyszkę, kamyk albo zwiędnięty kwiat i na wyprężonej dłoni podsuwał jej podarunek pod sam nos. Musiała uśmiechnąć się do niego, wziąć prezent i pokiwać głową, co oznaczało: „Ach, jakież piękny dzionek, panie Willman”, a wtedy przepuszczał ją tak blisko siebie, że czuła zapach jego potu i kwaśny, nieprzyjemny oddech. Któregoś razu podał jej na dłoni małego kreta. Zwierzątko było martwe. Przerazona, uciekła przez leszczynowy zagajnik, aż na bagna.

Lecz teraz nie myślała o Willmanie. Las kończył się na granicy ruchomych wydm i zza wzniesienia usłyszała monotony szum. Ten dźwięk zawsze usposabiał ją radośnie: przyśpieszyła kroku i ze wzgórze, skąd widać było morze, puściła się pędem w dół. Dopiero na strandy, gdzie fala polizała jej stopy, zrzuciła sandały, a potem szybkim i zdecydowanym ruchem szarą sukienkę. Chociaż woda była jeszcze chłodna, pływała długo — jak zawsze do mielizny i z powrotem.

Kiedy wyszła wreszcie na brzeg, słońce stało już dość wysoko. Jej długie, rozpuszczone włosy wyschły w kilka minut. Ze wzrokiem utkwionym w horyzont, siedziała nieruchomo na piasku. Daleko, nad ujściem rzeki, krążyły kormorany. Zaczynało się lato. Ale ani jedna łódź, podobnie jak w zeszłym roku, nie wypłynęła w morze. I ani jeden pług nie pojawił się wiosną na polderze, pomiędzy kanałami. Mimo to czuła się tu bezpiecznie. Na plaży nigdy nie znajdowała śladu ludzkiej obecności. A drogą do wsi dawno już nie przejechał ani jeden zaprzęg.

Może dlatego ów dźwięk, który usłyszała za plecami, tak ją przeraził? Popiskiwanie ziaren piachu było wyraźne, coraz bliższe. Wstała i raptownie się odwracając spostrzegła jego wysoką sylwetkę. Dopiero po chwili, gdy zatrzymał się przed nią o parę kroków, zasłoniła piersi. Kiedy krzyknęła, uśmiechnął się, pokazał palcem jej sukienkę i zasłonił twarz obiema dłońmi, mamrocząc przy tym dziwne, niezrozumiałe zdanie. Biegła wzdłuż brzegu, rozbryzgując stopami wodę. Zabrakło jej tchu. Upadła w chłodny, mokry piasek. Nieznajomy nadchodził, trzymając w dłoniach sandały. Chciała uciekać znowu, zerwała się na nogi, a wtedy on zasta-

pił jej drogę i powiedział coś, co po części zrozumiała: jeśli mu nie pomoże, śmierć znajdzie go wreszcie tu albo gdziekolwiek indziej, dopadnie i zabierze w straszne miejsce.

Jego zdania nie przypominały języka ludzi z miasta. Miał obcy akcent, przekręcał słowa, a niektóre wyrazy, jakich używał, były dla niej zupełnie niepojęte. Ale nie budził w niej już strachu. Na migi pokazała, że dar mowy został jej odjęty. Kazała mu iść za sobą w bezpiecznej odległości. Ani razu nie obejrzała się za siebie. Dopiero obok domu Dornów, który leżał na skraju wsi, tuż u podnóża wydmy i cmentarza, na chwilę się zatrzymała sprawdzając, czy jej nie zgubił. Stał ukryty za pnem sosny i bał się wejść na drogę. Zawróciła i pokazała mu, że wszystkie domy stoją puste. Nawet ten, obok zboru, gdzie zimą przesiadywał Willman. Nie mógł czy nie chciał tego pojąć. Krzychał, żeby wydała go od razu, bo już nie ma siły uciekać i woli umrzeć tu, pod drzewem, niż w środku wsi, lżony i szczuty psami. Nie potrafiła mu wyjaśnić, że psów już nie ma. I że dopóki nie pojawią się tu ciężarówka, są bezpieczni.

Usiadł, opierając się o pień sosny. Miał piękną, smukłą twarz. Zobaczyła, jak spod przykniętych powiek spływają mu po policzkach łzy. Jego usta szeptały wciąż to samo zdanie, w języku, który nie przypominał w niczym mowy ludzi z miasta. Był dziwnie miękki, szeszczący i budził zaufanie. Domyśliła się, że to modlitwa. Kiedy otworzył oczy, pokazała, żeby cierpliwie na nią czekał. Śledził jej szybki, drobny krok, ale nie podniósł się nawet z trawy. Patrzył, jak niknie za zakrętem, wzbijając na piaszczystej drodze białe obłoczki kurzu.

Czyste, błękitne aż do bólu niebo przeciął klucz żurawi. Daleko nad łąkami nawoływał jastrząb. Nikt nie pojawił się na zakręcie ani w obejściu najbliższego domu. Dopiero kiedy słońce zaczęło znikać za wydmami, zobaczył ją, jak wraca w jego stronę. W pierwszej chwili nie mógł jej poznać: ubrana była w długą, prostą suknię, związane włosy przykrywał lniany czepek, a na nogach zamiast sandałów miała śmieszne, wysoko wiązane trzewiki.

Najpierw położyła na trawie niewielki biały obrus. Potem wyjęła z koszyka placki, pieczoną rybę i butelkę z sokiem. Gdy jadł, łapczywie i niezdarne, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi, przyglądała mu się ukradkiem. Okruchy, nawet te z ziemi, zebrał w dłoń i wessał je ustami. Potem pił. Na koniec powiedział coś o kurze: frunęła z zakrwawionym pierzem, wysoko, coraz wyżej. Pokazała na palcach, że ma tylko trzy kury. I że nie zabije żadnej, bo zimą nie będzie ryb ani nawet placków.

Nie, nie o to jednak mu chodziło. Gdzieś w niedalekiej okolicy zakradł się pod dom rybaków i upolował kurę. Ale bał się rozniecić ogień i surowe mięso, które zjadł, zatrulo żołądek. Leżał w wykrocie, przykryty liśćmi paproci. Nad ranem, chyba trzeciego dnia, usłyszał wyraźny szum morza. Nie chciał umierać w jamie cuchnącej odchodami, cięty przez muchy i pająki. Ruszył po miękkim jak dywan mchu, aż do ostatniej wydmy, i tam, ze wzgórza, zobaczył ją, w momencie gdy wychodziła z wody.

Mówienie wyczerpało go. Znowu oparł głowę o pień sosny i patrzył gdzieś przed siebie, w nieokreślony punkt. Zabrała obrus i butelkę do koszyka.

– Idź za mną – pokazała. Ale on bał się, że ludzie, którym ukradł kurę, na pewno rozpoznają w nim złodzieja. Chciała mu wytłumaczyć, że dom rybaka leży daleko, nie w tej wsi. I wygląda zupełnie inaczej niż ich domy tutaj, wzniesione toporami cieśli Pana, wedle przepisów Księgi. Ale jak miała go przekonać? Nawet nie spojrzął na rysunek, który skreśliła patykiem na piasku.

Syty i nieobecny, nie wiedząc o czym myślał. Cisnęła w niego szyszka. Wtedy popatrzył na nią dwojgiem ciemnych jak węgle oczu, które po chwili, za ruchem jej dłoni, powędrowały w kierunku pomarańczowej kuli słońca. Zrozumiał ten gest. Jutro, gdy słońce wzejdzie po tamtej stronie lasu, ona przyjdzie tu znowu, sama.

Po ciepłym dniu powietrze układało się w niewidzialne warstwy. Nisko, przy samej ziemi, ciągnęło chłodem i wilgocią. Wyżej, cieplejszy powiew wydestylował esencje ziół i trawy. Nad wszystkim górował żywiczny zapach sosen, niesiony od morza przez wieczorną bryzę. Przy domu van Dornów, nad którym bociany krążyły właśnie wokół gniazda, poczuła lekki

niepokój. Wydawało się jej, że twarz nieznanego widziała już kiedyś, w mieście. Czy mogła się pomylić? I czy nie miał racji Harmenszoon, kiedy w płomiennych kazaniach, poprzedzających łamanie chleba, mówił o zepsuciu, grzechu i śmierci, które przychodzą zawsze z miast? Tak jak ciężarówki. I ludzie w mundurach, którzy noszą broń.

## II

Świec nie było już od dawna. A zapas nafty, jaki zebrała po domach, należało zachować na zimę. Tymczasem, chociaż zapadł zmrok, odpowiednia ilość wersetów musiała zostać od czytana. Inaczej dzień nie zyskałby błogosławieństwa i jako taki przepadł w nicość. Wprawdzie niewielki byłby to grzech, lecz grzechy miały to do siebie, że popełnione raz – lubiły się powtarzać. Gdyby teraz stał obok niej ojciec, mogliby nie zapalać lampy. Znał Księgę niemal na pamięć i recytować mógł proroków od dowolnego miejsca. Lecz gdzie był teraz?

Ostrożnie zapaliła knot i przeczytała ustęp Izajasza, ten o ukrytych skarbach i tajemnicach kryjówek. Potem, by nie marnować nafty, skrzyła lampę i położyła się do łóżka. Ale sen nie chciał nadejść, mimo że dzień skończony został jak należy. Na domu Helkeh pohukiwała sowa. W szafie zachrobotła mysz. Lekki podmuch wiatru nadleciał od morza i zakołysał gałęziami w sadzie.

Tamtego dnia ojciec obudził ją wcześniej, jeszcze przed wschodem słońca. Wsiedli do łodzi Dornów, pomiędzy beczki z masłem i skrzynie z tkanym płótnem. Podróż trwała długo: najpierw kanałem, potem rzeką w dół, aż wreszcie wypłynęli w morze. Zapamiętała wielki, szary żagiel, który napręzał się na wietrze, zapamiętała słony smak kropel na wargach i tamten dziwny, ciemnoczerwony kolor cegły, z której wybudowano w mieście chyba wszystko: domy, spichlerze, magazyny i kościoły. Łódź cumowała przy nabrzeżu, pan Dorn miał na niej zanocować, a ona z ojcem i Rachelą poszli do domu krewnej Harmenszooona, która przyjęła ich gościnnie. Spały z Rachelą w jednej izbie, nazajutrz ojciec zabrał je na targ i wtedy dziwiła się wszystkiemu: ulicą pędził elektryczny tramwaj, automobile trąbiły jak szalone, a ludzie nie chodzili, tylko biegali we wszystkie strony, jakby im brakowało czasu. Przy nabrzeżu, gdzie pojawiły się teraz dziesiątki innych łodzi, ojciec i Dorn zajęli się sprzedażą. Mogły z Rachelą oddalić się na parę kroków, ale nie wolno było im rozmawiać z nikim – mężczyzną czy kobietą. Zapamiętała dobrze tamten moment: przy straganie, gdzie stara Kaszubka zachwalała flądry, ktoś dotknął jej ramienia i usłyszała nagle, znajomy, ciepły głos:

—To ty?

„Mój Boże, i tak wygląda teraz moja siostra?” Była przerażona. Co powie ojcu? A jeśli zobaczy je Rachelę?

Lecz Rachelę zniknęła gdzieś w tłumie, ojciec pomagał Dornowi, a siostra, jej starsza siostra Hanna, prowadziła ją pod rękę, zasypywała pytaniami, co chwila całowała w policzek i przytulała do siebie. Ani się obejrzała, jak trafiły w wąską, brukowaną uliczkę, po której pędziły z hukiem konne wozy. Potem siostry skrzyły gdzieś w podwórko i za kasztanem, obok żeliwnej pompy, weszły w bramę i skrzypiącymi ze starości schodami na pierwsze piętro.

Już w mieszkaniu opowiedziała Hannie o gniewie i zgryzocie ojca: wezwany przez Harmenszooona, stanął pośrodku zboru i tak, żeby wszyscy go słyszeli, powtarzał za starszym słowa wykluczenia. Kobiety na emporze zakryły twarze, mężczyźni skubali ronda kapeluszy, a potem zaległa taka cisza, że słychać było wosk kapiący na podłogę i ćmy, które krążyły pod sufitem. To było straszne.

Po nabożeństwie ojciec nie spał przez całą noc, a rano, przy śniadaniu, powiedział:

„Teraz mam tylko jedną córkę”.

O Hannie nie wolno było nawet wspomnieć, jej imię, okryte hańbą, miało być zapomniane we wszystkich zborach, już na zawsze. Ale ona myślała o niej często. Dlaczego uciekła do miasta? Czy była aż tak bardzo nieszczęśliwa z nimi? Czy to prawda, że mężczyzna, z którym

żyje w grzechu, jest wcieleniem diabła, jak wszyscy luteranie i katolicy? Czy nie boi się dnia, w którym nadejdzie Pan? Przecież za to, co uczyniła, może nie wskrzesić jej ciała, a dusza – potępiona na wieki – będzie się tulać w ciemnościach i nigdy nie zazna spokoju.

Lecz Hanna nie bała się niczego. A już najmniej klątwy Harmenszoona. Mówiła, jak bardzo jest szczęśliwa tutaj, gdzie tyle dzieje się ciekawych rzeczy. Ludwik zabiera ją do kina, na dancing, na wycieczki, a grzech, o którym była mowa, to czyste kłamstwo: przyjęła jego wiarę, dała się ochrzcić i wzięli ślub w kościele. Na zdrowy rozum, Bóg nie jest przecież mennonitą, katolikiem, lutrem, metodystą czy prawosławnym carem. Na zdrowy rozum, wszystkie te brednie, o jakich uczą starcy w zborze, to lęk przed światem, który się zmienia, który cudownie i jak szalony pędzi w nieznaną przyszłość.

Powinna była zatkać sobie uszy lub wybiec na ulicę, powinna była ostrzec siostrę, jak groźne mówi rzeczy, ale nie uczyniła tego. Hanna wyglądała pięknie i nawet kredka na jej wargach nie mogła tego zmienić. A przy tym potrafiła być tak czuła i zabawna. Posadziła ją obok siebie, przed lustrem, zdjęła jej czepek i podawała swoje kapelusze. Potem wyszły na miasto, odwiedzały sklepy, jechały tramwajem, a w ogródku kawiarni, nad samym morzem, gdzie kobiety i mężczyźni ubrani byli na biało, piły lemoniadę.

– Czy to jest grzeszne życie – Hanna uśmiechała się do siostry – robić to, co sprawia ci przyjemność? Powinnaś i ty spróbować! Przecież wy, tam, żyjecie jeszcze w średniowieczu!

Na szczęście skończyło się na słowach. Nie dała namówić się na kino. Nie spojrzała na żadnego mężczyznę. A kiedy wróciły do domu i pojawił się Ludwik, przywitała go tak, jak nakazywał obyczaj: z pochyloną głową i spuszczonej nisko wzrokiem. Gdyby ojciec zobaczył ją wówczas, może wszystko potoczyłoby się inaczej? Może jego gniew nie byłby aż tak wielki? Lecz ojciec przyszedł znacznie później, gdy patefon grał tanga i fokstroty, gdy Ludwik wirował z Hanną po pokoju, a nad stołem unosił się zapach cygar i reńskiego wina.

– Ci ludzie zabrali moją córkę – powiedział do policjanta. – Proszę rozpocząć czynności urzędowe!

Szupowiec był strapiiony. Stał na progu obracając w dłoniach czapkę z daszkiem i najwyraźniej nie chciał wkraczać w ślepe zaułki spraw rodzinnych.

– Czy ktoś ją zatrzymuje? – Ludwik podsunął ojcu krzesło. – To tylko odwiedziny siostry, czy nie tak?

Ale pytanie szwagra zawisło w powietrzu niczym zbędny, nikomu niepotrzebny zawijas i takim pozostało w jej pamięci już na zawsze, podobnie jak widok krzesła, które na środku pokoju wypełniło tę długą chwilę milczenia poczuciem oczywistej i całkowitej zbędności.

Łódź Dornów odpłynęła dawno, dlatego poszli na Wiślany Dworzec ulicą przez zwodzony most. Gdybyż tylko chciał opowiedzieć – nie unikając gniewnych słów – jak bardzo był wzburzony. Ale ojciec milczał przez całą drogę i nawet gdy zasiedli w pustym wagoniku ostatniego pociągu, który włókł się w ciemności płaskimi jak stół polami, przeskakując od czasu do czasu groblę czy kanał wąskim mostkiem, nawet wówczas, gdy siedzieli tak blisko siebie wpatrzeni w mrok rozciągnięty za szybą sapiącej, wąskotorowej kolejki, nie padło między nimi ani jedno słowo. Zapamiętała lampę, która kołysała się na ostatnim, odjeżdżającym z pustej stacyjki wagonie. I długą, piaszczystą drogę, którą szli kilka kilometrów do domu.

Następnego dnia musiała stanąć pośrodku zboru i głośno wyznać swoje winy wobec wszystkich. Potem słuchała napomnień Harmenszoona: Czy nie wstyd jej było okazać nieposłuszeństwo ojcu? Czy nie powinna brzydzić się ludźmi, którzy popełniają najcięższy grzech i przyjmują chrzest po raz drugi? Czy nie wie, że muzyka, alkohol i wyszukane stroje, to przedsionek piekła? Czyż nie słyszała nigdy o tym, że z tymi, którzy zostali wykluczeni z gminy, nie wolno zamienić ani słowa? A cóż dopiero uczestniczyć w ich wyuzdanych, zgubnych rozrywkach? Czy okazuje należyta skruchę? Czy zdaje sobie sprawę, że następnym razem nikt nie będzie już jej napominał?



Gdy skończył, musiała z pochyloną głową wrócić na emporę i zająć miejsce pośród kobiet. Podjęto sto trzydziesty psalm „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie!” Chciała przyłączyć się do chóru, chciała być jednym z czystych, mocnych głosów, które od stuleci, każdego dnia wlatywały stąd prosto przed oblicze Pana. Lecz kiedy tylko otworzyła usta, z jej gardła wydostał się głuchy, chrapliwy jęk. Spróbowała raz jeszcze. Ale słowa pozostawały w jej wnętrzu, jak zamknięte na klucz. Uczucie tej niemocy było stokrotnie gorsze niż lęk, jaki odczuła stając przed Harmenszoonem.

„To minie – pomyślała – to chwilowe”.

Chwila ta jednak trwała cztery lata i teraz, kiedy leżała w pustym domu, nie mogąc zasnąć pod natłokiem wspomnień, a także – z czego zdawała sobie sprawę – z powodu ciemnych jak węgle oczu nieznanego, poczuła wzbierającą falę buntu i rozpacz. Czy Bóg rzeczywiście chciał ją ukarać aż tak surowo? Jeśli był sprawiedliwy, dlaczego nic takiego nie przydarzyło się Hannie, lecz właśnie jej? I gdzie był Pan, kiedy pewnego dnia pojawiły się przed zbozem ciężarówki i ludzie, którzy nosili broń? A może prawdziwe były tylko rzeczy, domy, zwierzęta i rośliny, woda, powietrze, ziemia, wschody i zachody słońca, obłoki i nic więcej?

Na domu Helkeh znów zahuczała sowa. W szafie zachrobotła mysz. Wiatr ucichł zupełnie i nagle, w ogromnej ciszy, jaka okryła teraz dachy i drzewa niewidzialną opończę, rozległ się straszny, rozdzierający ciemność krzyk. Podeszła do okna. Ten, którego nakarmiła, szedł zataczając się na drodze. Wymachiwał rękami, zaciskał pięści, upadał w piach, podnosił się nie bez trudu i znowu krzyczał prosto w gwiazdy, jakby tam w górze znajdował się ktoś, kto musi go wysłuchać. Z daleka wyglądał jak zamroczony trunkiem wieśniak, który po jarmarku zmylił drogę i trafił nie tyle do obcej wsi, co do zupełnie odmiennego świata.

Kiedy wyszła na drogę, leżał z twarzą w piachu, mamrocząc coś pod nosem. Nie miał już siły wstać ani tym bardziej maszerować dalej. Kiedy pochyliła się nad nim, dotykając delikatnie jego głowy, poczuła, że anioł śmierci – który krążył tu od dłuższej chwili – odstąpił bezszelestnie w ciemność, przepuszczając ją pod swoim niewidzialnym skrzydłem. Kiedy wlokła ciężkie, bezwładne ciało wprost do izby, znów przeszył ją niepokój. Nie spotkała tego mężczyzny nigdy przedtem, a przecież nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jego twarz, obłana teraz słabym, złotawym światłem lampy migotającej obok łóżka, że ta twarz nie jest jej nieznaną i że już kiedyś dwoje płonących, ciemnych oczu śledziło ją uważnie. Nie miała jednak czasu, aby się nad tym zastanawiać: kiedy grzała wodę, kiedy zdejmowała z niego razem ze strupami i warstwą brudu bluzę i spodnie, kiedy przemywała otwarte rany, jego ciałem wstrząsały dreszcze, miał przymknięte powieki, majaczył w gorączce, nie chciał pić. Pomyślała, że jeśli obcy umrze, nie obejdzie się bez Willmana. Sama nie zbije przecież trumny, nie złoży ciała do grobu.

### III

Dziwił się wszystkiemu, chociaż nie okazywał tego i raczej milczał, niż zadawał pytania. Na przykład garderoba: wyglądało na to, że wszyscy mężczyźni nosili tu takie same kamizelki, zapinane nie na guziki, lecz na szesnaście niewygodnych haftek. Ciemne, sukienne spodnie albo marynarka przypominająca staroświecki surdut również nie należały do wygodnych. Założył je, gdy razem z koszulami i bielizną wyjęła z szafy ubrania ojca. Odmówił natomiast przyjęcia czarnego kapelusza i uczynił to tak stanowczym gestem, że jej spłoszone spojrzenie, które uchwycił przez moment, musiało wprawić go w zakłopotanie. Potem, gdy prowadziła go przez wieś, nie mógł zrozumieć, dlaczego wchodzi do każdego z domów, dlaczego oprowadza go po izbach, otwiera drzwi, szuflady, szafy, jakby za każdym razem szukała jego akceptacji, mimo że wszystkie wnętrza, stodoły, kuchnie i sypialnie, tak samo jak ubrania w szafach, sprzęty domowe i drobiazgi były do siebie tak podobne. I dlaczego znie-

cierpliwiła się, gdy w ostatnim domu, na jej wyraźnie pytające spojrzenie i gest, którego nie mógł pojąć, wzruszył lekceważąco ramionami?

Wybiegła zostawiając go pośród niejasnej obecności ludzi, którzy tu mieszkali. Nieśmiało dotknął blatu stołu, przeszedł tam i z powrotem po dużej izbie, wodził palcami po chłodnych kaflach pieca. Wreszcie stanął przy oknie i czekał nie wiadomo na co. Zalana słońcem droga była pusta. Żaden, najmniejszy nawet odgłos wiejski nie mącił absolutnej ciszy. Przez zarosniętą trawą grządki, przez zeszłoroczne tyki od fasoli, przez dzikie, zeschnięte słoneczniki, przez mech na parapecie, kurz na framugach, przez sprzęty, rzeczy i powietrze przenikał jasny, coraz groźniejszy cień opuszczenia. Gdyby choć jedna roztrzaskana szyba, zwalony płot albo otwarta i ograbiona nie do końca komoda poświadczycy mogły to, czego powoli zaczął się domyślać, jego niepokój nie byłby tak nagły i gwałtowny.

W niepohamowanym pędzie ruszył z powrotem od domu do domu i teraz już sam otwierał drzwi za drzwiami, zaglądał do spiżarni, składzików i altanek. Ale przedmioty spoczywały cicho, obojętnie, wszystkie na swoich miejscach i ten okrutny spokój zdawał się ukrywać spotęgowaną grozę, która czyhała w każdym zakamarku. W mleczarni, na skraju wsi, gdzie wszedł nieśmiało przez skrzypiące wrota, cebrzyki, sita i czerpaki stały na półkach, jakby za chwilę do drewnianych kadzi popłynąć miały strugi mleka. Podobne uczucie ogarnęło go w tkalni: kiedy szedł powoli przez pręgowane smugi światła, które wpadało do ciemnego wnętrza wąskimi świetlikami, kiedy dotykał nieruchomych czółen albo poruszał delikatnie krosna, zdawało się, że cała ta archaiczna maszyna zacznie kołatać, stukać, furczeć, że zaraz zza filarów wyjdą kobiety w długich i niepraktycznych sukniach albo mężczyźni w czarnych kapeluszach i ożywią to miejsce, gotowe w każdej chwili do codziennej pracy. W koszu z wikliny spoczywały skrawki sukna. Na półce leżała sztuka szarego samodziału. Pył, jaki wzbijał się spod jego palców, wirował w tyglach słońca coraz szybciej i coraz wyżej, aż wreszcie miliony rozpedzonych drobin zniknęły w górze pod krokwiami dachu, gdzie mimo dnia panowała zupełna ciemność.

Mrużąc oczy wyszedł na zalaną blaskiem drogę i zamiast wracać w kierunku zabudowań, szedł w stronę wydm. Dopiero gdy zauważył wielkie, nieruchome skrzydło wiatraka, przystanął wahając się, czy nie zawrócić, lecz zwyciężyła w nim ciekawość i pokonał ostatnie metry wzniesienia, brnąc po kostki w grząskim, gorącym piachu. Ze zdziwieniem oglądał pasy transmisyjne, zębate koła, dynamo i transformator, przez który nigdy nie popłynął prąd. Ktoś nie dokończył tutaj dzieła, o czym świadczyły zwoje gotowych do rozwinięcia drutów, izolatory i rozdzielcze skrzynki, spoczywające pod ścianami.

Tak, właśnie o to chciał zapytać, gdy zmęczony upałem i łażeniem wszedł cicho do jej domu. Cierpliwie przyjął podsunięte krzesło i usiadł przy kuchennym stole, lecz ona nie słuchała jego krótkich, wyważonych zdań, po których następowały długie pauzy, nie zamierzała wyjaśniać jego wątpliwości i zdziwił się, kiedy zamiast talerza czy miski z parującą kaszą, położyła na blacie gruby zeszyt, z którego wyrwała czystą w połowie kartę; tak, zdziwił go charakter jej dziecinnego pisma, tak różny od zakreślonych w górnej części strony sum rachunków, wśród których dojrzał kątem oka pozycje: „szklenie – 4 guldeny 75 fenigów” oraz „farba na płot – 2 guldeny 43 fenigi” (co łącznie stanowiło 7 guldenów i 18 fenigów, o ile nie popełnił błędu w dodawaniu); tak, zdziwiło go jej spojrzenie, które przeniosła z napisanego właśnie zdania wprost na niego – rozkazujące, natarczywe.

„Mężczyzna i kobieta nie mogą mieszkać w jednym domu, o ile nie są poślubieni – czytał – albo krewni, pan ma wybrać sobie inny dom, narzędzia wszędzie są, potrzeba skopać ogród, sadzonki to ja mam, co dzień w południe proszę przyjść na obiad”.

Powiedział tylko:

– Tak, ależ oczywiście. – I zanim skończyła pisać następne zdanie, wyszedł mruczając pod nosem: – Stokrotne dzięki ci, panienko.

Śledziła go przez okno. Zatrzymał się przy obejściu Helkeh, lecz po chwili wahania, zupełnie jakby nie pragnął bliskiego z nią sąsiedztwa, ruszył dalej i zniknął dopiero w domu Dornów. Zdziwiła się, gdy nie wychodził od nich przez dobry kwadrans, bo skoro już tam mieszkał, teraz mógł i powinien przyjść na obiad. Ale nie przyszedł. Także następnego dnia, gdy czekała z pokrzywową zupą, nie raczył się pojawić. Owszem, widziała go, gdy z wiecierzami maszerował w stronę rzeki albo gdy kręcił się po ogrodzie, wokół szopy, lecz nie ze szpadlem w dłoniach. Była ciekawa coraz bardziej, dlaczego znika w lesie na całe przedpołudnia, co robi wieczorami w domu, bez świec i nafty, samotny tak jak ona.

Niepostrzeżenie mijał dzień za dniem i nagle zdała sobie sprawę, że chce usłyszeć dźwięk jego głosu, cokolwiek miałby znaczyć, że sama pragnie opowiedzieć mu o wszystkim, za pomocą kartki i ołówka. Ale brakowało jej odwagi. Ojciec na pewno byłby rad, że udzieliła mu pomocy, lecz wizyta u obcego – bez konieczności wyższej – oznaczać mogła tylko jedno: złamanie prawa i kolejny grzech.

„Czy nawet wówczas, gdybym zaniósła mu placki i sałatkę z dyni?” – zapytała samą siebie, a wtedy wewnętrzny głos przypomniał jej natychmiast:

„Bez świadków nie spotka się niewiasta z mężczyzną, jeśli ten nie należy do rodziny”.

Przybysz tymczasem zachowywał się dziwacznie. Nie pracował w ogrodzie, spał zwykle do południa, potem przepadał gdzieś nad rzeką albo w lesie, a wieczorami — jeśli nie stukał młotkiem w szopie – siadywał pod wielką lipą Dornów i nieruchomo zapatrzony w niebo, czekał zmierzchu. Któregoś dnia, gdy rozkładała prześcieradła w sadzie, nadszedł niespodziewanie cicho i na ganku zostawił spore zawiniątko. Był to dziki królik: sprawiony, upieczony i zawinięty w liść łopianu. Innym razem znalazła na progu worek pełen ryb: sandacze, płocie i szczupaki, wypatroszone, przekładane zieleń — zapachniały dla niej jesienią i przeszłością. Tylko jak miałyby o tym opowiedzieć? O pełnych sieciach, dymie nad wodami i beczkach, które mężczyźni wtaczali do spiżarni w czas pierwszych chłodów? A na dodatek, cóż mogły go obchodzić takie sprawy?

Nagle odczuła, że tamten dawny świat, który zniknął dosłownie na jej oczach, nigdy nie wróci do poprzedniej formy. Mogła – jak do tej pory – pocieszać się nadzieją, mogła powtarzać w myślach prorocstwo Harmenszoon, o tym, że sprawiedliwi wrócą do swych domostw, lecz właśnie teraz, gdy kroїła płyty sandacza w równe, białe pasma, uświadomiona nieodwracalność spełnionego wprowadziła w jej duszę chaos i zwątpienie.

Pod wieczór, z potrawką w garnku (starczyłoby tego dla dwóch rodzin), ruszyła w stronę domu Dornów. Głos, który usłyszała z wewnątrz, nie należał jednak do nieznanego. Willman mówił głośno, nieprzerwanie, a tamten tylko co pewien czas zadawał mu pytania, tak cicho, że nawet gdyby skłoniła głowę ku otwartemu oknu, nie uchwyciłaby szczegółów, które niknęły jak owady w ciepłym, ogarniającym wszystko zmierzchu. Nie chciała podsłuchiwać. Mimo to, gdy weszła w chłodną sień, coś zatrzymało ją przed progiem izby. Czyż bohaterem opowieści nie był Bestvater, wygnany i przeklęty tak jak Hanna? Mężczyźni głosowali, lecz przedtem długo i gniewnie przemawiał Harmenszoon:

„Za mało wam zgorszenia w innych gminach?” —grzmiał mocnym głosem. – „Czy przypuszczacie, o naiwni, że skończy się na maszynach do ubijania masła i lampach w waszych domach? Wasi synowie sprowadzą tutaj radiowe aparaty, a córki, żony i teściowe sprowadzą kapelusze ze wstążkami! Czy tak wyglądać ma naśladowanie Pana? Nasze topory, pługi, sieci, nasze dłuta i heble, a wreszcie nasze dłonie i modlitwy – już nie wystarczą nam?”

Willman zamilkł, a nieznanomy niespokojnie poruszył się na krześle i zapytał:

– No i co potem zaszło?

– Potem – westchnął Willman – ci, co godzili się na elektryczność, podnieśli dłonie, ale było ich tylko trzech: Helke, van Dorn, no i wdowiec.

– Jaki wdowiec? – w głosie nieznanego zabrzmiała nuta zniechęcenia. – Czy wspominałeś mi już o nim?

– Tak, Wolzke, ojciec tej głupiej – Willman zachichotał cicho. – No i Bestvater, ale on nie miał prawa głosu, bo wiatrak i cała ta elektryczność to było jego dzieło, zostawił wszystko i odszedł następnego dnia.

– Odszedł... – przerwał mu nieznajomy. – To znaczy, chciałeś powiedzieć, wygnaliście go, tak po prostu?

W słowach Willmana nie było jednak wątpliwości czy choćby cienia żalu: Bestvater sam zapakował swój dobytek na konny wóz, zatrzasnął drzwi chałupy i przejeżdżając obok zboru krzyknął tak, żeby wszyscy go słyszeli:

„Harmenszoon, głupcze, ty nie objaśniasz Księgi, ty ją zatruwasz swoim jadem, od czego zdechną tutaj wszyscy!”

Słuchała tego z większym niepokojem niż wówczas, przed zbozem, skąd ojciec wyrwał ją do domu ze zgiełku i harmideru oburzonych głosów, gdyż jego podniesiona dłoń, ten jego gest przeciw Harmenszoonowi, o którym nie wiedziała aż do dzisiaj, nagle wprowadził ją w osłupienie, w jakiś przedziwny stan zmieszania, w jakim nie znajdowała się nigdy dotąd. I chociaż Willman opowiadał dalej o przenosinach Bestvatera do gminy Tiegenhagen, gdzie wprawdzie nie było wydm i morza, lecz za to kamizelki mężczyzn miały guziki zamiast haftek, gdzie zakładano właśnie elektryczność i gdzie starszymi byli bracia de Veer, Jan i Piotr, niewiele z tych rzeczy docierało do niej. Wreszcie, gdy Willman skończył i w izbie zapanała cisza, pchnęła uchylone drzwi, postawiła na stole garnek z potrawką i wyszła tak prędko, że zdumieni rozmówcy nie zdążyli zatrzymać jej nawet w sieni.

Chciała zapłakać, ale ani jedna łza nie spłynęła po jej policzku. Chciała wykrzyczeć cały swój ból, ale ani jedno słowo, nawet najprostsze, nie mogło wydostać się z jej ust.

W świetle księżycy ciężarówki bezszelestnie zajechały przed zbor i tak jak wtedy, gdy wracała znad morza, zatrzymała się na granicy lasu. Ludzie w mundurach czekali już tylko na Harmenszoon. Wreszcie ukazał się i, tak jak wtedy, trzymał w dłoniach karty, foliały, pergaminy, z których najstarsze, oprawne w drewniane ramki, miały pieczęcie królów. Podeszedł do oficera i wymachując mu przed nosem plikiem dokumentów, mówił na cały głos, że to bezprawie. Przez tłum przebiegł lekki szmer, i tak jak wtedy, oficer zgasił obcasem niedopałek, po czym dał znak. Wsiadali, posłuszni uzbrojonym ludziom. Harmenszoon podniósł głos i, tak jak wtedy, przekonać pragnął oficera, że Mołoczno i Chortyca dawno już w Rosji nie istnieją, że ich przodkowie podróżowali tam dobrowolnie, że ziemia, na której teraz stoją, nigdy nie znała gwałtu, albowiem wyznawcy Pana nigdy nie noszą i nie używają broni, tak samo jak nie składają przysięg. Tak jak wtedy ciężarówki odjeżdżały jedna za drugą, Harmenszoon mówił, oficer kiwał głową i poklepywał Harmenszoon po ramieniu i, tak jak wtedy, gdy transport zniknął za zakrętem, oficer dał znak, żołnierze strzelili raz i drugi, Harmenszoon upadł, oficer rozgarnął butem stertę papierzysek, pergaminów, podpalił je benzynową zapalniczką, rozejrzał się uważnie dookoła, dał znak i, tak jak wtedy, odjechał małym odkrytym samochodem, w asyście dwóch motocykli, wyprzedzając na zakurzonej drodze kolumnę bydła poganianą przez pieszych wartowników.

Tak jak wtedy, przyłgnęła twarzą do gładkiej, porośniętej mchem bukowej kory. Lecz teraz nie słyszała psów, które wówczas jak szalone obszczekiwały konwojentów bydła, dopóki nie uciszyły ich na zawsze karabinowe strzały. Teraz bała się widm, nie ludzi. Może dlatego, gdy zobaczyła światło w oknie swojego domu, weszła do izby pewnym, szybkim krokiem? Wiedziała, że będzie na nią czekał. Wiedziała, że będzie mówił. Przykręciła filujący zbyt mocno knot lampy i usiadła naprzeciw niego. Powiedział, że na imię ma Jakub i że widział piekło. Powiedział, żeby się nie bała, bo on, Jakub, syn Arona, zbuduje z Willmanem łódź i popłyną daleko, na drugą stronę morza, gdzie ludzie nie wrzucają innych ludzi do pieców ani do ciężarówek. Napisała na kartce, że łodzie stoją nad kanałem. Powiedział, że to zbyt małe łodzie i za stare na taką podróż i że Willman myśli tak samo. Dopisała szybko, że nigdzie nie popłynie, bo czeka tu na ojca, na Rachełę, na Helkeh i na wszystkich innych. Powiedział gło-

śno, że nie wrócą. Napisała, że wrócą. Zapytał, skąd wie, że wrócą. Napisała, że od Harmenszoona. W jego spojrzeniu, które podniósł z przeczytanego właśnie zdania na jej twarz, oblała migotliwym światłem naftowej lampy, ujrzała trwogę i niepokój. Powiedział:

– Przecież ten Harmenszoon nie żyje, wiem od Willmana, żeście go pochowali.

Przez moment wahała się nad kartką, aż wreszcie napisała:

„Boję się, bo któregoś dnia, gdy przyjdzie tu znowu Ludwik...”

Zapytał, kto to jest Ludwik. Ale ona odsunęła zeszyt z rachunkami i ukryła twarz w dłoniach. Teraz mówił do niej łagodne, czułe słowa, lecz nie był pewien, czy go słyszy. Płakała cichym, stłumionym szlochem, podobnym do popiskiwanego psiaka. Nie odsunęła się, gdy położył jej na głowie swoją dłoń. Dopiero kiedy jego palce zsunęły lniący czepek i mimowolnie zaplątały się we włosach o barwie płonącej, jasnej miedzi, nie podnosząc wzroku uniosła rękę i odnalazłszy jego dotyk pomiędzy szylkretową spinką a obnażonym karkiem, spowodowała, że cofnął dłoń i znów usiadł wyprostowany.

– Jest mało czasu – powiedział – trzeba się bardzo śpieszyć. Czy wiesz – dodał na odchodnym – dlaczego nie spalili waszych domów?

## IV

Willman łaknął jego opowieści. W szkutni Andressa, gdzie pracowali teraz od świtu aż po zmrok, Jakub roztaczał przed nim obrazy, od których mogło się zakreślić w głowie. Często, nie odkładając hebla czy topora, Willman wpadał mu w słowo żądając wyjaśnienia. Co to jest uwertura? Czy batuta może być z cisu, czy też lepiej, żeby wystrugano ją ze świerkowej gałęzi? Czy tunel dla orkiestry, w którym Jakub zasiadał co wieczór, to coś bardzo głębokiego? Na co komu dyrygent, skoro muzycy i tak wiedzą, co mają grać? Czy na scenie śpiewa się psalmy? Co to są drugie skrzypce?

Złote spirale strużyn sływały do nóg Jakuba jedna za drugą, podczas gdy jego głos wznosił się pod sklepienie szopy śmiechem Almavivy, lamentem don Josego albo przekleństwem Fausta. Willman uwielbiał zwłaszcza te historie, gdzie padał trup, a miłość – tak jak śmierć — udrapowana była w szatę przeznaczenia.

– I czy to wszystko – pytał za każdym razem – zdarzyło się rzeczywiście?

Cierpliwie i przystępnie wyjaśniał Jakub, czym jest libretto, rola, partytura. Willman potakująco kiwał głową, lecz podejrzewał, że Jakub nie chce wyjawiać pełnej prawdy. Jak można było przedstawiać coś, co nigdy nie wydarzyło się gdziekolwiek? I to przed ludźmi, którzy co wieczór zasiadali na eleganckich krzesłach i fotelach? Po co muzycy i śpiewacy mieliby oszukiwać?

Jakub natomiast nie oczekiwał opowieści. Jego pytania, rzucane z rzadka i jakby od niechcenia, zmierzały do ustalenia spraw koniecznych. Willman nie wiedział, czy w ujściu rzeki zjawiają się patrolowe łodzie. Nie miał pojęcia, w których gminach przeprowadzono wysiedlenie. Wiedział za to, że w Tiegenghagen, tam gdzie starszymi byli bracia de Veer, Jan i Piotr, tam gdzie założył słupy elektryczne Bestvater i gdzie noszono kamizelki z guzikami, zdecydowano, że mężczyźni mogą składać przysięgę, założyć mundur, nosić broń, lecz tylko wówczas, kiedy upomną się o nich ludzie z miasta.

– To było dawno – stwierdził po namyśle Willman – na rok przed ogłoszeniem wojny.

Jakub chciał także wiedzieć, czy ktoś z tutejszych miał jakiegokolwiek mapy, najlepiej takie, według których żeglują się po morzu, lecz Willman nie przypominał sobie nic podobnego. Jeżeli wypływali, to tylko do ławicy, a jeśli ktoś – tak jak Dornowie – udawał się do miasta wodą, to zawsze w świetle dnia, nie tracąc z oczu brzegu.

Praca tymczasem szła im nadspodziewnie szybko i gdzieś pod koniec sierpnia, kiedy na nocnym niebie rozbłyskiwały warkocze spadających gwiazd, kadłub stał już gotowy. Nasmołowali go i spuścili w ciemną, pełną zielska i glonów toń kanału.

– Myślałem – powiedział wtedy Willman – że jesteś skory tylko do gadania, ale masz zręczne, mocne dłonie.

Jakub nie mógł ukryć zadowolenia, lecz zdanie, dowcipne, żartobliwe, którym chciał odpowiedzieć, zawisło na jego wargach jak ścięty szronem owoc, gdy Willman dodał zaraz:

– Tylko czy musisz do niej chodzić?!

– Co masz na myśli? – zapytał i zaraz, prawie natychmiast, pożałował pytania, ponieważ pojął, że wzrok Willmana, to jego chłodne spojrzenie niebieskich oczu, towarzyszyło mu nie tylko tutaj, podczas budowy łodzi, lecz wędrowało za nim każdego wieczoru, kiedy zmęczony pracą mówił: „Do jutra” i ruszał ścieżką nad kanałem w dusznych oparach tataraku, stojącej wody i grzęzeli, skręcał obok trzech dębów, a potem piaszczystą drogą, tuż u podnóża wydm i cementarza dochodził do domu Dornów, który przelotnie, na pewien czas, był jego własnym, Jakubowym domem, lecz już nie teraz, gdy nie wstępował po skrzypiących schodach ganku wzwyż, tylko szedł dalej, obok milczących, niewielkich okien zboru, aż do jej progu, gdzie wzrok Willmana nie zatrzymywał się na zniszczonej farbie futryn, lecz szperał dalej, przez ściany, szepty i milczenia, jak gdyby miał do tego prawo nadane mu przez wdowca albo nieznane Jakubowi więzy krwi.

– Co mam na myśli? – Willman powtórzył niczym echo. – Ano to, że ona z nami nie popłynie.

– Nie – Jakub spojrzął mu prosto w twarz – ona nie jest tak głupia, jak ty uważasz, już niedługo przekonam ją... Willman wybuchnął głośnym śmiechem.

– Jej matka – powiedział łapiąc oddech – łąziła też nad morze. I nawet Harmenszoon bał się zakazać tych dziwactw, tych kąpiei. Wiesz dlaczego? Bo się jej bał. A wiesz dlaczego? Bo była czarownicą. Na szczęście utopiła się.

– Myślałem, że czarownice są specjalnością katolików – powiedział Jakub – ale widocznie to pomyłka.

Willman nie odpowiedział. Zajął się takielunkiem, mamrocząc pod nosem wierszyk:

Fala szumi, wicher dmie,  
Któż na pokład weźmie cię?  
Ani ja, on też nie,  
Zostań w domku, kochanie.

Przez kilka dni pracowali w ciężkim milczeniu. Kiedy zaś – jak w każde południe – ona zjawiała się nad kanałem z koszykiem przygotowanego dla nich jedzenia, Willman zwyczajnie brał swoją porcję i spożywał miarowym, systematycznym ruchem szczęk. Jakub jadł szybciej i zawsze zbierał z ziemi najdrobniejsze okruchy, kładł je na dłoń i wsysał ustami. Lubiła patrzeć na jego długie, delikatne palce. Lubiła chwilę, w której podnosił wzrok i ukradkiem spoglądał na koszyk, gdzie czekały jeszcze jabłka z sadu albo jagody zebrane przez nią w lesie.

I chociaż wszystko toczyło się jak przedtem, bez zmian w codziennym rytuale, wyczuła, że pomiędzy tymi dwoma wyrasta niewidzialny mur niechęci. Gdy był już absolutnie szczelny, napisała na kartce:

„Co się stało?”

I kiedy Jakub zjawił się po zmroku w domu, położyła na stole swoje pytanie.

Udawał, że nie może go odczytać, więc podkręciła knot. Udawał, że nie rozumie, więc dopisała:

„Willman i ty”.

Powiedział:

– To nic takiego.

Więc napisała jeszcze:

„Widzę”.

Lecz nie chciał mówić, a jego twarz, którą wieczorami rozjaśniał zwykle uśmiech, teraz była napięta i skupiona. Zjadł tyle co nic, nie podziękował nawet i szybko wyszedł z izby. Słyszała, jak skrzypią schody, po których wstępuje powolnym, ciężkim krokiem na strych. Tym razem jednak krzątania na górze trwała krótko. Zebrał swoje drobiazgi i zanim zdążyła sprzątnąć kuchnię, wrócił na dół.

– Lepiej już pójde – powiedział – rano z Willmanem wypróbujemy żagle.

Skinęła głową. A kiedy zniknął, z lampą w dłoni weszła powoli na górę. Łóżko, które tu wstawił, było porządnie zaścielone. W skrzyni, która służyła mu za szafkę, znalazła zmianę bielizny, chustkę i skarpetki. Futerał leżał obok poduszki, nie domknięty. Ostrożnie wyjęła skrzypce i tak, jak czynią to osoby niewidome, dotykała ich palcami. Włosie na smyczek, struny i kostkę kalafonii dostarczył Jakubowi Willman. Lecz sam instrument, który przez sto, a może więcej lat, pomiędzy palną bronią, wśród map, błyszczących chronometrów i garści srebrnych monet, spoczywał w kufrze po belgijskim kapitanie, stanowił prezent od niej. Jakub grywał nocą, tu, na górze, a wtedy każdy dosłownie dźwięk muzyki przenikał ją na wskroś i wszystko stawało się nieważne, nawet zakazy, które łamała nie bez obaw. Czasami we śnie przychodził do niej ojciec, siadał na skraju łóżka i bez słowa wskazywał palcem sufit, jakby ją pytał:

„Co to ma wszystko znaczyć?”

Lecz ona sama nie była pewna, czego w istocie pragnie, a myśli – pełne niejasnych przeczuć i obrazów —ciężyły jej chaosem, dziwaczną aurą obcych, dotychczas nie znanych spraw. Skrzypce spłynęły w omszałą łupinę futerału. Trzymając lampę w jednej, instrument w drugiej dłoni, z ciężkim sercem schodziła wolno w dół. Dopiero w izbie zorientowała się, że Jakub wrócił i że, przechodząc sienią, musiała minąć go o włos. Teraz milcząco stał przy drzwiach, wpatrując się w jej postać. Wskazała na futerał i wzrokiem zadała mu pytanie, czy po to przyszedł. Powiedział:

– Nie. —I zanim zdążyła sięgnąć po zeszyt i ołówek, dodał szybko: – Ktoś chodzi w zborze, widziałem w szybach światło.

Podeszła do okna i pokazała księżyc.

– Nie – szepnął – blask jest w środku, przed chwilą sam widziałem.

Chwyciła jego dłoń, skłoniła, żeby usiadł i otworzyła zeszyt.

„Zdawało ci się – przeczytał – zostań tutaj”.

– Willman – zapytał – co on tam robi nocą?! Nie chciała mu odpisać.

– Dlaczego coś ukrywasz?! – krzyknął. – Jeśli nie Willman, to kto?!

Ołówek jednak milczał, podobnie jak jej wzrok.

Jakub wyszedł. Po chwili marszu stał już przed zbozem. W oknach odbijał się rzeczywiście blask księżycy i żadne inne światło, przynajmniej teraz, nie rozjaśniało wnętrza ciemnej bryły. A jednak nie mógł się pomylić: kiedy szedł od niej w stronę domu Dornów, ktoś, kto trzymał w dłoni lampę albo świecę, chodził w domu modlitwy; płomień przesuwiał się między ścianami i rzucał w okna migotliwy cień.

Jakub nieśmiało pchnął ciężkie, dwuskrzydłowe drzwi. W słabej poświacie ujrzał ławki i długi na kilkanaście łokci stół, który górował z podwyższenia. Stare, wyslizgane pokoleniami sukna i drewno grzbietów książek pachniały modlitwą i czasem. Nie był tu sam i odczuł to z przestraczem, gdy z kąta sali, tam gdzie panował całkowity mrok, doszły go strzępy pomrukliwych zdań, postukiwania i szelesty.

– Jestem Jakub – powiedział głośno i wyraźnie. – A ty kim jesteś?

Nikt nie odpowiedział. Dźwięki ustały, ale na moment, bo ledwie postąpił parę kroków w przód, w kącie rozległ się hałas, jakby gwałtownie zrzucano na podłogę wiele przedmiotów równocześnie. Podeszedł jeszcze bliżej, ale w miejscu, gdzie zbiegały się dwie ściany, nie było nikogo. Za to przy drzwiach ogromnej szafy, którą zobaczył dopiero teraz, przeszklonych i otwartych, leżały rozrzucone księgi. Nieśmiało, delikatnie, jedna po drugiej brał je w dłonie i

stawiał na dębowej półce. Z pergaminowych stronic, skórzanych grzbietów, ze świętych liter i metalowych okuć wzbijał się gęsty kurz. Świdrował w nosie, szczypał w oczy, lecz w jego ingrediencjach Jakub wyczuł coś jeszcze: zapach zgaszonych co dopiero świec. Podeszedł do stołu. Wosk zastygnięty na lichtarzu był jeszcze ciepły. Obok stało naczynie podobne do pucharu. Ostrożnie dotknął kciukiem menisku dna i zaraz potem zbliżył palec do języka. Nawet nie kropla, zaledwie ślad wilgoci miał w sobie smak lichego czerwonego wina.

– Ja jestem Jakub – wykrzyczał w ciemność. – Jeżeli ktoś jest tutaj, niech się odezwie!

Nie było odpowiedzi. Słyszał, jak w sklepionej ciszy jego ciała serce tłoczy wciąż krew, słyszał, jak w twardych słojach drewna komiki toczą nieustannie labirynt mrocznych korytarzy. Ruszył ku wyjściu powolnym, cichym krokiem. Gdy był w połowie zboru, podobny do poprzedniego hałas rozległ się za jego plecami. Lecz teraz księgi nie wypadały ot, tak, po prostu z szafy, teraz, ciskane z furją o podłogę, huczały jedna za drugą echem swych upadków. Pomiedzy tymi odgłosami, niczym przekleństwo powtarzane w kółko, dał się słyszeć werset o ogniu i spalaniu. Co to miał być za ogień, kogo lub co miał spalić, tego już Jakub nie dosłyszał, bo nie chciał słyszeć.

Wybiegł przerażony, a wizja upadających ksiąg ściagała go na drodze. Zdawało mu się, że fruną na rozpostartych skrzydłach stronic za nim, że w locie muskają jego ramiona, twarz, że jak kamienie padają mu pod stopy, a on musi je przeskakiwać, niczym strumienie w górach.

Gdy wpadł do izby, blady, roztrzęsiony, nie chciał powiedzieć słowa, nie chciał przeczytać ani jednego z cierpliwie wypracowanych przez nią zdań, które kończyła właśnie pisać, być może podejrzewał, że miała w tym ukryty cel, by go nie ostrzec nałęczycie, być może myślał, że ten ktoś, kogo nie mógł zobaczyć w zborze, przerażający i okropny, działa z nią w zмовie i przez cały czas jego pobytu tutaj, w tej małej, dziwnej i opuszczonej wiosce, śledzi go z ukrycia, wydając jej rozkazy, być może zresztą nie myślał nic takiego, bo słyszał wciąż łoskot spadających ksiąg, straszny, narastający huk, który wzbijał w powietrze tumany srebrzystego pyłu i dźwięczał w uszach jak oddech Abbadona, niosący wiatr zagłady; być może nie chciał tego wszystkiego jej powiedzieć, bo musiałby podnieść głos, musiałby do niej krzyczeć, więc kiedy już ochłonął i upił z dzbanka łyk wody, powiedział tylko:

– Obudź mnie wcześniej rano, Willman nie znosi, gdy spóźniam się nad kanał. – A potem, już ze schodów dodał jeszcze, nie tak jak zwykle: „Dobrej nocy”, lecz: —Mimo wszystko dobrej nocy.

A jednak była szczęśliwa. W końcu pozostał tutaj, nie u Dornów. Mogła, leżąc już w łóżku, słuchać, jak suwa krzesłem, jak chodzi po pokoju, jak gra na skrzypcach, zdejmuje buty, czasami śmieje się do siebie, otwiera lub zamyka okno albo przeciągle – chyba specjalnie głośno —ziewa, a potem układa się do snu. Mogła obudzić go przed świtem, patrzeć, jak zjada zawsze takie same placki na śniadanie, zakłada buty i odchodzi wąską ścieżynką do trzech dębów. Była szczęśliwa, choć żaden odgłos krzątania nie dochodził teraz z góry, a skrzypce spoczywały tu, na dole. Tymczasem tam, na górze, we śnie Jakuba, zjawił się nagle jego ojciec. Przysiadł na skraju łóżka i szepnął mu do ucha:

„Jak szedłeś do orkiestry, rzuciłeś dom, obyczaj, mówiłem, że to źle, lecz teraz? Teraz to czysta katastrofa!” —Wskazał palcem w dół, na podłogę i spytał: — „Co to ma wszystko znaczyć?”

Ale, rzecz jasna, nie słuchał wcale, co syn ma mu do powiedzenia. Spod czarnego płaszcza wyjął swoją Księgę, przewracał powoli strony, wahał się, marszczył brwi, mamrotał, po czym wyjmował z kart pojedyncze litery, unosił je w palcach jak cienkie płatki sadzy i dmuchał w nie ostrożnie, a one, nie zmieniając swoich kształtów, szybowały powoli przez pokój i opadały na Jakubową twarz, na jego wargi, na czoło, na powieki.

Tak pochłaniała go ta czynność, że nie spostrzegł granicy snu, nie zauważał w ogóle obecności tej kobiety. Ona zaś odłożyła futerał ze skrzypcami obok łóżka, pochyliła się nad Jakubem i tam, gdzie pojawiała się litera, składała pocałunek. Znaki znikwały jak płatki śniegu pod dotknięciem jej warg. Jakub obudził się. Bardziej niż nieobecność ojca, i jeszcze bardziej niż



jej, tak niespodziewana tu, obecność, zdziwiło go co innego. Szeptala do niego czule, pełne uczucia słowa. Mogła mówić. Kiedy spostrzegła, że już nie śpi, kiedy natychmiast chciała odejść, zatrzymał ją stanowczym, mocnym gestem.

W parę godzin później, gdy nasycona miłością przebudziła się u boku Jakuba i delikatnie – tak, aby nie przerywać mu snu – dotykała opuszkami palców jego twarzy, usłyszała daleki, narażający łoskot morza. Wraz z pierwszym sztormem lato nieubłagane zbliżało się do końca. Kilka bądź kilkanaście ciepłych dni, jakie mieli jeszcze przed sobą, nie mogło zmienić tu niczego, choć między nimi zmieniło się wszystko. Jakub wrócił znad kanału po kilku kwadransach:

- Willman – powiedział łamiącym się głosem – załadował zapasy i wypłynął dziś nocą.
- Czy zostawił jakiś głupawy wierszyk? – zapytała.

## V

Dzień, w którym ujrzeli samolot, nie różnił się od poprzednich. Mróz trzymał tak samo mocno, jak przez całą zimę, prawie od czterech miesięcy. Jakub wyszedł z drewnitni i z uniesioną głową śledził lot zwiadowczego dwupłatowca: nadleciał od wschodu, zatoczył krąg nad wydmami, przemknął nad wsią i skierował się na zachód, do ujścia rzeki. Ona też go spostrzegła: na skrzydle nie miał czarnego krzyża (tak jak samochód oficera, który natychmiast sobie przypomniała), ale czerwoną gwiazdę.

- Co to oznacza dla nas? – spytała przy kolacji. Jakub zamyślił się nad rozwodnioną polewką.

– Chyba możemy zabić kurę i ugotować rosół —powiedział – ale jeszcze nie dzisiaj, może za parę dni.

Noce stały się odtąd ich udreką. Jakub pojmował jej niepokój: bardziej niż obcych lękała się teraz powrotu swoich, w który wierzyła tak silnie i mocno, że nawet jego opowieści o tym, co go spotkało tam, w obozie i w transportach, jego zdawkowe napomknienia, jakich unikał wcześniej, nie były w stanie podważyć tej fatalnej nadziei. Chwilami czuł, jak rośnie w niej lęk i niechęć. Tłumiła go wybuchami namiętności, coraz gorętszej i bardziej natarczywej, lecz Jakub wiedział, że w ten sposób odsuwa jedynie myśl o chwili, w której stanie przed całą gminą tylko po to, żeby zostać osądzoną i wygnaną.

– Nie możesz ciągle o tym myśleć! – wybuchnął któregoś razu. – Grzech to pojęcie względne.

W krótkich, rzeczowych zdaniach, opowiedziała mu o Hannie i Ludwiku. Widziała szwagra wtedy, przy oficerskim samochodzie. Widziała, jak oddał strzał prosto w skroń Harmenszoon. Parę miesięcy później, gdy zobaczyła starca w zborze, z tą samą, nie zagojoną raną, z tym samym, zlepionym krwią kosmykiem siwych włosów, pewna była, że postradała rozum, lecz Willman, którego sprowadziła szybko, ujrział to samo: Harmenszoon szukał czegoś w księgach, lecz nie mógł znaleźć, złościł się, wrzeszczał: „Popełniono błąd!” i zniknął tylko po to, żeby za kilkanaście dni pojawić się znowu w zborze, znowu zapalać świecę i znowu ciskać księgami o podłogę. Bała się, że któregoś razu pojawi się u niej w domu, więc ubłagała Willmana, żeby to zrobił, tak, poszedł w końcu na cmentarz, żeby rozkopać grób, ale tam wszystko było w porządku: nie naruszona trumna i gąbczaste, rozkładające się już ciało, to samo, które złożyli razem w dzień po odjeździe ciężarówek, więc nie mogli tego zrozumieć, dlaczego wraca, po co szpera w księgach, o jaki „błąd” mu chodzi, lecz później sama, z okrutną jasnością to pojęła: Harmenszoonowi (lub raczej temu, co pojawiał się pod postacią Harmenszoon) szło o grzech: zwyczajny ludzki grzech, którego nie dało się wypełnić nawet w takich miejscach jak to, nawet przy takich prawach, jakie tu mieli od stuleci, a skoro tak, to cały świat był pogrążony, nie było już nadziei i to, co zapisano w Księdze o przyjściu Pana zapowiedzianym uciskiem i znakami, mogło zwyczajnie się nie spełnić, bo jak by miało to nastąpić, jak by to miało się wydarzyć, skoro niesprawiedliwych nie można było już odróżnić od sprawiedliwych?

Słuchał tego z zapartym tchem. Gniew, który błyskał w każdym jej wyrazie, spływał nie tylko na nią czy na niego, ale na cały świat.

– Za parę tygodni – powiedział – kiedy Rosjanie przepędzą Niemców, odejdziemy stąd, jeżeli tylko zechcesz.

– Dokąd? – zapytała. – Czy jest takie miejsce?

– Ziemia jest ogromna – odparł. – Większa niż nam się zdaje.

Kilka dni później obudził ich nocą głęboki, nieustanny huk. Na rzece pękały lody. A jeszcze dalej, za wydmami i grzywami lasów, mruzczała na równinie ciężka artyleria. Wraz z deszczem przyszła rano odwilż. Śnieg był wilgotny, przyklejał się do butów ciężkimi koturnami, które natychmiast zbijały się w zlodowaciałe gule. Co parę kroków Jakub przystawał, by zaostrzonym kijem odrąbać je od podeszew. Tobołek upadał wówczas w mokry śnieg, Jakub klął pod nosem, podnosił go, zarzucał znów na plecy i ruszał dalej. Za każdym razem oglądał się za siebie, jak gdyby nie dowierzał, że jego prośby, błagania, argumenty były dla niej jedynie dźwiękiem pustych słów. Jakby wciąż miał nadzieję, że ona zmieni zdanie, że ujrzy ją na drodze, jak pokonując ohydnie śliską breję śniegu podąża za nim.

Lecz droga była pusta. Za zakrętem, kiedy z perspektywy zniknęły znajome dachy domów i prostokątna bryła zboru, Jakub zatrzymał się, aby opróżnić pęcherz.

Żółty strumień złobił w śniegu głębokie rozpadliny, roztopiał lód, aż wreszcie przebił się do ziemi niewielkim korytarzem, na dnie którego leżała szara, zeszlóroczna szyszka.

Po raz ostatni obejrzał się za siebie, żałując teraz mocnych, prędkich słów, jakie zostawił na pożegnanie. Być może wolno było mu powiedzieć: „I po co pleciesz bzdury, przecież ten Mesjasz, twój czy mój, nigdy się nie pojawi!” ale czy musiał dodać zaraz, szyderczym, ostrym tonem: „Wybawić możemy tylko samych siebie, czy nie rozumiesz tego?”. To zdanie ciążyło mu teraz jak niepotrzebny bagaż i musiał je dźwigać dalej, jak kamień włożony do tobołka. Wreszcie, gdy zmierzch położył na szszarzałej bieli długie, fioletowe cienie, Jakub dotarł do miejsca, gdzie droga wychodziła z lasu.

Linia wąskotorowej kolei zasypana była śniegiem, a na peronie – gdzie oprócz tablicy z nieczytelną nazwą stała drewniana szopa – leżał martwy koń. Ktoś wyciął z truchła kilka sążnistych porcji mięsa, resztę musiały szarpać zgłodniałe psy uciekinierów, przez kilka co najmniej dni. Wzdłuż torów, które ruszył dalej, znajdował porzucone rzeczy: młynek do kawy, wojskowy plecak, dziecinne sanki, nocnik, przedziurawiony pled, a potem, gdy mijał opuszczone albo spalone domy, znajdował porzucone trupy. Niektóre z nich w mundurach, inne w cywilnych ubraniach, spoglądały na Jakuba ze zdumieniem, jakby pytały go, czy rzeczywiście jest zwycięzcą. Żywi nie mieli tej śmiałości: zbyt przerażeni własną katastrofą, cisi, pokorni, ugrzeczniejsi, spuszczały wzrok, odpowiadali półsłówkami.

Dopiero po dwóch dniach, już na przedmieściu, Jakub natknął się na rosyjski patrol. Gdy zamiast dokumentów pokazał cyfrę tatuażu, oficer kazał go przepuścić. Miasto cuchnęło spalenizną, trupim odorem, wczesną wiosną, smarem pancernych aut, wilgotną sierścią psów, rabunkiem, karbolem lazaretu, machorką, prochem, krwią, gwałtem i gorzałką, i jeszcze czymś nieokreślonym, tajemniczym, co Jakub rozpoznał i nazwał dopiero po pewnym czasie, krążąc jak żuk w wąwozach wypalonych ulic. Był to drobnutki pył gotyckich cegieł. Unosił się nad ruinami portowych magazynów, kościołów i kamienic, świdrował w nosie, wciskał się pod ubranie, a kiedy osiadał na topniejącym śniegu i we włosach, zabarwiał je czerwonym blaskiem tłących się jeszcze pogorzeliisk.

W ponurym labiryncie Jakub błądził przez parę godzin i wyglądało na to, że adres, którego nauczył się na pamięć, jest nieaktualny, ponieważ przypisany był innemu miastu. Wreszcie odnalazł ten zaułek: dwa ocalałe domy pośrodku gruzowiska. W podwórku, za kasztanem, obok żeliwnej pompy skręcił w bramę i wszedł po skrzypiących ze starości schodach na pierwsze piętro. Od piwnic aż po dach snuł się tu zapach rozgotowanej brukwi i gdzieś, z naj-

głębszej skrytki pamięci, dotarł do Jakub krótki jak mgnienie, mętny, a przecież tak wyraźny smak obozowej zupy. Nieśmiało zastukał, ale z mieszkania nie dobiegł żaden dźwięk.

Pewien, że nie zastanie tu nikogo, wyjął z kieszeni list. Koperta była gruba, zaś szpara z klapką i napisem *Briefe* wcale nie tak szeroka. Mocował się z tym chwilę i zaskoczony poczuł, że czyjeś dłonie – po drugiej stronie drzwi – są mu pomocne. Kiedy przesyłka zniknęła w listwie, Jakub zapukał jeszcze raz. Zazgrzytał łańcuch, drzwi uchyliły się nieznacznie i ujrzał Hannę. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie starszą z sióstr. Były podobne, owszem, lecz cechy fizyczne, jeżeli miały tu znaczenie, to drugorzędne. Już w pokoju, dokąd niechętnie go wprowadziła, zwrócił uwagę na ruch jej dłoni, na pochylenie głowy, na wyraz oczu, kiedy czyta.

– Więc pan – uniosła wzrok znad kartki – był tam przez tyle czasu?

Zaczął żałować, że nie przeczytał listu. Co miała na myśli mówiąc: „tam”? Milcząc wzruszył lekceważąco ramionami. Lecz ona na razie nie pytała więcej. Zdania jej monologu, długie i niezbyt jasne, w których dawna przeszłość mieszała się z wydarzeniami ostatnich dni, były nużące jak marcowy zmierzch, który zapadał właśnie za oknami. Cóż obchodziła go śmierć Ludwika, parę miesięcy temu, na bohaterskim froncie? Albo jej lęk, co zrobi, gdy Rosjanie przekażą to miasto Polakom? Obawy o młodszą siostrę nie brzmiały nazbyt szczerze. Podobnie jak wtrącane tu i ówdzie uwagi o okropnościach wojny, które czyniła zapewne przez wzgląd na niego. Chciał już odejść, a wtedy obruszyła się: czyż prośba siostry nie jest dla niej święta? W dodatku jest teraz godzina policyjna, Rosjanie strzelają bez ostrzeżeń.

– Tutaj jest pokój, w sam raz dla pana – powiedziała. – Czy umie pan choć trochę po polsku?

Skinął głową, co mogło znaczyć: „Tak, bardzo dobrze”, ale zamiast potwierdzić ten gest słowami, zapytał, czy w liście siostra pisze coś o Ludwiku.

– O Ludwiku? – spytała zdziwiona. – Nie, dlaczego o nim, pisze o panu, prawie cały ten list, nie powiedziała tego?

Był zakłopotany. Zwłaszcza gdy Hanna, przebiegając wzrokiem raz jeszcze pismo siostry, zadała mu pytanie:

– Czy pan ją kocha? Czy doszło między wami do zbliżenia?

A kiedy milczał, dodała zaraz:

– Niech pan się nie obraża, ja jestem nowoczesna, a o takich sprawach najlepiej mówić wprost, nieprawdaż? Czy myśli pan, że oni wrócą z przesiedlenia? Ona mi pisze, że będzie czekać do jesieni, a potem przyjedzie tu, do miasta, i ma nadzieję spotkać pana. To pięknie, żeście się umówili, czy mam rozumieć, że ona jest tam teraz zupełnie sama? Tak, zawsze była taka odważna. Pan pewnie nie wie, ale kiedy ci moi mnie wyklęli, ona jedna mnie odwiedziła. Mój Boże, wszystko wydawało się wtedy takie proste. A teraz?

Już przy kolacji Jakub powiedział Hannie, że chce wyruszyć w świat. Może za kilka miesięcy będą odbijały stąd liniowe statki? A jeśli nie, zdecydowany jest podróżować nawet przez Niemcy. Ma wuja w Ameryce, odnajdzie go i tam, po drugiej stronie Atlantyku, rozpocznie nowe życie. Bo tu, na starym kontynencie, zawsze ktoś kogoś będzie chciał wyklinać, odbierać miasta, palić domy.

Hanna patrzyła na Jakuba z dyskretną ciekawością. Kiedy zapalał się i mówił nieco szybciej, w jego oczach rozbłyskiwały ogniki. Dopiero po pewnym czasie zauważyła owo zadziwiające podobieństwo: twarz Jakuba i twarz z obrazka, który dostała od proboszcza, były dosłownie identyczne. Zupełnie tak, jakby jej gość pozował nieznanemu malarzowi. Było to oczywiście niemożliwe, tym bardziej jednak czuła niezwykłość sytuacji. Jakub uchwycił jej spojrzenie, którym bezwiednie nakierowała jego wzrok na ścianę. Pomiędzy ślubną fotografią a zdjęciem Ludwika, wisiała w złotych ramkach „Pamiętka chrztu świętego”. Jezus podnosił dłoń, a jego przemienione ciało rozjaśniał blask nieziemskiego światła.

– Teraz rozumiem – powiedział śmiejąc się Jakub – dlaczego pani tak na mnie patrzy. Milczała, więc dodał zaraz:

– Tam w zborze ani w domach nie widziałem żadnego obrazu.

– Oni uznają to za grzech, zresztą – westchnęła – wszystko jest dla nich grzeszne i występne. Mówią, że naśladowują Boga. Ale czy człowiek może porwać się na takie sprawy? Za wyso-ko! Dlatego ich życie to udreka, bo kiedy im się nie udaje, są okrutni, niech mi pan wierzy, doświadczyłam tego.

Pokiwał głową, raczej ze zrozumieniem niż współczuciem. Potem, gdy leżał już w łóżku, długo nie mógł zasnąć. Za oknem co chwila słychać było pojedyncze strzały, nawoływania żołnierzy, tupot butów. Nad łóżkiem tykał ścienny zegar, z pokoju obok dobiegało ciche pochrapywanie Hanny. Tęsknił za szumem morza, oślepiającą bielą wydm, zapachem sosen i jałowców. Przypomnił sobie tamten, letni wieczór, gdy wprowadziła go do szopy, gdzie spoczywały nieruchomo rzeczy rozbitków: klepsydra z greckimi literami, szwedzki sekstans, rosyjska waga jubilerska, but nieznanego marynarza, bela jedwabiu, zdziesiątkowana skrzynka whisky, francuskie porto, jedwabna koszula nieznanego pochodzenia, wreszcie lichtarze, sztuce i talerze, dwa płótna holenderskich mistrzów i skrzynia belgijskiego kapitana, w której zobaczył pistolety, garść srebrnych monet, zetlałe mapy i skrzypce roboty włoskiej, jak wkrótce miało się okazać. Później wytłumaczyła mu, że sto albo i więcej lat temu, kiedy skończyła się władza polskich królów, przestali oddawać znalezione rzeczy urzędnikom. Miały tu czekać na swoich właścicieli, aż do sądnego dnia, tak uchwalono w zborze.

Przypomnił sobie tamten jesienny dzień, chyba na progu października, kiedy po sztormie przemierzał samotnie plażę. Wśród muszli, wodorostów i bursztynu, odnalazł szekłę. Nie była porzewiała i poznał ją natychmiast: razem z Willmanem musieli ją odkuwać, zanim skompletowali takielunek. Kawałek poszarpanej liny sterczał na szekli jak zjeżony ogon. Otrzeptał znalezisko z piachu, wziął zamach i cisnął nim daleko w morze.

Tamten nieustający szum wprowadził go teraz w sen. Wracał do domu. Mech, który pokrywał wydmy, był miękki jak dywan. Z obu stron strzelały w niebo sosny, a między nimi szumiała wysoka trawa. Czekala na niego na skraju drogi, ubrana w odświętną, czarną suknię z białym kołnierzykiem.

„Już czas” – powiedziała. – „Wszyscy cię oczekują”.

W zborze panował tłok. Czuł ciepło oddechów i rozjarzonych świec. Harmenszoon podał mu skrzypce i smyczek, a kiedy wziął instrument w dłonie, starzec otworzył księgę. Zamiast wersetów były w niej pięciolinie, a w miejscu liter ujrzał czarne jaskółki nut. Nigdy jeszcze nie czytał i nie grał tej muzyki. Była przejrzysta jak fugi Bacha, podniosła jak fraza Hendla, wesoła jak takty Vivaldiego, melancholijna jak pieśń Schuberta. Zanim wybrzmiała koda, ujrzał dwie twarze siostr: przechylone przez barierę empory, śledziły jego grę w najwyższym skupieniu. Gdy skończył, w zborze nie było już nikogo. Fale biły o ściany. Ziemia kurczyła się. W wybitych szybach hulał wiatr, przewracał puste karty księgi, nanosił śnieg, zeschnięte liście i ziarna gorącego piachu.

Kiedy rano Hanna ujrzała puste łóżko i nie domknięte drzwi, nawet nie była tym zdziwiona. Jasna plama na tapecie po zegarze i brak srebrnego lichtarza wprowadziły ją natomiast w zakłopotanie. Bo jak opowie o tym siostrze? Słowo „złodziej” nie wydawało się stosowne, a znów „oszust” nie było precyzyjne. Może powinna o tym milczeć? Nie mogła sobie wyobrazić tych dwoje razem, kiedykolwiek i gdziekolwiek. Nie mogła sobie też wybaczyć, że lekomyślnie go wpuściła, a skoro tak się stało, że zatrzymała go jak znajomego. Zakłopotanie Hanny okazało się jednak znacznie większe, gdy Jakub koło południa wrócił z miasta. Położył na stole dwie wojskowe konserwy, kawał boczku, wędzoną rybę, butelkę wódki, sól, mały woreczek z kaszą i zapalki. Z kieszeni wyjął zawiniętą w papier garść herbaty.

– Widzę, że jest pan zaradny w każdej sytuacji – powiedziała.

– Obawiam się, że tak – potwierdził.

Oboje uśmiechnęli się do siebie. Wtedy Jakub pokazał jej urzędowy kwit. Z pieczęcią sowieckiej komendantury miasta, wyglądał dosyć groźnie.

– Co tu jest napisane? – zapytała.

– Że mieszkam tu legalnie, a w związku z tym jest pani bezpieczna, przynajmniej przez pewien czas.

Tylko niejaki Molke z parteru przestał jej się kłaniać. Ale na to nie musiała zwracać najmniejszej uwagi, podobnie jak sam Jakub, który po prostu nie dostrzegał żadnego z sąsiadów.

## VI

– Proszę wsiąść w *subway* „D” i jechać aż do Bedford Park Boulevard, pani będzie czekała w ogrodzie botanicznym. Czy masz plan? Co mówisz? Przewodnik, jaki? Tak, może być. To się nazywa kotlina rododendronów, czy wiesz, jak wyglądają te rośliny? Pani jest na wózku, będzie trzymała książkę, na pewno ją rozpoznasz.

Byłem zdziwiony. Skąd miała mój telefon? I na dodatek co za pomysł, żeby umawiać się przez sekretarza lub kogoś w tym rodzaju, kto proste słowo *you* wymawiał z takim namaszczaniem?

Trzydziestą czwartą doszedłem do Herald Square i już na stacji zastanawiałem się: a może nie pojechać? Lecz jego słowa, po tym, kiedy przedstawił się jako „Mr Hook” i spytał, czy rozmawia z „panem Helke, pisarzem z Europy”, to jego krótkie zdanie, w którym powiedział:

„Pani czytała twoją pracę *Stół* i chce ci opowiedzieć, jak to naprawdę wyglądało”, to jego oświadczenie, w którym nie było najmniejszej nawet wątpliwości, czy skorzystam z zaproszenia, przyprawiło mnie o lekkie drżenie serca. W najgorszym wypadku czekało mnie rozczarowanie: długi monolog o nieudanym życiu albo pytania w rodzaju: „Dlaczego napisał pan o mennonitach?”

*Rodos* po grecku znaczy róża, a *dendron* – drzewo, i rzeczywiście: rododendrony kwitły tak jak różane drzewka, w purpurach, bielach i czerwieniach. Tak jak powiedział Mr. Hook, siedziała na inwalidzkim wózku z książką w dłoniach. Musiała rozpoznać mnie z daleka, bo kiedy nadchodziłem, uniosła białą okładkę i pomachała nią na przywitanie całkiem przyjaźnie.

– Dziękuję, że pan przyszedł – to były jej pierwsze słowa – niedługo umrę, a to, co przeczytałam tutaj —uniosła książkę – pozwala mi przypuszczać, że zechce pan wysłuchać tej historii i że opisze pan ją kiedyś w swoim kraju.

I natychmiast, bez żadnych wstępów, zaczęła opowiadać. Angielski, jakim się posługiwała, był szorstki, ale prosty. Czasami tylko wtrącała słowo po niemiecku, wtedy natychmiast przeżywała, mówiła: „Przepraszam” i opowieść toczyła się dalej.

Mniej więcej po godzinie, gdy Jakub z Willmanem budowali łódź, nadszedł pan Hook. Wyglądał dziwnie: w ogromnym borsalino i letnim garniturze podobny był bardziej do postaci ze sztuki Czechowa, niż do kogoś, kto zamieszkuje Bronx. Przyniósł kanapki, gorącą czekoladę, poprawił pled na jej kolanach i odszedł, dyskretnie spoglądając na zegarek.

Moje zdziwienie rosło z minuty na minutę: jak to się stało, że do wsi, z której Niemcy wywieźli wszystkich ludzi, nie sprowadzono osadników? Czy Willman umówił się z Jakubem, że odpłyną tylko we dwóch, czy też postanowiono, że uciekną we troje? Dlaczego Jakub nie widział w zborze Harmenszoona, ona natomiast twierdziła, że już po śmierci i pogrzebie widywała go wiele razy? Czy Ludwik, ten w mundurze, był rzeczywiście mężem jej siostry?

Pytań zapisywanych w notesie przybywało, ale nie śmiałem ani razu przerwać toku opowieści. Każde jej zdanie, wypowiedziane z dobrze ukrywanym trudem, niosło w sobie coś ostatecznego, jakby po kropce, którą znaczyła krótka pauza, za każdym razem następował koniec świata.

Do miasta przyjechała wcześniej niż jesienią. Hanna witała ją gorąco, Jakub chłodno. Jej pomysł, by zdobyć polskie zaświadczenie na stały pobyt, okazał się fatalny. Natychmiast miała przeciw sobie tamtych dwoje i sforę urzędników. Jak miała udowodnić, że nie jest Niemką? Nie miała żadnych dokumentów, nie znała też języka, a jej zeznania, że kiedyś, dawno temu, przodkowie tępieni w Niderlandach przybyli właśnie tutaj, wywoływały co naj-

wyżej uśmiech zgorzknienia, częściej irytację. Wreszcie, pewnego jesiennego dnia, pośród tłumu Niemców, stanęli całą trójką na dworcu towarowym. Zapamiętała, że w wagonie było niewielu mężczyzn. Jeden z nich, gdy tylko pociąg ruszył, zanucił pioseneczkę „Któż to ciebie, piękny lesie, tak wysoko wybudował?”.

Pan Hook zaprosił nas na lunch w parkowej restauracji.

– Potem, gdy wszyscy już śpiewali – kończyła przy stoliku – choć nie tak głośno, jak każe Niemcom ich obyczaj, zauważyłam, że Hanna i Jakub też śpiewają. Tylko ja, niech mi pan wierzy, gryzłam wargi, żeby nie krzyknąć ze strachu, nienawiści, obrzydzenia.

– Moja droga, wystarczy już – pan Hook położył na jej dłoni swoją dłoń. – Helke na pewno to opisze... Jest to materiał barwny – zwrócił się teraz do mnie – bogaty, choć tragiczny, zarazem tak fascynujący dla pisarza, nieprawdaż, młody człowieku?

Przełknąłem porcję steku.

– Nie, panie Hook – powiedziałem —ja nie nazywam się Helke.

– Czyżby...? – Jego dłoń ze srebrnym sygnetem sięgnęła po książkę. – Ach tak, przepraszam, ale jesteś Niemcem?

Jej wzrok zgromił go natychmiast. Wycofawszy się w regiony przeżuwania, zamilkł na jakiś czas.

– Co było dalej? – zapytałem. Przez moment zawahała się.

– Zdradził mnie, jak tylko przyjechaliśmy do Stanów. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego, co widział w otyłej, starszej od siebie stroicielce. Potem, kiedy i ją rzucił, wiedziałam. Ściągnął Hannę i mieszkał z nią w Chicago. Mieli dwóch synów, ale on się rozpił i Hanna w końcu uciekła z dziećmi na południe. Myślał, że jest artystą. Ale takich jak on były tu tysiące. Jak dali mu zagrać w knajpie, było dobrze. Hanna umarła pięć lat temu. Nie byłam na pogrzebie. Wtedy, w pociągu do Niemiec, widziałam, jak trzymają się za dłonie. Czy pan uwierzy? Od chwili kiedy ze skrzypcami stanęłam w drzwiach mieszkania, wiedziałam już, że kocha ją, nie mnie. Nigdy nie powiedziałam siostrze o Ludwiku. Ale on wiedział to ode mnie i nie wiem, czy w którejś pijackiej awanturze nie wykrzyczał tego. Jeśli tak, to pewnie mu nie uwierzyła. Przez jakiś czas, już kiedy był bez Hanny, telefonował do mnie i mówił: „Halo, tu Harmenszoon, czy panna Wolzke jest dziś w domu?”. Ale ja przestałam się bać duchów dawno temu. Tak samo jak potępienia. W nic już nie wierzę, gdy chodzi o te sprawy. A pan, czy wierzy w Boga?

– Czy nie uważasz, że czas do domu? – wtrącił się Hook.

– Wierzy pan w Boga? – powtórzyła.

– Tak – powiedziałem – mimo wszystko. Kotlina rododendronów przechodziła w rosarium. Wózek pchany przez pana Hooka toczył się gładko, niemal bezszelestnie. Chciała koniecznie wiedzieć, jak teraz wygląda miasto, czy na wydmach pobudowano bungalowy i czy kanały przy polderach są oczyszczane regularnie. Ogród botaniczny kończył się przy White Plains Road.

– Tu niedaleko mieszkamy – poinformował pan Hook – ja koło stacji benzynowej, a ona nad księgarnią.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedziała – i niech pan wspomni o Racheli van Dorn, ona jedna przeżyła obóz i transporty, potem pisała do mnie z Francji. Kochała mnie, naprawdę.

Światło zmieniło się na zielone. Patrzyłem, jak znikają w tłumie, pan Hook i ona, po drugiej stronie rzeki samochodów.

Dwa lata później, przez wydawcę, pan Hook przysłał mi jej nekrolog. Dopiero wtedy wyobraziłem ją sobie, młodszą o kilkadziesiąt lat, na drodze, którą tak lubiła.

## GUTE LUISA

Szlifyerz pojawiał się we wrześniu lub w ostatnich dniach sierpnia, kiedy czystość rozpalonego nieba wypełniały nieśmiało, lecz coraz nieuchronniej, skłębione cumulusy, biorące swój początek i fantastyczne kształty z nadmiaru wód zatoki. Nadchodząc, uderzał młotkiem w cienką sztabkę żelaza i wówczas owo do niczego niepodobne *den—dele—den—dele—den* zwiastowało nożom, nożyczkom i tasakom czasu odnowy. Ich stępała na dnie szuflad egzystencja, ich porzewiała w skrytkach bylejąkość, podtrzymywane z konieczności – lecz bez prawdziwej wiary – domowymi sposobami, teraz powrócić mogły do świetności i odwiecznego blasku, w trakcie misterium, które co roku gromadziło w bramach, podwórkach i ogrodach swoich wyznawców.

Najpierw przemieniał niepozorny wózek w maszynę napędową, której ulotne zaledwie podobieństwo do roweru zwieść mogło jedynie nowicjuszy i niedowiarków, a potem, gdy koło zamachowe nabrało już rozpędu i pas transmisyjny przenosił obroty na kamienną tarczę, rozglądał się wokoło, od kogo przyjąć pierwszy przedmiot, na którym wypróbowywał swój magiczny kunszt, przedwstępnie i bezpłatnie. Podobny do Lugha albo innego celtyckiego bóstwa, pochylał się nad wirującym szaleńczo kamieniem, przykładając palce do martwego ostrza i wówczas powietrze rozjaśniał snop białych, jasnożółtych iskier, które rodziły się w uścisku stali i kamienia, mknęły w zawrotnym tempie w górę, po czym znikwały bezpowrotnie w miejscu nie określonym przez czas i przestrzeń tamtej chwili. Stalowe ostrza wracały do pełni łask domowych i odtąd znów mogły się zanurzać w krwistą realność mięsa, pszeniczną oczywistość chleba, dwuznaczną miękkość masła, w zuchwałą twardość kości lub we wstydliwie ludzkie regiony włosów i naskórka.

– Czego się gapisz przez to okno? – nosowy, lekko belferski głos Lucjana dobiegł zza parawanu. – To tylko efekt przyspieszenia, atomy krążą coraz prędzej, no i masz teraz twoje iskry!

Było południe, Lucjan dopiero wstawał; może dlatego złościły go odgłosy świata, rozpraszające welon leniwych, ogrzanych jeszcze tajemnicą snów. Nigdy nie ścielił łóżka, zarzucał tylko na pościel huculski kilim i w aurze niewyspania, w szlafroku niedbale zarzuconym na pidżamę, w apaszcze jedwabno—nonszalanckiej, wypływał ze swojego kąta jak egzotyczny okręt z grotu, w której głębinach – za szafą przedłużoną parawanem – oprócz słowników greki, łaciny, sanskrytu, gaelick i perskiego, prócz tomów Larousse’a, Brockhousa i Webstera, magicznym okiem błyskało przedwojenne radio.

– Ja nie rozumiem, co ty w tym widzisz – Lucjan krążył wokół kredensu, gdzie przechowywał miseczkę, pędzel i ręczniki. – Przecież to prymitywna technologia, o, zobacz – wyjął z futerału brzytwę – tego on nigdy nie naostrzy, bo to jest precyzyjna rzecz!

Na dowód tego Lucjan podszedł do drzwi, zaczepił szeroki, marynarski pas klamrą o gwóźdź w futrynie, po czym raz jedną, raz drugą stroną brzytwy przesunął szybko po wyslizganej skórze, czemu towarzyszyło jednostajne: *klap! klap! klap!*. Potem zniknął w łazience, skąd —jak zawsze— przez kilka kwadransów jego głos przyzywał mnie co chwila: „Przynies mi krem, jest w walizce, tylko nie po goleniu, ale ten na wzmocnienie cery”, „Zapomniałem skarpetek, weź te bez wzorku, jasne”, aż wreszcie pojawił się w pokoju, pachnący, odświeżony, gotów wysłuchać mych projektów.

– Może na plażę? – zacząłem nieśmiało. – Albo do Zoo?

Jego dolna warga nabrzmiewała w takich chwilach ulotnym gniewem, a brwi unosiły się nieznacznie i mój kuzyn Lucjan, zwłaszcza z profilu, podobny stawał się do rzymskiego senatora.

– Mój drogi – powiedział z namaszczeniem – na plaży byliśmy we czwartek, w piątek i sobotę, Zoo odwiedziliśmy dwukrotnie. Czy nie stać cię na bardziej oryginalne propozycje?

Słowo „oryginalne” Lucjan wypowiadał ze specyficznym angielskim akcentem, natomiast samo „r” brzmiało w jego ustach tak, jakby nigdy nie opuszczał bulwarów nad Sekwaną.

– W Sopocie jest wystawa psów – informowałem od niechcienia – w Gdańsku zapowiadają mecz żużlowy, w Oliwie moglibyśmy iść do parku...

– Dość! – Lucjan wrócił z kuchni z grzanką na talerzyku. – Czy nie mówiłem ci tyle razy, że człowiek powinien pragnąć czegoś więcej?

Wiedziałem, co znaczy to „coś więcej”: w muzeum Lucjan nigdy nie przebiegał sal, zatrzymywał się zwykle przy jednym obrazie albo ekspozycji i z poważną miną wywodził swe teorie w tak zajmujący sposób, że po chwili otaczał nas wianuszek słuchaczy, do których Lucjan zaczynał zwracać się „szanowni państwo”, których zniewalał swoją erudycją, jak wówczas, przy *Sądzie Ostatecznym*, gdzie nie tylko opowiedział historię zdobycia płótna przez piratów, nie tylko oczarował słuchaczy szczegółami techniki mistrza Hansa, ale rozwinął cały wykład na temat teologii piekła, Apokalipsy, listów świętego Pawła Apostoła do Koryntian, polemik Augustyna, herezji albigensów i tak dalej, kończąc swój występ prawdziwie intelektualnym piruetem, w jego błyskawicznych zwrotach błyskały greckie frazy Orygenesesa, z których niezbitcie wynikało, że piekła nie ma, a jeśli nawet jest, to nigdy wieczne: Bóg bowiem nie pozwoli, aby choć jeden okrucieństwo pozostał odeń odłączony. Lucjan uklonił się i zbierał brawa, a ja patrzyłem zdumiony na jego twarz, która jeszcze przed chwilą – gdy rzucał przed słuchaczy dziwne i tajemnicze słowo *apokatastasis* – jaśniała profetycznym blaskiem; wiedziałem zatem, co to znaczy „chcieć czegoś więcej”, lecz nie pragnąłem tego wcale i aby odwlec moment egzekucji, zamarkowałem ruch przy oknie, za którym Szlifierz kończył właśnie pracę.

Patrzyłem, jak zmienia maszynę napędową w mały i niepozorny wózek, wyciera dłonie w fartuch, przekłada garść monet z kieszeni do podkówki, wsiada na siodło i pedałuje na inne podwórko, ulicę dalej, skąd już za chwilę gęste od kurzu powietrze sierpniowego popołudnia rozjaśni jego sygnaturka.

– Ty ciągle popatrujesz za nim? – w głosie Lucjana dało się wyczuć dobrotliwą nutę. – No więc, mój drogi, cóż pocniemy z tak mile rozpoczętym dniem?

– A może ryby? – zapytałem.

Lucjan przełknął ostatni kęs grzanki i białą serwetą z monogramem ciotki Eufrozyny otarł górną wargę z plamki brzoskwiniowego dżemu.

– W istocie – skinął głową – wędkowanie jest sportem godnym dżentelmenów, lecz gdzie tym razem?

Wiedziałem, co sprawi mu przyjemność: nie jasny pomost sopockiego mola ani ten w Orłowie, ale ceglana wyspa. Dlatego, niby od niechcienia i ociągając się przez chwilę, wypowiedziałem wreszcie:

– Przy starym spichrzu, po drugiej stronie rzeki. Po latach widzę ten obrazek tak jak dzisiaj: wsiadamy do tramwaju i zaraz, natychmiast, wszystkie spojrzenia pasażerów świdrują nas uważnie. Stoimy na tylnym pomoście, tuż obok barierki konduktora, Lucjan w białym, płóciennym garniturze, tenisowych półbutach na słoninie i w jasnym, słomkowym kapeluszu, ja w krótkich spodniach i koszuli z kołnierzem à la Jul Słowacki. Obaj nieznośnie objuczeni wciąż zawadzamy wsiadającym, lecz próba przebicia się przez rozgrzany rękaw tłoku z góry skazana jest na klęskę: na naszych plecach jak strzelby przewieszane są pokrowce, w dłoniach dzierzymy torby z suchym prowiantem i przynętą, nie wspominając o chlebakach, składanych stołkach, podbierakach, którymi obwieszani jesteśmy jak wielbłądy.



– Patrzaj, tatuńcio – skądś rozlega się kresowy zaśpiew – do willed będzie i pół roku, a oni jak chuinki!

Tramwaj pęcinnieje zdrowym, plebejskim śmiechem tłumu, omal nie chowam się za plecy konduktora, lecz Lucjan znosi tę zniewagę, jak ktoś, kto czytał Marka Aureliusza i Senekę, jak ktoś, dla kogo brak pieniędzy na taksówkę nie jest tematem godnym rozważenia, zwłaszcza w letnim wagonie tramwaju linii numer dwa. Tymczasem wóz rozpędza się Grunwaldzką w dół i wchłania schyłkowe ingrediencje lata: gęstą jak smoła woń asfaltu, kurz brukowanych przedmieść, zapach arbułów ze straganu, pyłki pożółkłych traw i przedwczorajszą bryzę, bez której miasto zetlałoby na popiół, a ludzie – niczym żona Lota – zamarliby w pół kroku, oblani żarem z nieba.

Wreszcie tramwaj przetoczył się z hukiem przez Złotą Bramę i wjechał w ocieniony wąwóz Długiej, Lucjan wyskoczył pierwszy, podał mi dłoń, szliśmy przez most na drugą stronę rzeki, gdzie pośród chwastów i łopianów, wśród gigantycznych pokrzyw, lebiody i tymianków porastających każdy załom muru, trwały ruiny spichrzów.

– I tak się właśnie kończy świat – mamrotał Lucjan do siebie. – Oto, co pozostało z dumy Hanzy, która niegdyś...

Lecz nie dokończył, potknąwszy się o cegłę, którą następnie podniósł i badał najuważniej wzrokiem.

– Tu oto widzisz ślady ognia, mniej więcej sprzed lat dwustu, lecz sama cegła jest średniowieczna, czy wiesz, mój drogi, po czym to poznałem? Tu widać ślady merku, wytwórca stawiał znak na ukończenie każdej setki, by na budowie mogli łatwiej liczyć.

Doszliśmy wreszcie do zmurszałych pali, kiedyś zapewne podtrzymujących pomost; ja uzbrajałem wędki, Lucjan rozkładał stołeczki i parasol, kończąc swój wywód:

– Tak, mój drogi, to nie Payerne, gdzie kamień na katedrę spławiano rzeką z ruin rzymskiego Avenicum, tutaj jesteśmy w kraju gliny, sztokfisa, kartofli, wódki i kapusty.

Wiedziałem, że nie cierpi śledzi, ziemniaków, okowity i bigosu, lecz czyż strzeliste wieże Najświętszej Marii Panny, świętego Mikołaja, Piotra i Pawła, Katarzyny, Jana, Józefa, Bartłomieja zasługiwały na to samo? Ich ciemne, z czerwonej cegły wywiedzione bryły mieliśmy przed oczami: północny gotyk przepływał w leniwym nurcie rzeki, jak czas pozatapianych dzwonów, między spławikiem moim a Lucjana. Lecz nie na tafli wody spoczywał wzrok mego kuzyna.

W migotających plamach słońca, podnosząc pył z pożółkłej trawy, chłopcy brali kilkumetrowy rozbieg i odbijając się od progu nabrzeża, skakali w głąb ciemnozielonej wody. Ich opalone na brąz ciała wynurzały się po chwili na powierzchnię tylko po to, by paroma silnymi ruchami nóg i ramion dopłynąć do poleru. Tutaj następowało prawdziwe przedstawienie – nielicznym tylko, najzręczniejszym, dane było pokonać śliską od wodorostów, obłą wysokość pala. Wspinali się do góry, gdzie na poprzecznej belce mogli postawić stopy: smukli, błyszczący kropelkami wody, w pozie zwycięzców trwali tak przez chwilę, by wreszcie przegiąć swoje ciało i w jednym, naprężonym susie znów runąć w dół, jak rozpędzony brzeszczot światła, tym razem z dużej wysokości. Lucjan, w bezruchu i milczeniu, śledził zabawę z najwyższym uniesieniem, bo przecież na sopockim czy orłowskim moło podobny spektakl nie był już tym samym: tam chłopcy wyławiali małże i monety w poklasku wczasowiczów, dla paru nędznych groszy, szmerku uznania, czasem nawet brawa, tu byli naturalni, sami dla siebie, nie doświadczeni grą cudzych spojrzeń.

Kto wie, czy dla Lucjana ta właśnie okoliczność nie była istotnie najważniejszą; nawet nie zbrązowiałe w słońcu karki, nie smukłe uda, obojczyki, nawet nie wilgoć płótna, opinająca tak szczególnie zapowiedź ich męskości, wprawiały go w ekstazę, ale własne przekonanie, że robią to dla niego, wyłącznie, niepodzielnie, przy tym tak bardzo nieświadomie. Tumult i całkowite spustoszenie musiała w jego duszy czynić owa sekretna żądza, ale na zewnątrz kuzyn Lucjan stanowił kartezyjański wzór opanowania: jedynie parę kropel potu, nabrzmiała żyłka

tuż przy skroni czy nieco szybszy niż zwyczajnie ruch grdyki, gdy przetykał ślinę, zdradzały silną ekscytację zmysłów. Daleko było mu do barona de Charlus, kapłana burzliwej fermentacji Erosa i Sodomy, który, gdyby się znalazł nad Motławą jakimś niezbadanym wyrokiem Opatrzności, zapewne badałby metodycznie słowiański typ rasy i urody, zbliżając się do chłopców drobnym, nerwowym kroczeniem, puszczając tu i ówdzie oczko, częstując cukierkami i zagadując o pogodę.

W takich momentach i ryby sprzyjały Lucjanowi. Po dużym leszczu wyciągałem trzeciego już okonia, podczas gdy jego spławik nie poruszył się ani razu. Leniwie i od niechcenia Lucjan co pewien czas pokręcał korbką kołowrotka, sprawdzał przynętę, zarzucał znów w to samo miejsce, choć tak naprawdę zależało mu na jednym: aby ta chwila odchodzącego lata trwała wiecznie. Żeby nie umykała w nicość, skąd pamięć wyluska ledwie kilka niedoskonałych, lichych imitacji. Ale słońce było już niżej niż dwie godziny temu, pomarańczowa kula tłoczyła w wodę i powietrze swój wściekły, krwawy blask, a Lucjan czuł, jak przez rozedrgane i falujące powietrze przenika ten sam co zawsze, nieubłagany demon czasu. Wiedziałem, że w tym spotkaniu jest coś świętego, być może nawet bardziej niż w kościele, dlatego pozostawiłem ich samym sobie, twarzą w twarz. Cicho odszedłem od nabrzeża, ścieżką pomiędzy ruinami spichrzów.

Nigdy wcześniej nie zapuszczałem się w jej wnętrze; wyspa pozostawała tajemnicza z okien tramwaju albo pokładu wycieczkowego statku, lecz teraz, kiedy ostrożnie przeskakiwałem czarne jamy piwnic, urwane schody albo wiszące tylko na powoju resztki stropów, nie znajdowałem tu nic szczególnego. Zabawnie było wejść po gzymsie na pierwsze piętro samotnie pochylonej ściany, gdzie w oknie na tle nieba wyrastała brzoza, odnaleźć w wysokiej po kolana trawie ślad kolejowych torów albo wśród cegieł rumowiska trafić niespodziewanie na zardzewiały pocisk karabinu, który rozsypywał się w palcach, ale czyż takie przyjemności były czymś nadzwyczajnym w naszym mieście? Jedyne, co naprawdę sprawiało tu wrażenie odmienności, to jaszczurki: wygrzewały się w załomach murów, pośród pachnących i nieznanych ziół, nieruchome niczym eksponaty w terrarium, gdy jednak tylko usłyszały kroki, czmychały natychmiast w schowki rumowiska, gdzie słońce nie mogło już zaznaczyć swoim ściegiem owych dziwacznych arabesek brązu, czerwieni, ochry, jasnej żółci, jakimi błyskały w zwinnej ucieczce ich ogony. Już miałem jedną z nich w dłoni, już czułem w palcach jej zimne, śliskie dotknięcie, które zapewne zafascynowałoby Lucjana, gdy nagle jaszczurka zachrobotała łapkami, wyrwała się z uścisku i zostałem sam, z jej barwnym i barbarzyńsko niepotrzebnym ogonkiem w ręce.

– Nic się nie martw – usłyszałem nad sobą cieni, dziewczęcy głosik – one im odrastają, zupełnie jak dżdżownicom!

Rozejrzałem się uważnie, ale wokół nie było nikogo.

– Tylko go teraz nie wyrzucaj – zostałem pouczoney – jak uschnie, to trzeba z niego zrobić proszek!

– Proszek – ciągle jej nie widziałem – z ogona jaszczurki, niby po co?

– Na przeziębienie, bóle zęba, miłosne troski, zeza, a kiedy dodasz ziół i trochę spirytusu, to nawet umarlaka ruszy. No, czemu nic nie mówisz?

– A jak mam mówić, gdy nie wiem, do kogo?! W zielonej ścianie bluszczu, dzikiego wina i powojów coś poruszyło się nieznacznie. Dopiero teraz zobaczyłem, że zieleń kryje szkielet belek po wypalonym, pruskim murze.

– No to się odsuń, bo zlecę ci na głowę – powiedziała. Najpierw ujrzałem czarne lakierki z paseczkiem i klamerką, potem wypływające z nich podkolanówki, za nimi dzwon spódniczki, na końcu białą bluzkę i dwa spięte gumkami warkoczyki. Była drobna, nieopalona, piegowata, a w jej spojrzeniu czuło się niepewność, co powiem na jej rude włosy. Podskoczyła parę razy na jednej nodze i jakby nucąc powiedziała:

– Gute Luisa, Gute Luisa, jestem dobra Luisa, a ty kim, kim ty jesteś?

Powiedziałem swoje imię.

Podskakując na drugiej nodze, zapytała:

– A jesteś tutaj sam czy może z mamą albo z tatą, a może jesteś z bratem? Och tak, ten w kapeluszu, z wędką, to pewnie starszy brat!

– To kuzyn Lucjan – wyjaśniłem – przyjechał tu z Warszawy.

– A tata z mamą – przerwała mi natychmiast – w domu ich masz?

– Tak, ale wyjechali na pogrzeb Eufrozyny, do Krakowa.

– Czy to daleko? – zapytała.

– Nie byłeś tam nigdy? Nie uczyliście się w szkole? —nie potrafiłem ukryć zdziwienia.

– Gute Luisa nie chodzi do szkoły – powiedziała prawie zalotnie.

– No to co robisz? – zapytałem jeszcze bardziej zdumiony.

– Garnków ojcu pilnuję, w piecu ogień rychtuję – powiedziała tanecznie. – A ty co sobie myślisz? My jesteśmy jak te dwie szpileczki w stogu siana, tak mówi tato, kiedy wraca z roboty.

– No to ja pójdę – powiedziałem – do zobaczenia, Luisa.

– Ja nie jestem Luisa, tylko Gute Luisa – chwyciła moją dłoń – a ty nigdzie nie pójdziesz, bo ja się strasznie boję, a ten twój brat Lucjan wcale się nie śpieszy, i...

– Nie brat, ale kuzyn – teraz ja jej przerwałem – a ty czego się boisz?

– Zdanowskiego – wyszeptwała natychmiast – to okropny bandyta, kradnie, bije, nie pyta, muszę ci go pokazać, żebyś wiedział, na wszelki wypadek. A wiesz – pociągnęła mnie ścieżką pomiędzy zarośniętymi żarnowcem kopczykami gruzu – że ten Zdanowski to był tatusia kolega, ale potem, jak doszło już co do czego, to tatuś powiedział:

„Zdanowski, żeby tu twoja noga nie postąla więcej”, no i nie postąla, a wiesz – czułem się coraz dziwniej – że ty możesz być moim bratem, a ja będę twoją siostrą i będziemy już razem, aż do końca świata?

Była wesoła, idąc podskakiwała raz na jednej, raz na drugiej nodze, a rude warkoczyki majtały się za jej głową, jak dwie chorągiewki na chybotliwej łódce. Nie uszliśmy daleko. Parę dosłownie kroków dalej, pomiędzy całą a zawaloną ścianą spichrza, skryty w zieleni jaśminu, zdziczałych śliw i czarnego bzu, stał jej dom, choć słowo „stał” nie w pełni oddaje istotę tego, co wówczas zobaczyłem. W obrysie ruin, niczym do zawieszanej ramy, poprzytwierdzone były belki, wzmocnione tu i ówdzie podmurówką. Dwa okna oraz drzwi musiały pochodzić z rozebranych domów, natomiast dach ze spadzisto ułożonych desek, przykryty papą oraz blachą, nosił znamiona wiecznej i niestrudzonej sztuki improwizacji.

– Jak chcesz siku, to lepiej w krzaki – powiedziała odwracając rozpromienioną twarzą już na progu —w wychodku ciągle podchodzi woda, strasznie śmierdzi.

Nie chciałem do wychodka. Dom w środku wyglądał znacznie lepiej niż na zewnątrz. Miał dwa pokoje z piecem, kuchnię z westwalką, porządny stół, kanapę, kredens, dwa staroświeckie łóżka z żeliwnymi szczytami i nawet fotel objany skórą, zapewne – tak jak wszystko inne – wydostany z ruin.

– Straszny dziś upał – stwierdziła – musisz się napić! Letnie mleko było okropne, z kożuchem i zapachem tłuszczu.

– To jest mój tato – podała fotografię —jeszcze kiedy był przewoźnikiem. Prawda, jaki piękny?

Zaniemówiłem. Zdjęcie zrobiono z tego samego miejsca, w którym siedzieliśmy z Lucjanem. Po drugiej stronie rzeki nie było jednak ulic, domów, kościołów, bram i dachów. Po drugiej stronie rzeki nie było nawet ruin. Zrównane z ziemią, w sieci prowizorycznych bocznic, Stare Miasto – jak wysprzążany plac – czekało budowlanych ekip. Tylko bryła kościoła Najświętszej Marii Panny stała w tej pustce wielka, prawdziwa, potężna niczym ceglany hipopotam.

– No co, nie podoba ci się?

Dopiero teraz spojrziałem na przewoźnika. Stał z uniesionym wiosłem tuż przy rufie. W kapitańskiej czapce z daszkiem, w kamizelce, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, mrużył wesoło oczy, jak ktoś, kto lubi życie.

– To Szlifierz! Ja go znam z podwórka – dodałem prędko – dzisiaj był u nas, tylko że Lucjan...

– Ten drugi to Zdanowski – wcale mnie nie słuchała – zanim nie poszedł siedzieć, jak pobił się na noże.

– Z kim się pobił?

– Z moim tatusiem – jej palec znów wskazał przewoźnika. – Prawda, że jest dużo piękniejszy niż ten Zdanowski?

Przyznałem rację. Wtedy mi wyjaśniła, że odkąd zaczął chodzić prom, jej tato zarabiał coraz mniej pieniędzy, aż wreszcie rzucił łódź i zabrał się za ostrzenie noży.

– A ten Zdanowski – dodała po chwili – ma już niedługo wyjść.

– A gdzie pracuje twoja mama? – zapytałem. Podniosła skakankę i po kilku szybkich obrotach, zaśmiała się głośno.

– Mamusia jest kurwa – odpowiedziała – bo poszła z tym Zdanowskim.

– Do więzienia? – wykrzyknąłem nie bez współczucia.

– Poszła z nim w tango i nigdy do nas już nie wróci, bo tato powiedział, że jak się pojawi, to ją zabije. Ale ty lepiej powiedz, zostaniesz moim bratem? Gute Luisa, Gute Luisa – kłasnęła w dłonie i zatańczyła w podskokach dookoła mnie – Gute Luisa będzie miała, będzie kochała starszego brata! – Nagle spoważniała, by spytać: – Ile masz lat?

– Trzydzieści – dodałem sobie rok – a ty?

– Dwanaście – zrobiła chyba to samo – no to świetnie, ale musisz mnie kochać, przyrzeknij, że będziesz mnie kochać, tak mocno jak nikogo na świecie, prawda?

Zanim odpowiedziałem, włożyła sobie do ust miętowego dropsa, przegryzła go prędko i przybliżyła swoją twarz do mojej tak blisko, że poczułem ciepło jej oddechu. Nasz pocałunek, nagły, niespodziewany, spełniony w ciszy, którą wypełniało jedynie brzęczenie złotych much, nie miał do końca braterskiego charakteru. Jej wargi rozchyliły się i koniuszkiem języka Gute Luisa podała mi połówkę cukierka. Przez dłuższą chwilę ssałem go nic nie mówiąc. Dopiero gdy utwierdziła się w pewności, że nie wypłuję dropsa, zadowolona podskoczyła parę razy to na jednej, to na drugiej nodze i zanuciła:

– Kocham do śmierci, kogo pocałuję, a ten, kto kocha, nigdy nie wypłuje!

– Często układasz takie wierszyki? – zapytałem.

– Och nie, ale podobają ci się, prawda?

Powiedziałem, że nie za bardzo. Ale ona wcale się tym nie przejęła. Wąską ścieżką, w nieustannych podskokach, podążała za mną aż do nabrzeża, gdzie zatopiony w swoich myślach, nad nieruchomą wędką, oblany czerwoną łuną zachodu, siedział mój kuzyn Lucjan.

– A, proszę pana, proszę pana – zaszczebotała radośnie prawie nad samym jego uchem – ja jestem koleżanką ze szkoły i tu żeśmy się spotkali, i on zaprosił mnie, bo u mnie w domu nie ma jeszcze taty, tato wraca z pracy bardzo późno, zaprosił mnie i powiedział, że jak pan się zgodzi, to mogę do was pójść, na trochę, póki tata nie wróci.

Na rzece panował absolutny spokój. Chłopcy odeszli w łagodny cień zmierzchu, na zawsze zabierając w swoich ciałach gorączkę tego dnia. Lucjan odwrócił ku nam wzrok. Jego spojrzenie, umęczone od pragnień i udręczone oślepiającym blaskiem, błędziło w czasie dopiero co minionym, którego nikły fantom, coraz mniej wyrazisty, lecz przecież wciąż obecny, unosił się nad powierzchnią wody w postaci ledwie dostrzegalnej mgiełki. Nie mówiąc ani słowa, pogładził dziewczynkę po twarzy, wstał, zwinął wędki i dopiero wówczas, jakby powrócił na tę stronę rzeczywistości, powiedział cichym, stłumionym głosem:

– Ależ tak, oczywiście, moje dziecko. – Po czym zwrócił się do mnie niemal szeptem: – Po drodze odwiedzimy Idę.

Było to wyznanie niemal sekretne, tajemnicze, które czyniło z nas współników tej samej, ciężkiej zbrodni, albowiem ciotka Ida, której imienia nie wymieniano nawet przy posiłkach, była w rodzinie tym, czym Marcin Luter dla papieżstwa: stałym zarzewiem buntu i niezgody, istnieniem heretyckim, wyklętym tysiącrotnie i potępionym za pomocą wszelkich środków, tak boskich jak ludzkich, choć prawdę mówiąc, dokładnie nie wiedziałem za co. Być może dawny tryb jej życia, swoboda w doborze i porzucaniu swych kochanków, nadzwyczaj ekscentrycznych, być może jej poglądy na płć i seks, które głosiła bez ogródek, nie zjednywały ciotce zwolenników; wiedziałem, że lubią się z Lucjanem i że wizyta u niej —ze mną— jest naruszeniem tabu, instrukcji i poleceń, jakie pozostawili mama z ojcem, gdy Lucjan odprowadzał ich na dworzec, lecz czyż gorący, rozpalony dzień u schyłku lata i wakacji, pełen niejasnych zapowiedzi, blasku, pożądań, niespodzianek, dzień odchodzący w siwiejący zmierzch, pośród koncertu świerszczy, zapachu portowego drewna, rozgrzanych cegieł, rzeki, nie był dla nas —jak racja dostateczna— alibi i wymówką?

– No dobrze, a Luisa? – Miałem nadzieję, że Lucjan wyczuje niechęć w moim głosie. – Ciocia Ida jej nie zna i może się obrazi?

Lucjan wybuchnął głośnym śmiechem.

– Ida? Obrazi? Ona uwielbia gości, także nieznanych, prawda, moje dziecko? – Wziął ją za rękę. – Więc mówisz, że twój tata pracuje dziś do późna? Dobrze, potem odprowadzimy cię do domu, wszystko będzie w jak najlepszym porządku.

Niemal natychmiast oczarowała go. Nie szczebiotała już bez sensu ani nie podskakiwała to na jednej, to na drugiej nodze. Jej tata był brygadzystą, pracował w stoczni, a mama wyjechała do chorej babci, daleko, do Krakowa.

– Do Krakowa? – zdziwił się nieco Lucjan.

– Tak, do Krakowa – podjęła to natychmiast. – A czy pan wie, proszę pana, że na Wawelu odkryto tego lata kamień z napisem *Gloria Victis*? To po łacinie, prawda? Ale ja nie wiem, co to znaczy, bo u nas w szkole, proszę pana, to w ogóle nie uczą łaciny.

– W szkole w ogóle nie uczą was łaciny – powtórzył zachwycony Lucjan – w takiej szkole. No tak, moje biedne dziecko, zaraz ci wytłumaczę.

I zanim weszliśmy na Długi Targ, jego wykład o zamku polskich królów, powstaniach narodowych, Syberii, trumnach poetów i romantycznych mrzonkach, osiągnął apogeum.

– Przegraliśmy już wszystko, co było do przegrania —zakończył przy studni Neptuna – i nawet w kościele zabrali nam łacinę.

Ostatnie zdanie Lucjana, wypowiedziane z bólem, miało swój dramatyczny aspekt: mój kuzyn nie akceptował zmian soboru, lecz nawet tutaj, na terytorium papieskiej jurysdykcji, znienawidzony przez Lucjana Duch Dziejów, święcił złowieszcze triumfy: na próżno kuzyn stał do kardynała sążniste memoriały, w których dowodził, że liturgia pozbawiona łaciny obróci się przeciw wiernym, na próżno groził biskupowi, że przejdzie na wyznanie mojżeszowe; Lucjana uważano – przynajmniej w tej dziedzinie – za wariata, a któż z reformatorów, nawet i watykańskich, zważał i zważa na wariatów?

– Ale ja umiem pacierz po łacinie – powiedziała radośnie Gute Luisa – mamusia mnie nauczyła!

Wyznanie to, uczynione dla Lucjana z dyskretnym dygiem i trzepotaniem rzęs, rozczuliło go do tego stopnia, że kiedy weszliśmy do delikatesów na dziesięć minut przed zamknięciem, nie mógł odmówić jej niczego. Gute Luisa stała z zadartą głową przy kamiennej ladzie i wskazującym palcem wybierała smakołyki, dodając słodkim głosem: „Poproszę czekoladę”, „Czy to prawdziwa chałwa?”, „Nigdy nie próbowałam tych rodzynek”, „Ach, jakie piękne kabanosy!”, podczas gdy Lucjan miotał się od stoiska do stoiska, kupował, płacił i pakował, zupełnie obojętny na nienawistny wzrok sprzedawczyń, których odwieczne ondulacje, barwne paznokcie i pierścionki były jak stygmat ich zawodu w państwie równości, postępu i oświeczonej dyktatury. W ostatniej chwili Lucjan zakupił to, z czym wypadało przyjść do Idy: pus-

kę sardynek, butelkę bułgarskiego wina, paczuszkę pumpernika, aż wreszcie schował portmonetkę, poprawił słomkowy kapelusz i zawadzając pokrowcem wędki o palmę obok wyjścia, która runęła z hukiem na posadzkę, machnąwszy z lekceważeniem ręką na wrzaski kierowcy: „Pan tu kupować już nie będzie!”, prowadził nas do ciotki, której mieszkanie, tuż nad sklepem, spowijał fioletowy blask neonu, o nieco francuskim brzmieniu: „De...kates...”.

Ida była zbyt piękna, by nawet teraz, po trzydziestu trzech latach od tamtego wieczoru napisać cokolwiek uczciwego o jej urodzie: w piorunach klipsów, w długiej jedwabnej sukni, ze złotą przepaską na włosach, przeszła wąskim i długim korytarzem, prowadząc nas, wśród zniszczonych ścian, gazowych kuchni i liczników, do swego pokoju. Jej kruche, delikatne stopy, przedłużające swoją linię w swawolny kształt czółenek, jej talia, biodra, obojczyki, skryte, choć podkreślone zwiewną czerwieńią sukni, jej twarz, w której zaledwie lekka bizantyjskość brwi konkurowała z grecką linią nosa, wszystko to było doskonale mimo jej wieku, który wówczas – nastolatkowi – musiał się zdać astronomicznym: podobnie jak mój kuzyn Lucjan, tamtego lata moja ciotka Ida kończyła właśnie czterdzieści jeden lat.

– Lucek, to ty? – śmiała się zapraszając nas do stołu. — Że ty się nic nie zmieniasz! Pamiętasz wtedy, w Klecku, pociąg się spóźnił, czekaliśmy na stacji z końmi dwie godziny, aż wreszcie panicz wysiadł i prosił, taki sam kapelusz wtedy miałeś, słomą podszyty!

– Nie taki sam, tylko ten sam – Lucjan był w coraz lepszym humorze – nie wierzysz mi? No, zobacz – podrzucał kapeluszem tak jak zongler – tutaj jest wstążka od Anity, przecież to była moja narzeczona!

– To miała być twoja narzeczona – Ida dotknęła pieśczołliwie ciemnych jak granat włosów Lucjana, na których tu i ówdzie srebrzyły się nitki pierwszej siwizny. – Na jej szczęście po wakacjach zaraz wybuchła wojna, no i przynajmniej ta tragedia została Anicie oszczędzona.

Przez twarz Lucjana przebiegł ledwie widoczny grymas, lecz nie potrafił gniewać się na Idę.

– A ty, czemu nie wyszłaś za męża? – zapytał nalewając wina. – Pewnie zabrakło ci odwagi.

Ciotka śmiała się długo, wysokim, prawie że sopranowym głosem.

– Odwagi? – odetchnęła wreszcie. – Mam jej wystarczająco dużo, by nie dać z siebie zrobić roboczej klaczy, w jaką wy zamieniacie każdą kobietę po kilku latach małżeństwa. Czy to są konfitury? Dopóki mam kochanków, to ja dyktuję prawa. A gdybym była żoną? W tym kraju kobietą rządzi trójca przenajświętsza: mąż, państwo, no i kościół! Czy to nie zbytek łaski? A poza tym – machnęła zniechęcona dłonią – ty wiesz, że ja nie znoszę dzieci.

Zapadła cisza. Oboje z Lucjanem spojrzeli w naszą stronę stołu, jakby się obawiając, że to ostatnie zdanie ciotki natychmiast spowoduje straszliwe zamieszanie. Nic podobnego jednak się nie stało: tak byłem pod urokiem Idy, że mógłbym słuchać w nieskończoność, wciąż zachwycony, stokrotnie gorszych rzeczy. A Gute Luisa? Gute Luisa też była zachwycona. Po małych kanapczkach, których wchłonęła z dwa tuziny, mielonym kotlecie na zimno, rybie po grecku, porcji sałatki jarzynowej, po jajku w majonezie, marynowanych rydzach, śledziu z cebulką – naląła sobie wina, wypila drobny łyżeczek, po czym z taką samą, absolutnie obojętną miną, zabrała się za kabanosy, aż wreszcie, kiedy ostatni ich kawałek zniknął w drobniutkiej buzi, jej wzrok – już nie łakomie, choć z całkowitą bezwzględnością – spoczął na piaskowym kopczyku chałwy. Kawałek po kawałku meła teraz słodką masę w ustach, oddana tej czynności z natchnieniem i bez reszty.

– No, ale chyba w Boga wierzysz – Lucjan powrócił do rozmowy – to nie ma przecież nic wspólnego z zamąpójściem?!

– Którego? – Ida omal nie parsknęła gorącą herbatą. – Jest ich tylu, że trudno się połapać!

– Ideńko – Lucjan aż podniósł się na krzesło – kiedy ja mówię słowo „Bóg”, to chyba jest wiadomym, że nie chodzi o Dzeusa, Baala czy Świątowida, ale o Jedyne, Pana Zastępów, który mówi o sobie: „Jam jest Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni, początek i koniec”.

– Tak, tak – przerwała mu ciotka – jeżeli masz na myśli tego satrapę, szowinistę, tego największego wroga kobiet, to oświadczam, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Ależ, Ideńko – Lucjan tym razem zaniepokoił się nie na żarty – przecież *Biblia* to objawienie.

Ciotka machnęła dłonią, już nawet nie zniechęcona, lecz poirytowana w najwyższym stopniu, i gwałtownie przerwała Lucjanowi:

– Objawienie, w którym kobietę traktuje się gorzej niż zwierzę pociągowe, czy to miałeś na myśli? Gdy aniołowie byli w domu Lota, gdy tłum zażądał ich wydania, co zrobił ów mąż prawy? „Mam dwie córki, które jeszcze nie żyły z mężczyzną, pozwólcie, że je wyprowadzę do was, postąpię z nimi, jak się wam podoba” – tak powiedział mężczyznom, którzy dobijali się do drzwi, i co ty na to?

– Ależ, Ideńko – Lucjan próbował oponować – im chodziło wyłącznie o aniołów, przecież powiedzieli wyraźnie: „Wyprowadź ich do nas, abyśmy mogli z nimi poswawolić”. Lot zdawał sobie sprawę z tych – Lucjan zastanowił się nad doborem słowa – szczególnych upodobań. Wiedział, że nie chcą kobiet, nawet gdy były dziewicami.

– No właśnie – powiedziała ciotka – jeżeli anioł, to zaraz musi być mężczyzna! Czy to nie przejaw waszego szowinizmu? Abraham nie lepszy zresztą był od Lota: podsuwał swoją żonę władcy, ot tak, dla uprzejmości, a kiedy się wydało, to się zaklinał, że naprawdę jest jego siostrą! Nie ma co mówić: my, kobiety, w tej twojej objawionej księdze, jesteśmy tylko narzędziami!

Lucjan był już w pozycji defensywnej. Jedyne, co mógł zrobić, to wycofać się na z góry upatrzone pozycje.

I tak też zrobił. Cichym, niemal pokornym głosem, szepnął:

– Ależ my wszyscy jesteśmy narzędziami.

– Ale ja nie chcę być narzędziem, niczym, nawet Pana Boga – Ida śmiała się głośnym, szyderczym, bezlitosnym śmiechem, który rozbijał w proch i pył pokłady Lucjanowej erudycji. – No – klasnęła w dłonie – pojedli i popili, czas włączyć patefonik!

Zadziwiająca była ta metamorfoza: jak gdyby nie ci sami, Ida i Lucjan sunęli teraz po parku w zgodzie, tak harmonijnie zespoleni w tańcu, że wydawali się jednością. Zdarła płyta co chwila zaciniała się nieznośnie, lecz to zupełnie im nie przeszkadzało: z małą zręcznością, nie przerywając tańca zbliżali się do radia, brali przechył i jedno z nich popychało ramię adapteru; igła przeskakiwała wówczas na następny rowek i tango wiodło ich coraz dalej, w głąb czasu, gdzie zaczynała się ich młodość. Lucjan miał być studentem Orientalnego Instytutu, Ida chciała studiować rzeźbę. Los spełnił te marzenia. Lucjan, kiedy piłował w łagrze drewno, nauczył się po kirgisku, turkmeńsku, persku i ałtajsku, Ida w kamieniołomie za Uralem wyrąbywała najpiękniejsze bryły, a potem, kiedy już w nowej Polsce chcieli zapisać się na studia – on ze znajomością czterech języków orientalnych, ona ze znajomością wszelkich metod obróbki kamienia – nigdzie ich nie przyjęto, albowiem ich czas minął, rozwiął go wiatr historii, byli już tylko relikdami nie istniejącej kasty, on został buchalterem w stołecznym składzie węgla, a ona bileterką w prowincjonalnym kinie, ale nie potrafili być nieszczęśliwi, nigdy nie obnosili się z przeszłością, on miał swoje teologiczne spekulacje, słowniki, antykwariaty i dwadzieścia jeden języków w małym palcu, ona wielbiła życie, kino i swych kochanków, których zmieniała mniej więcej raz do roku.

Gute Luisa skończyła właśnie czekoladę i patrząc na nich nieobecny, a może tylko obojętnym wzrokiem, sięgała po rodzyнки, brała je w palce, kładła do ust i żuła miarowym ruchem drobnych szczęk. Dopiero przy następnej płycie, gdy tanga zastąpiły fokstroty i slowfoxy, poczułem dotknięcie jej bucika; czarny lakierek z paseczkiem i klamerką wybijał rytm

oxy, poczułem dotknięcie jej bucika; czarny lakier z paseczkiem i klamerką wybijał rytm na moim sandale, który zupełnie nie nadawał się do tańca.

– Oni tak zawsze? – wskazała ruchem głowy na ciotkę i kuzyna. – To są dopiero typy, zaproszę ich do siebie, tata się zgodzi.

Lecz gdy ucichła na jakiś czas muzyka i Lucjan z Idą przysiedli na kanapie obok radia, jak para zakochanych, Gute Luisa podbiegła do nich skocznym, tanecznym krokiem, i zapytała:

– Czy można się wykąpać? Bo u nas, proszę państwa, to nie ma łazienki.

Lucjan oderwał wzrok od albumu, w którego sepia zakłęta była przeszłość, i spojrzął na Idę pytającym wzrokiem.

– Ależ tak, moje dziecko – odpowiedziała ciotka —trzeba tylko napalić w kolumnie, a może ty – spojrzęła na mnie – pomożesz koleżance?

Idzie nie sposób było się sprzeciwić. Poszliśmy do łazienki i podczas gdy Gute Luisa przeglądając się w lustrze robiła z ręcznika fantazyjny turban, krzesalem ogień pod szczapkami drewna, potem wrzucałem w palenisko węgiel, aż wreszcie w wąskim, ocynkowanym kotle zaczęła szumieć ciepła woda. Wrzuciła do wanny wszystkie kąpielowe szyszki, a kiedy obłok piany sięgał już brzegów, Gute Luisa bez najmniejszego skrępowania zdjęła z siebie czarne buciki z paseczkiem i klamerką, białe podkolanówki, czarną spódniczkę, białą bluzkę i wskoczyła do wody.

– To ty nie nosisz majtek? – zapytałem.

– Nie będę rozmawiać o żadnych świństwach – powiedziała – nawet ze starszym bratem.

– Ach tak – pokiwałem głową. – No, to ja pójdę do nich, tylko się pośpiesz, bo może ktoś zechce skorzystać z łazienki w innym celu niż ty.

– Ty w ogóle mnie nie kochasz! – prysnęła we mnie pianą. – Mój tata zawsze mówił, że starsi bracia są okropni!

– Wcale nie jestem twoim bratem, całe to udawanie jest głupie – omal nie krzychałem. – To ty zachowujesz się okropnie!

– Myślałam, że mi umyjesz szczotką plecy, a ja ci powiem największą tajemnicę, ale jak nie, to nie, bez łaski! – odwróciła twarz do ściany.

– Bez łaski czekam na oklaski – rzuciłem jej ryżową szczotkę wprost do wody i wyszedłem.

W pokoju był już nowy gość. Lucjan zabawiał go rozmową i chociaż znali się ledwie od dziesięciu minut, widać było, że mój kuzyn zdążył go oczarować.

– Najnieszcześniejszą z rzymskich matron, skoro zahaczył pan o ten temat, była Antonia, córka Klaudiusza i Elii Petyny, jego drugiej żony. Czy możecie sobie państwo wyobrazić, że jej własny ojciec, gdy był już cezarem oczywiście, rozkazał zgładzić męża córki, Gnejusza Pompejusza, za rzekomy spisek? Potem Antonia wyszła za Lucjusza Syllanusa, którego z kolei zgładził Neron. Neron sam nabrał chrapki na Antonię, a skoro odmawiała z nim małżeństwa, ją również kazał zabić.

– Zupełnie jak Anita – ciotka nadeszła z kuchni, niosąc nalewkę dereniową w kryształowej karafce. – Pamiętasz, Lucjan, tego bolszewickiego komisarza, Łukaszenkę?

– Nie mam pamięci do poszczególnych bolszewików —Lucjan nalewał dereniówkę do kieliszków. – Wszyscy byli, są i pozostaną tacy sami.

– Ach, to ty – Ida zauważyła mnie dopiero teraz. —Poznaj, to jest pan Ryszard.

Ścisnąłem rękę jej kochanka, miał ogorzałą młodą twarz, a piękny, wyjściowy mundur podoficera wojennej marynarki podkreślał jego smukłą, wysportowaną sylwetkę.

– Otóż ten Łukaszenka, jak tylko zainstalował się we dworze – ciotka trąciła się kieliszkiem z panem Ryszardem – zwariował zupełnie na jej punkcie, pił całe noce, śpiewał, a jak mu odmówiła, wysłał ją transportem na Kamczatkę, skąd nigdy nie wróciła.

– Ja pojechałem wcześniej – Lucjan podsunął panu Ryszardowi talerzyk z zakąskami. – Lecz co za porównanie, moja Ideńko: ruski komisarz i Klaudiusz albo Neron.



– Miałam na myśli tę Antonię, nie komisarzy czy cesarów.  
– W rzeczy samej – pan Ryszard poruszył się na krześle niespokojnie – film, o którym wspominałem panu, dotyczył czasów rzymskiej republiki, a nie cesarów, prawda, Ido ?

– O nas nikt nie nakręci nigdy filmu – Lucjan posmutniał nagle. – Anita, wuj Henryś, stryj Damazy, ciotka Helena, moja matka, twój ojciec, Jerzyk, kuzyn Piotr, nawet nie wiemy, gdzie ich groby.

– No, to wypijmy – Idą klasnęła w dłonie – a ty, Lucjan, już nie smuć, tylko załączaj patefonik!

Zupełnie zapomniałem o Luisie. Lecz ona pamiętała o mnie. Kiedy patrzyłem na ich wirujące sylwetki, kiedy już niemal przez sen słuchałem, jak wybuchają śmiechem, trącają się kieliszkami, obejmują, opowiadają anegdoty, nagle, przy samym uchu, poczułem ciepły dotyk jej cichych, delikatnych słów:

– Jeszcze się gniewasz? Bardzo? Oni się bawią, a ty? Nie jesteś im potrzebny. A wiesz? Myślałam, że jak nie chcesz być moim starszym bratem, no to zgoda, możemy zostać zwykłymi przyjaciółmi.

Gute Luisa pachniała perfumami ciotki, użyła też jej szminki, kredki do brwi i różu do policzków.

– Jak ty wyglądasz! – powiedziałem cicho. – Zetrzyj to natychmiast!

Bez słowa poszła do łazienki, skąd powróciła szybko.

– Bo chciałam się podobać tobie, wcale nie im, a wannę umyłam bardzo dokładnie – dodała – nic się nie martw.

Wcale się nie martwiłem. Zwłaszcza że mogłem splatać figla Lucjanowi. Po cichu wyszliśmy z mieszkania, gdzie bal nabierał tempa. Podałem jej rękę, Gute Luisa chwyciła moją dłoń i przez ciemne, puste ulice, maszerowaliśmy równo, jak para nocnych marków. Na Długiej przeciął nam drogę zbłąkany nocny tramwaj. Oświetlona od dołu twarz motorniczego, wychudła i pobladła, mignęła w pustym wozie jak elektryczne widmo manekina. Fontanna była wyłączona, zmęczony Bóg pochylił nisko głowę i wydawało się, że zaraz wypuści z dłoni swój nieodłączny trójząb, który upadnie z hukiem na dno wyschniętej studni. Pośrodku mostu Gute Luisa wypuściła moją dłoń i powiedziała spokojnym, niskim głosem:

– O Jezu, ja muszę się wyrzygać!

Trzymałem ją pod ramię, gdy przechylona przez barierę, zwracała rzece wszystkie dary Lucjana po kolei. Miałem w kieszeni chustkę, podałem ją Luisie.

– Masz – powiedziałem – obetrzyj sobie usta. Drżała.

– Nie, to nie z zimna – próbowała się uśmiechnąć. —Ja tylko sobie pomyślałam, że teraz mnie zostawisz, a tam – wskazała na ciemny zarys ruin – czasami straszy.

Wolałem nie pytać, co takiego, ale po drugiej stronie rzeki sama zaczęła mówić. Ktoś przesypywał w spichrzach piasek, czasami klócił się o pieniądze, zgrzytały ciężkie kołowroty, skrzypiała okrętowa lina, pusta beczka toczyła się z hukiem po pomoście, w wodę spadała cegła, szczur wspinał się po murze, do księżycy.

– A ten Zdanowski? – zapytałem.

– On już jest trup – odpowiedziała szybko – i żywy tu nie wróci.

Znała na pamięć każdy zakręt ścieżki, podstępna dziurę, załom muru, chwilami traciłem ją z oczu, musiałem iść po omacku, szybko, by jej nie zgubić, żeby nie zostać tu samemu. Z wnętrza domku, w którym paliło się słabe światło, dobiegał głośny krzyk.

– O – powiedziała – tato ma znów atak, poczekaj, zaraz sobie z nim poradzę.

Szlifierz leżał w ubraniu i butach na łóżku. Jego twarz, blada jak księżyc w nowiu, pokryta kropelkami potu, co chwila wykrzywiała się w grymasie, a wtedy skurcz przebiegał całe jego ciało i straszny, zwierzęcy skowyt wydobywający się z gardła przeszywał izbę na wylot.

Gute Luisa przyniosła mokry ręcznik, zrobiła ojcu kompres, trzymała go za dłoń, ale te środki przyniosły ulgę tylko chwilową, połowiczną. Patrzyłem przerażony, jak znowu rzuca

się na łóżku, jak z coraz większym trudem łapie powietrze, trzepoce ramionami niczym schwyty w sieci ptak.

– Co mu jest? – spytałem cicho. – Może pobiegnę po doktora?

Spojrzała na mnie bez wyrzutu, raczej z politowaniem.

– „Pod Trzema Koronami” – zaczęła wyliczać – „Buda”, „U Szewców”, „Zrąb”, na końcu „Łońka” i pewnie jeszcze „Kriegsmarine”, czy to mało? Zawsze, jak po robocie nie doliczy się do trzech i zahaczy choćby o jeden bar więcej, tak go bierze. Nie przejmuj się, to zwykła delirka.

Szlifyerz, jakby usłyszał słowa córki, zerwał się nagle z łóżka i nie zważając na naszą obecność, złapał pierwsze pod ręką krzesło, uniósł je w górę ponad głowę, po czym roztrzaskał z hukiem o ścianę.

Chciałem uciekać, lecz Gute Luisa chwyciła mnie za rękę. Zanim Szlifyerz złapał następne krzesło, zdążyła wziąć z komody świeczkę, zapalić ją, postawić przed obrazem świętego Jana i złożyć ręce do modlitwy.

– To poskutkuje – szepnęła – rób to, co ja. Nie miałem w sobie nawet cienia wiary, ale ucieczka była niemożliwa: Szlifyerz z kolejnym krzesłem w dłoniach stanął przy drzwiach i wodził nieprzytomnym wzrokiem po pokoju, a gdy pierwsze słowa modlitwy *Pater noster qui es in caelis* wypowiedziane zostały przez Gute Luisę nieco drżącym głosem, rozstrzaskał mebel jak poprzedni, z jeszcze większą furją.

– *Sanctificetur nomen tuum* – powtarzałem za nią. — *Adveniat regnum tuum* – usiłowałem naśladować jej staranną wymowę – *Fiat voluntas tua*.

Przy tych słowach Szlifyerz zawahał się przez moment, jakby jego szaleństwo zostało osłabione; w istocie, starczyło mu już tylko sił na kredensową szybę i kiedy wygłosiliśmy następny wers – *Sicut in caelo et in terra* – z niejaką rezygnacją gniótł w dłoniach już tylko szklanki i kieliszki, a gdy poprzez żarliwe i proszące *Panem nostrum quotidianum da nobis hodie* doszliśmy do skruszonego *Et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos dimittimus debitoribus nostris*, zrezygnowany usiadł na łóżku, zapłakał jak dziecko, by po słowach *Et ne nos inducas in temptationem* wyszeptać razem z nami *Sed libera nos a malo* i przy żarliwym *Amen!* zapnąć w głęboki, spokojny i bezgrzeszny sen.

– A nie mówiłam? – Gute Luisa zgasiła świeczkę i klasnęła w dłonie. – To zawsze się udaje!

Znów namoczyła ręcznik, zmyła krew z dłoni ojca, potem zebrała potłuczone szkło i resztki połamanych krzesel.

– Tylko nie odchódź, tylko nie odchódź! – szeptała znad podłogi. – Pokażę ci coś takiego, czego nigdy jeszcze nie widziałeś.

– Czyżby! – nie byłem ciekaw następnych rewelacji. —Bardzo dziękuję ci za wszystko, muszę już iść, do zobaczenia!

– Nie, nie – rzuciła się do wyjścia – czegoś takiego naprawdę nigdy jeszcze nie widziałeś i nigdy nie zobaczysz.

– Czy to jest ta twoja tajemnica? – zapytałem.

– Tak – wyszeptała.

– Ale ta największa?

– Największa – potwierdziła.

W małej szopie obok domu stał jego niepozorny wózek. Pomogła mi rozłożyć machnię napędową, z półki podała pierwszy z brzegu nóż.

– No, spróbuj – powiedziała – wiem, że to lubisz. Ostrożnie przyłożyłem ostrze do wirującego kamienia. Warkocz iskier skoczył w górę i zgasł, jak pierwszy płomień.

– Musisz przytrzymać go, o tak – dotknęła ostrza dłonią – wtedy snop iskier będzie nieprzerwany.

Wreszcie, po kilku nieudanych próbach, nóż przywarł do kamienia i w powietrze popłynął długi, białozłoty wąż iskier. Gute Luisa stała tuż obok i nagle, gdy uniosłem wzrok, ujrzałem, jak iskry biegną do jej dłoni, jak zatrzymują się w niej niczym w puszcze, a potem, tworząc łuk nad jej głową, przeskakują w drugą, otwartą dłoń.

– Teraz – powiedziała przekrzykując wizg – kręć jeszcze szybciej!

Pedałowałem ile sił w nogach, kamień obracał się jak szalony, stal przywierała do kamienia, a Gute Luisa stała przede mną uśmiechnięta w złotej kopule światła, które przepływało nad jej rudą głową, z dłoni do dłoni, jak falująca, rozedrgana struga.

– Wystarczy – rozkazała po chwili – bołą mnie już ręce!

I jakby wiedziała, o co chcę zapytać, uniosła dwie otwarte dłonie.

– Trzymałaś tam jakiś magnes – nie dowierzałem – albo kawałek żelaza?!

– Gute Luisa – powiedziała – nie potrzebuje takich rzeczy, Gute Luisa radzi sobie sama!

– To niemożliwe – wykrzyknąłem – spróbujmy jeszcze raz!

Zgodziła się. Tym razem iskry przepływające nad jej głową przez kilkanaście sekund, miały czerwonożłoty odcień.

– Jak ty to robisz? – wyszeptalem. – Przecież to niemożliwe!

Podskoczyła najpierw na jednej, potem na drugiej nodze, zupełnie obojętna na moje zachwyty i pytania. Wreszcie, zmęczona, ziewnęła przeciągle i powiedziała:

– Wiesz co? Chyba już idź, muszę ułożyć jeszcze tatę, no, na co czekasz?

Wymamrotałem swoje „do widzenia” i ścieżką między ruinami biegłem prędko, nie oglądając się za siebie. W oknach Idy nie paliło się już światło, dlatego szedłem dalej, przez Błędnik, Wielką Aleję, aż do Wrzeszcza. Co pewien czas na ciemnym niebie rozbłyskiwała spadająca gwiazda, lecz czułem, że żadna z nich nie świeci dla mnie.

O dziwo, Lucjan nie czekał w kuchni, nie zrobił mi wymówek, domyślnie też nie zamknął drzwi na zamek; patrzyłem, jak w swoim kącie, pośród słowników i notatek, przy falujących z odbiornika lampowego melancholijnych frazach Brahmsa mój kuzyn śni swój letni sen, w którym na pewno odbłask portowej rzeki mieszał się z makijażem Idy na twarzy podoficera wojennej marynarki.

Wyłączyłem radio. Lucjan jęknął jakieś niezrozumiałe słowo, być może w gaelick, być może była to łacina, i dalej wędrował przez korytarze snu. Chciałem opowiadać mu o wszystkim: o Szlifierzu, domu na wyspie, Gute Luisie i jej dłoniach, które chwytaly iskry. Ale jego twarz, na której gościł nieodmiennie ledwie widoczny, choć przecież tak wyraźny grymas napięcia, teraz była uduchowiona, podobna do wizerunków świętych i zamiar przebudzenia go pozostał w próżni tamtego świtu już na zawsze, tak jak na zawsze zniknął z naszego miasta Szlifierz.

Na próżno wyczekiwałem go w następnym roku, kiedy pod koniec sierpnia czystość rozpalonego nieba wypełniać zaczęły skłębione cumulusy. Nikt nie zadzwonił na ulicy brzęczącym kowadełkiem ani nie puścił w przestrzeń strugi złocistych iskier. Po kilku latach, kiedy zniknęły z naszych ulic bruki i gazowe latarnie, po kilkunastu latach, kiedy umarła ciotka Ida, a zaraz potem Lucjan, po kilkudziesięciu latach, kiedy przez Dolne ani Główne Miasto nie przemykały już tramwaje, zupełnie nie pamiętałem o Szlifierzu, który był wcześniej przewoźnikiem, zupełnie zapomniałem o jego rudowłosej córce, Gute Luisie, i jej magicznej sztuczce.

Z mułu pamięci, wszystkich czworo, wydostał zwykły przypadek: przechodząc nad kanałem parę dni temu, ujrzałem, jak buldożer zmiata na wyspie ostatnie już ruiny. I zamiast się ucieszyć, że wreszcie w sercu miasta przestaną straszyć ceglane odrośla i kikuty, poczułem najprawdziwszy żal, bo przecież Szlifierz, Gute Luisa, Lucjan i ciotka Ida pojawili się w moich myślach tylko po to, by zniknąć niemal natychmiast, wraz z ostatnimi obłokami prawdziwie ceglanego pyłu Hanzy.

– Czego się gapisz? – wymamrotałem sam do siebie. —To zwykły ruch atomów, nic więcej, uwierz mi, doprawdy.

## SZCZĘŚLIWE DNI

*Wojtkowi Hrynkiewiczowi*

Miały być cztery kare konie. W skarpetkach, z pióropuszcami. Miały ciągnąć karawan okryty kirem, posrebrzany, przez całe miasto, wolno, dostojnie, tak żeby każdy przechodzień miał czas odprowadzić kondukt wzrokiem i zapytać: „A kogóż to tak chowają?”

Ale nie było koni. Nie było powłóczystrych kirów, srebrzystych sztucznych palm, latarni. W upalny dzień majowy granatowa toyota zatrzymała się bezszelestnie przed kaplicą, gdzie czterej pracownicy firmy „Styks” ujęli sosnową trumnę w dłonie, wysunęli ją ze szklanej gabloty samochodu i wnieśli po cementowych schodkach do środka. Stałem pomiędzy Alkiem a Wizą, obracając w dłoniach łodygi dopiero co przyciętych róż. Były wilgotne i chłodne, jakby nad miastem przeszedł gwałtowny, choć przelotny deszcz.

– Widziałeś kogoś? – szepnąłem do Alka. Poruszył ramionami i zrobił taką minę, jakbym zapytał o coś niestosownego.

– A ty? – zwróciłem się do Wizy.

– Nie – wyszeptwała.

Ale jej wzrok powędrował ponad głowami żałobników i wyłowił po drugiej stronie kaplicy mężczyznę w ciemnych okularach. Nie był to Chudy. Ani Taksówkarz. Ani tym bardziej Mnich. Każdego poznałbym natychmiast, nawet po tylu latach.

– Kto to? – spytałem jeszcze ciszej.

Wiza wysunęła dolną szczękę i mocno, wyraziście zazgrzytała zębami.

– Nie! – omal nie wykrzyknąłem. – Przecież to nie jest Major!

Ktoś z tyłu, za nami, syknął z irytacją, podczas gdy ksiądz zaintonował „Niech aniołowie zanoszą cię do nieba”. Tłumek zafalował i trumna ruchem prostolinijnie dostojnym popłynęła do drzwi kaplicy, a stamtąd na akumulatorowy wózek, który udawał karawan.

– Lepiej policz wdowy – powiedział Alek – chyba są w komplecie!

Lecz ja nie mogłem liczyć wdów. Szukałem wzrokiem mężczyzny w ciemnych okularach, aby upewnić się, czy Wiza miała rację, bo jeśli tak, jeśli na pogrzeb przybył we własnej osobie Major, byłby to absolutny brak poczucia taktu, byłby to absolutny skandal, bezczelność, jakiej nie znał świat. Dopiero nad wykopaną jamą ziemi, kiedy stanęliśmy półkolem, mogłem ogarnąć wzrokiem zgromadzonych. Ten, który według Wizy miał być Majorem, stał za plecami dwóch grabarzy i nie wyglądał wcale na największego wroga nieboszczyka.

– Chyba się mylisz – wymamrotałem do Wizy – Major był przecież niższy.

– Ja w takich sprawach się nie mylę – powiedziała. —Już po wszystkim podejdź do niego bliżej, sam zobaczysz.

Niecierpliwie przestępowałem z nogi na nogę. Po drugiej stronie doliny, nad wzgórzami Suchanina i nad szarością betonowych bloków, zahuczał pasażerski boeing.

– Londyn – wyszeptał Alek – Londyn albo Hamburg.

– A skąd wiesz? – zapytałem równie cicho.

– Te z Warszawy podchodzą innym korytarzem. Nad Ujeściskiem i Moreną. A ten idzie prosto od morza.

Byłem wściekły. Nie na Alka i jego awiacyjne dywagacje. Byłem wściekły z powodu Majora. Dlaczego nikt nie podszedł do niego i nie powiedział głośno: „Wynoś się stąd na-

tychmiast, draniu!?” Byliśmy na pogrzebie, nie w parlamencie. I żadna gruba kreska nie odzierała nas od przeszłości, przynajmniej tutaj, na cmentarzu.

Tymczasem boeing zniżył lot, grabarze uchwycili sznury, a Major – teraz widziałem go dokładnie – Major uśmiechał się bezczelnie, zadowolony najwyraźniej, że to nie on spoczywa w trumnie. Tego było już za wiele. Oddałem kwiaty Wizie i manewrując między nagrobkami, powoli szedłem w jego stronę. Nie chciałem wszczynać awantury, Boże broń, zaledwie parę słów, wypowiedzianych dostatecznie głośno, mogło załatwić sprawę. Na przykład: „Halo, Majorze, jak tam pański kałasznikow, czy emerytura dobrze mu służy!?” Albo: „Ach, nie do wiary, to pan, Majorze, tutaj? A ja myślałem, że od tamtego dnia, kiedy kazał pan do nas dmuchnąć z moździerza, obraził pan się na nas śmiertelnie, tymczasem zaś...?”. Lecz nie było mi dane zagadnąć majora.

Alejką od strony kaplicy nadjechał nieoczekiwanie volkswagen. Żaden samochód nie miał tu prawa wjazdu, a cóż dopiero taki: podłużny busik z niemiecką rejestracją. Grabarze właśnie przyklepali kopczyk, wiatr zafalował woalkami wdów, podczas gdy z samochodu najpierw wyskoczył mały, zwinny jak linoskoczek Turek, szybko wysunął spadzistą pochylnię, po czym zdumionym oczom żałobników ukazał się inwalidzki wózek, na którym wolno i dostojnie zjechała w dół staruszka. I zanim na mogile złożono ostatnie kwiaty, niklowane cacko napędzane cichobieżnym silnikiem elektrycznym ruszyło przed siebie, jak na paradzie.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Kim była siwowłosa i zasuszona starowinka? Matką nieboszczyka? Daleką krewną? A może nie znaną nikomu, pierwszą narzeczoną? Nikt tego nie wiedział. Wszyscy natomiast spostrzegli, że karłowaty Turek niósł za nią wielki bukiet sztucznych kwiatów. Spojrzałem na Majora. Tak jak inni stawał na palcach, by lepiej widzieć niecodzienny spektakl. Już przecinałem ścieżkę, już układałem w sobie pierwsze zdanie dla Majora, gdy nagle elektryczny wózek inwalidzki ruszył nadszpiewanie prędko w bok i roztrąciwszy kilku gapiów, zawrócił alejką w dół, pędząc ku bramie cmentarza.

– Chyba się rozmyśliła! – krzyknął głos z tłumu.

– O, nie – dorzucił ktoś wesoło – pomyliła pogrzeby! Zrozpaczony Turek porzucił papierowe kwiaty, pędził za swoją panią i wrzeszczał:

– *Hilfe! Hilfe!*

Ale na pomoc było już za późno. Rozpędzony wehikuł pruł magistralą nekropolii niczym sportowe BMW i nic —zdawało się — nie mogło go zawrócić. Nic, oprócz następnego konduktu. Ujrzeliśmy drewniany krzyż, jak uniósł się wysoko, zatoczył w powietrzu imponujący łuk i poszybował w krzaki bzu. Ujrzeliśmy sutannę księdza i komże ministrantów, które rozstępowały się na boki szybciej niż fale Czerwonego Morza. Ujrzeliśmy sześciu krzepkich mężczyzn, którzy już nie zdążyli się rozstać. Trumna, dźwigana przez nich na ramionach, najpierw zakołysała się jak pozbawiony steru krążownik, potem przechyliła na burtę i runęła na ziemię. Wieko odskoczyło z hukiem, nieboszczyk wypadł z pudła, lakierowany but zsunął się z jego stopy i ujrzeliśmy wściekle pomarańczową skarpetkę, na tle soczystej zieleni świerków i bukszpanu.

Tymczasem sprawca nieszczęść, ów inwalidzki cud zjednoczonych Niemiec pędził przed siebie dalej, minął cmentarną bramę, wtargnął na jezdnię i wśród porykujących nań klaksonów sunął w dół Łostowicką, ścigany zdumionymi spojrzeniami przechodniów i okrzykami biegnącego Turka. Pogrzeb był zakończony, a Major, którego nikt nie spodziewał się tu spotkać. Major rozpląnął się bez śladu w zamieszaniu.

– Taka jego mać – zawarczał Alek – może i dobrze się stało, bo jeszcze oprócz rajdu mielibyśmy mordobicie, a czy potrzebne komu przy pogrzebie takie rzeczy?

– Jak zobaczyłam tę skarpetkę – Wiza wyraźnie była poruszona – to pomyślałam, że zaraz umrę, ze śmiechu. Czarny garnitur i taka żarówka, ojejku, dzisiaj zupełnie nie mają gustu, prawda, chłopcy?

– Czy można mieć gwarancję, że jak kipniesz, to żona nie włoży ci czegoś takiego na stopy? – Alek nie miał ochoty na dalszą konwersację z Wizą i zwrócił się wyraźnie tylko do mnie. – Czy można mieć gwarancję, że na twój pogrzeb nie przyjdzie najgorszy wuj, który cię latami do grobu wpędzał? Czy można mieć gwarancje na cokolwiek? Chodź, urządzimy stygę, trzeba to splukać, bliacha—mucha.

Było gorąco. Staliśmy na placyku przed cmentarzem, na nic już nie czekając, i może dlatego tak trudno było podjąć decyzję. Ciepły, niemal upalny podmuch wiatru wypadł zza cmentarnego wzgórza na ulicę. W tumanie piachu zawirowały celofanowe płachty, żółta świeżo skoszonej trawy, resztki żałobnych wstążek.

– Na mnie nie liczcie – Wiza pokiwała do nadjeżdżającego mercedesa. – Widzicie, to mój stary, strasznie się złości, jak ma czekać, może podrzucić was na dworzec? Nie? No, to pa, chłopaki, spotkamy się niebawem.

– Na następnym pogrzebie – mruknął Alek. —I jakich to słów używa – wybuchnął, gdy Wiza odjechała już na dobre – niebawem, niebawem! Zaczęła czytać książki czy co?

Milczałem. Maszerowaliśmy chodnikiem w dół, mijając rachityczne budki, gdzie oprócz kwiatów oferowano wszelkie cmentarne akcesoria: jodłowe i blaszane wieńce, znicze, nagrobne lampki, żałobne chorągiewki. Z płotów nęciły reklamy kamieniarskich i pogrzebowych firm:

„Charon – w zaświaty – gotówką lub na raty”, „Marmury autentycznie włoskie”, „U nas lastryko to nie ryzyko”, „Cerber – solidnie, tanio, kompleksowo”.

– Dokąd zmierzamy – zapytałem – na Dolne Miasto? Pamiętasz, on najbardziej lubił przechylić kufel „Pod Zrębem”, może więc tam?

– Trafimy, gdzie nam przeznaczone – Alek otarł pot z czoła rękawem koszuli. – Toż to kawał drogi, na razie trzeba zrobić uverture, o tam, po drugiej stronie skrzyżowania jest piwiarnia, siądziemy i rozejrzemy się za wątkiem.

Wątek jednakże przyszedł sam. W samym środku zbiegu ulic stały naprzeciw siebie ciężarówka i autobus linii 175. Pomiędzy nimi obracał się inwalidzki wózek, korek samochodów pęczniał z każdą sekundą, Turek usiłował coś wytłumaczyć policjantowi, obłok spalin gęstniał, klaksony ryczały jak najęte.

– To ci dopiero stara – zaśmiał się Alek – nie dała się zjechać i jeszcze dyskutuje z władzą. Ty myślisz, że ona rzeczywiście przyjechała na ten akurat pogrzeb? A może to faktycznie jego pierwsza żona? Zaraz, chyba Truda jej było, jakoś tak. Pewnie jak zobaczyła wszystkie cztery wdowy, nacisnęła nie ten guzik co trzeba... i jazda, przez cmentarz na ulicę!

Policjant ujął wózek i razem z Turkiem przetoczyli go na chodnik. Samochody ruszyły długim węzłem, a my staliśmy obok jezdni, krztusząc się kurzem i spalinami.

– Cholera jasna – powiedziałem – będziemy tak stali do sądnego dnia!

– Pamiętasz? – Alek przekrzyczał ryk silników. – Jakżeśmy pierwszy raz trafili do niego na barcę, to był dopiero sądny dzień!

Pamiętałem: zapach asfaltu, tataraku, rdzy. Trzeba nam było skrócić od szosy koło starej słuzy i wędrować brzegiem kanału wśród trzciny i zbutwiałych kładek, które od lat niczemu i nikomu już nie służyły, tam właśnie, nad zieloną topielą, woń tataraku była ostra i przenikliwa, a w chwilę potem zmieszała się z zapachem rdzy: staliśmy na pokładzie barki w pełnym słońcu, rozglądając się niepewnie dookoła, no bo czy tutaj właśnie, na tej zdezelowanej krypie, gdzie – wydawało się – nie ma żadnego znaku życia, miał mieszkać nasz przyszły boss, nasz patron, nasz chrestny ojciec, nasz *padrone*? Schodziliśmy w coraz gęstszej ciemności międzypokładów, schodków, grodzi, gdzie rdzawość nie była już zapachem, lecz smakiem spieczonych od upału warg i wszędzie, dosłownie wszędzie – w lukach, w bunkrach, na rufie i na dziobie – dotykaliśmy tej samej pustki, jakby na barce mieszkwały jedynie widma szyprów, widma sztauerów i retmanów, widma pamiętające czasy gaflowych żagli, parowych turbin i zeppelinów zwieszonych nad gotyckimi kościołami Hanzy. Pamiętałem: tamtą żela-

zną grodź – chyba na samym dnie blaszanej trumny – zza której ujrzeliśmy światło; to był otwarty bulaj, przez który wpadał jasny strumień słońca świdrując kurz i ciemność, dalej – w kącie kajuty stało łóżko, a na nim, okryty tylko prześcieradłem, spał Barba niczym biblijny patriarcha: brodaty, gruby, długowłosa, w nieokreślonym wieku.

Staliśmy nad nim dobrą chwilę, niepewni, co też dalej robić, patrzyliśmy, jak przewraca się niespokojnie z boku na bok, jak mamroce przez sen niewyraźne słowa, jak zgrzyta zębami, sapie, pochrapuje, aż wreszcie w jakimś straceńczym geście odrzuca prześcieradło i oto nagle, na wielkim, gargantuicznym jego brzuchu, którego nie powstydziliby się wojak Szwejk, ujrzeliśmy malowidło: bezludną wyspę pośród bezkresnych oceanu fal, wokół której igrają złotogłose syreny. Imiona ich, zapisane sutterlinowskim pismem na rybach ogonach, falowały z rytmem fal oceanu i napiętej skóry. Nie zdążyliśmy odczytać nawet połowy z nich – Barba otworzył oczy i zamarł ze zdumienia. A w parę sekund potem, okryty prześcieradłem jak senatorską togą, z obrzysem w dłoni (tego nie pamiętałem: skąd mianowicie tak nagle wy dostał ów archaiczny manlicher ze złowieszczą obciętą lufą), gnał nas przez ciemne labirynty wąskich korytarzy, międzypokładów, schodów, luków, kajut, bunkrów, grodzi, wrzeszcząc te dwa pamiętne zdania:

„Zgrzyt, ty mnie popamiętasz, draniu” – oraz – „Wania, Waniusza, gdzie ty byłeś, ciebie też zabiję!”

– Miałeś rację! – Alek omal nie ochrypl od krzyku, spalin, kurzu i gorąca. – Nie przejdziemy na drugą stronę do samej śmierci, cóż oni uparli się, żeby tak jechać i jechać bez końca? Zaszło mi już w gardle!

Turek, który pracowicie pchał wózek ze swoją panią w górę Łostowickiej, zniknął za zakrętem. Zapewne osiągnął wreszcie cmentarne wzgórze, uruchomił elektryczny trap, wwinął pryncypałkę do wnętrza busu i wymawiając pod nosem sobie tylko znane przekleństwa, zapuścił silnik volkswagena. My staliśmy dalej na skraju skrzyżowania. Załadowane do granic możliwości ciężarówki, przepelnione autobusy i setki osobowych aut wlokły się wolno w górę i w dół Kartuskiej, wtlaczając w upalne powietrze południa gorący czad cywilizacji.

– Staliśmy na tym rozżarzonej pokładzie jak dwa palanty – Alek wrócił do tamtego, sądniego dnia na barce —z rękami podniesionymi do góry, a on, zamiast nas spytać, o co chodzi, kto nas przysyła, wzywał tylko Wanię i wrzeszczał: „Zabiję, zabiję jak psa tego głupiego Ruska, gdzie on był, kiedy ja spałem, gdzie on pilnował?!”, a ty wtedy powiedziałaś: „Proszę pana, my jesteśmy od Wizy, ona nas przysyła” – pamiętasz? – na co on wkurzył się wtedy jak wściekła sobaka, przywalił ci lufą obrzyna pod żebro i warknął: „Tutaj, na tym pokładzie, nie odzywaj się nie pytany” i dalej wołał: „Wania, Wania, chodź tu, gdzie jesteś, rybko!?” no i jak wreszcie Waniusza wylażł z jakiegoś kąta – pamiętasz? – skacowany jak cała stocznia po wypłacie, Barba chwycił go za kark, uniósł w powietrze, przerzucił przez reling prosto w wodę kanału i strzelał do niego raz za razem.

– Nie – przerwałem – przecież nie strzelał do niego, tylko obok niego, tak że Waniusza musiał pływać w kółko, dopóki się Barba nie uspokoił.

– Dopóki nie wypróżnił magazynka – poprawił Alek. —A jak darł się na niego z burty: „Jak zechcę, to cię odeślą do Sojuza nawet jutro, a co tam zrobią z takim jak ty dezerterem z floty radzieckiej!?”

– Ale jak przeszedł mu gniew – przypomniałem – to zaraz rzucił mu drabinkę, wciągnął na pokład, wziął w ramiona i powiedział: „To wszystko przez ten diabelski sen, Wania, wybac, znowu śniły mi się wszystkie moje grzechy, a na koniec major Zgrzyt, no więc, jak zobaczyłem tych dwóch pochylonych nade mną, to pomyślałem, że oni są od niego, i że to już moja ostatnia chwila, i że ty zdradziłeś, Wania, i że pójde do piekła bez spowiedzi”.

- Nie – poprawił Alek – on powiedział: „I nie zdążę się wyświadczyć, i pójdę do piekła”.
- Fakt – potwierdziłem – tak właśnie wtedy powiedział, a ja byłem całkiem ogłupiały, że on o tej spowiedzi i o tym piekle tak poważnie.
- Ogłupiały to ty byłeś z innego powodu, tak jak ja —ciągnął Alek. – Przecież cały czas staliśmy z łapami do góry, ten pokład z blachy palił jak piec, a on gadał z Wanią, opowiadał mu swoje sny i trwało to długo.
- Bardzo długo – zgodziłem się – i jeszcze ten zapach rdzy.
- I mewiego guana – Alek zrobił nieokreślony ruch ręką – tam były całe pokłady tego świństwa.

Wąż samochodów w końcu urwał się i mogliśmy przeskoczyć na drugą stronę szerokiej jezdni.

– No – westchnął Alek – wreszcie czas na uwerturę! Ale czas uwertury widać jeszcze nie nadszedł. W miejscu, gdzie dawniej witał podróżnego poźółkły szyld „Cichy Kącik”, ujrzelismy elegancki napis „Kominki”. Tam, gdzie przez całe lata sptywali spragnieni z Siedlec, Emaus, Ujeściska, a także Nowolipia, Suchanina i Zaborni, w miejscu, gdzie rozpoczęto już niejedną sławną stypę, przedmiejski pogrzeb czy wesele, teraz sprzedawano kominki: prawdziwe, elektryczne, norweskie, szwedzkie i niemieckie.

– O bliacha—mucha! – zaklął Alek. – A na cóż w tym miejscu taki sklep? Komuż to przeskadzało?

Dawna weranda była zabudowana. Podjazd dla inwalidów, dyskretny nikiel klamek, dźwiękoszczelne okna z PCV, wszystko to pochodziło z nowej już epoki, z dawnej zaś nie zostało nic. Nawet karłowatą gruszę, każdego lata tak obficie zraszaną przez klientów, wycięto i spalono.

– *Sic transit* – powiedziałem. – Chodźmy stąd.

Alek zagryzł usta. Dopiero obok zajazdu Knopfa, żalostnej ruiny stajni i karczmy, której dziedziniec pamiętał wszakże ostrogi francuskich kirasjerów, pruskich huzarów i rosyjskich dragonów, dopiero tam, gdy mozolnie wspinaliśmy się na stromą skarpe, powiedział:

– No tak, ale balanga potem była na sto dwa!

Opuściliśmy ręce. Barba zadał nam kilka pytań i kręcił ze zdumieniem głową:

– Studenci? Chcą pracować? A dlaczego nie w porcie? Albo przy malowaniu przejść dla pieszych?

Od Wizy wiedzieliśmy więcej, niż należało mówić. A przede wszystkim to, że jak kania dżdzu wyglądał nowych ludzi: do pomp, do sit, do oka, do przebierania kaszy.

– Zanim człowiek coś o drugim powie – oświadczył wreszcie – musi beczkę soli z nim zżreć, tak? No, to jazda stąd – wskazał na małą nadbudówkę rufy – schodzimy na te sól.

Zadziwiająca była ta metamorfoza wnętrza: przed chwilą jeszcze puste, teraz, gdy Barba prowadził nas w dół, okazywało się przestrzenią zamieszkaną. Świadczyły o tym tu i ówdzie zainstalowane szafki, półotwarte drzwi do kajut, gdzie instynktownie wyczuć można było czyjaś obecność, a także kroki i przytłumione głosy, które dobiegały gdzieś z bliska, prawdopodobnie zza najbliższych grodzi. Gdy wreszcie weszliśmy do czegoś, co przypominało skrzyżowanie pokoju jadalnego z kubrykiem, Barba usiadł za dębowym stołem i powiedział:

– No, jak Wiza was przysyła, to mówcie, skąd ją znacie.

Alek skrzywił się czegoś niechętnie, więc ja opowiadałem. O tym, że któregoś dnia, gdy wszedł do Akademii, zamurowało go po prostu: na sali, gdzie pozowały zwykle niemłode już i tłuste rubensiki, zobaczył właśnie ją i natychmiast, w tej sekundzie, zapalał chęcią rysowania jak nigdy dotąd, wyjął blok, papier i ołówki i kiedy stawiał pierwszą kreskę, wiedział już, że nigdy, do samej chyba śmierci nie przestanie jej portretować – tak cały tkwił w zachwycie



– i machnął kilkanaście aktów w ołówku, a każdy doskonały, każdy udany, choć nie tak przecież jak jej ciało, ramiona, stopy, obojczyki, piersi, uda, dłonie, wargi, uszy i nos, no, a do tego jeszcze jej rdzawozłote, chwilami rude włosy, tak wszystko to było nadzwyczajne, po prostu piękne, i Alek podczas każdej sesji rysował coraz więcej i coraz świetniejszych aktów, ale profesorowi niezbyt to się podobało, bo Alek postanowił rysować, co widzi, jak Leonardo oddawać hołd Bogu i Naturze, bez których te cudności nie mogłyby przecież powstać, a profesor był już *moderne*, i to nawet bardzo, i ciągle podchodził do Alkowych aktów i poprawiał je w ten sposób, że na rysunkach w ogóle już nie było kobiecego ciała, tylko płatanina kresek, plam i kółek, mówiąc do Alka: „Sam pan widzi, panie kolego, styl pana jest już *passé*, nawet bardzo *passé*, czyż nie słyszał pan nic o Picassie, Dalim, Groszu? Czyż duch epoki jest panu całkiem obojętny?”, czym doprowadzał Alka do rozpacz, szału, a nawet samobójczych myśli, aż któregoś razu Alek nie wytrzymał i poczuł, jak wrze w nim krew wszystkich jego kresowych przodków, litewskich bojarów, białoruskich chłopów, polskich awanturników, tatarskich brańców i ryknął na całe gardło, tak że tynk opadł z sufitu arsenału: „A na hujnia mnie taka Akademia, gdzie dupy nawet namalować ci nie dadzą, a *idi ty k'...*” – i dalej już nie musiał kończyć, bo profesor dostał palpitanji i zabrało go pogotowie, Alek zaś nigdy już nie przekroczył bram Arsenału, gdzie mieści się znakomita Akademia, tylko wynajął na Oruni od wdowy Kosterke—Trzebiatowskiej ćwierć strychu i tam zapraszał Wizę, aby ją malować, tak, teraz już malować, bo w ołówku ani w węglu płonąca miedź jej włosów nie była do uchwycenia, nie była do oddania, podobnie jak aksamitna czerń jej brwi, które przypominały bizantyńskie łuki, tak zatem – kończyłem swą relację – Akademia straciła słuchacza, ale Wiza zyskała dwóch przyjaciół, bo od kiedy Alek pokazał mi pierwsze szkice, a potem akty na płótnach, nie dawałem mu spokoju, dopóki nie zaprosił mnie do pracowni, a wówczas natychmiast przyłączyłem się do tego przepełnionego zdumieniem magnificatu i co dzień niemal pisałem dla niej wiersze: sonety, dystychy, trocheiczne jamby, walety, sylorety, saficką strofą pieśni, a także limeryki, które po prostu uwielbiała, zwłaszcza jeśli dotyczyły one dzielnic naszego miasta, takich jak Brzeźno, Stogi, Letniewo czy Przeróbka.

– Artyści – zawołał Barba rozweselony – studenci, i co ty na to, Wania?! Pracowali u mnie już różni, nawet ksiądz, co się z Cyganką żenił, nawet sekretarz powiatowy z Pszczółek, ale takich dwóch to nasza firma jeszcze nie widziała!

– *No i szto tiepier budiet, szto budiet?* – mamrotał pod nosem Wania ustawiając na blacie baterię czystych, a także wypełnionych szkieł. —*Pajdiot wsjo w pizdu, a moziat byt' w pabiedu?*

– *W pabiedu!* – ryknął Barba i uderzył pięścią w stół tak mocno, że barka o mało się nie zakolysała. – Na zicher majora wykończymy, na glanc nam będzie buty czyścił, z miski tu będzie żarł, ten pies łańcuchowy!

Tak, byliśmy z Alkiem zdumieni i nasze zdumienie rosło z minuty na minutę w postępie – by tak rzec – geometrycznym. Najpierw zdumieni byliśmy ilościowo: Barba wchłaniał w siebie kurczaka za kurczakiem, z rzadka przekąszając tylko chlebem i małosolnymi ogórkami, a kiedy ilość pieczonych ptaków w jego żołądku sięgnęła magicznej liczby siedmiu, wytarł usta i palce obrusem, nalał sobie pełną szklankę wódki i wypił trunek, jak wodę mineralną, powtórzył ten misteryjny łyk jeszcze raz, po czym, nawet nie zaczerwieniony, huknął na Wanię:

– Ruski, tytoniu mi tu dawaj!

Nasze zdumienie wtórne miało już wszakże charakter jakościowy: Irena wprowadziła przed oblicze ojca siedmioro dzieci, a on całował czule każde z nich na dobranoc, każdemu z nich przykazywał modlić się „za tatusia”, po czym odprawił całą rodzinę stanowczym, władczym gestem i kontent z tej prezentacji wyjaśniał po kolei, które z dzieci spłodził był z którą żoną: z Ireną nie miał ślubu, lecz każdej z trzech poprzednich dał rozwód i na otarcie łez, dzieci zatrzymując przy sobie.

– Drugiego takiego ojca mi pokażcie – mówił dumny dziś takie podle czasy, że każdy swoje bachory matce zostawi i bez grosza puści, a u mnie? Proszę bardzo, jeszcze je zabezpieczę, zanim do piachu pójde...

Piliśmy raczej skromnie, choć Barba – wciąż przytomny – przynaglał Wanię do szybkich zmian zastawy, ale prawdziwy maratoński sprint, prawdziwe pandemonium rozpętało się wraz z przybyciem Wizy. Wania wyciągnął harmonię i rznął jak natchniony, wiedeńskie walczyki, polki, tanga i ruskie dumki, a my tańczyliśmy z Wizą każdy po kolei, raz, potem jeszcze raz, aż natchnienie udzieliło się także i jej samej – wskoczyła na stół i w rytmie fandanga, które Wania wyczarował spod palców specjalnie dla niej, tańczyła wprawdzie sama, ale dla nas wszystkich, i było w tym jej tańcu prawdziwe szaleństwo, które, bynajmniej, nie polegało na trywialnym wyuzdaniu: im mniej bowiem miała na sobie ubrania, tym większy był nasz zachwyt i mniejsze pożądanie, aż podziwialiśmy ją zupełnie anhelicznie, niczym zagubiony w galaktyce eon kobiecości, eon, co przetrwał w stanie nie zbrukany upadek aniołów, wygnanie rodziców z Edenu i wszystkie te następne okropieństwa, jakie rozdarły jedność sfer Ziemi i Nieba, które przedarły na pół nasze szlachetne człowieczeństwo...

– Uff! – westchnął Alek. – No, to jesteśmy znów na górze.

Usiedliśmy na trawie. Rozgrzane powietrze falowało u naszych stóp, a wraz z nim cały rozległy widok: dolina, w której krzyżowały się cztery drogi, bryła zajazdu Knopfa z pruskim murem, cmentarz na przeciwległych wzgórzach, dachy Osiedla Mickiewicza, szarobetonne bloki Chełmu i dalekie grzywy lasów rozciągniętych aż za obwodnicą.

– Z tą Trudą to się ożenił w trzydziestym dziewątym i kto wie, co by było, gdyby nie wojna? Może kupiłby dom na Długim Pobrzeżu? Albo założył bank zbożowy? A ty? A ja? Kim byśmy byli?

– Ty – powiedziałem – psułyś dziewczuchy w jakimś litewskim powiecie. A ja? Mnie w ogóle by nie było!

– Brechasz! Jakżesz to tak – Alek zezłościł się – „w ogóle by nie było”!? Czy można tak powiedzieć?

– Dlaczego nie można? Gdyby nie wojna, moja matka nigdy nie wyszłaby za mojego ojca, prosta sprawa.

– No to byłbyś, ale kim innym – Alek wstał z trawy i ruszył przed siebie.

– Być kimś innym, to znaczy nie istnieć! – krzychałem zbiegając za nim wąską ścieżką w dół, pomiędzy działkowymi ogródkami. – Zupełnie jak Barba.

– A ty szaleju objadłeś się czy co?! – Alek aż przystanął z wrażenia. – Za chwilę będziesz mi tłumaczyć, że jego w ogóle nie było. Czy to jest jakaś nowa filozofia?

– Ani filozofia, ani nowa – dowodziłem spokojnie —ale jak ktoś był wcześniej protestantem i mówił po niemiecku, a potem został katolikiem i mówił już tylko po polsku, to mi nie powiesz, że był tym samym człowiekiem co przedtem...

– Co my możemy wiedzieć? – Alek nerwowo rozglądał się dookoła, lecz nie znajdował u podnóża działkowych ogródków tego, co powinien był znaleźć. – Wszystko zmienia się tak prędko, no, popatrz sam: gdzież jest nasza dawna przystań?

I rzeczywiście, w miejscu, gdzie tuż pod skarpą piliśmy niegdyś piwo w obskurnym pawilonie, teraz rozciągał się strzeżony parking. Zza siatki zwieńczonej kolczastym drutem partryły na nas wyniosłe toyoty, mercedesy, audi i BMW. Tylko gdzieś tam – i jakby przypadkiem – błąkały się w tym towarzystwie relikty odchodzącej w niebyt epoki: zgrzybiały trabant, dobrze zakonserwowany wartburg i zaporoziec z przerdzewiałą karoserią, wśród rzeszy nieśmiertelnych jak insekty fiatów.

– A nie mówiłem, żeby udać się „Pod Zrąb”? To była jego knajpa, gdybyś mnie posłuchał, siedzielibyśmy teraz w cieniu drzew, pili spokojnie heweliusza i wspominali, jak na stypę przystało. A tak? Ładna mi uwertura! Może znów wdramy się na górę?

Alek był tak zdesperowany, że nic nie odparł na zaczepkę. Staliśmy na przystanku i oprócz huku aut, upalne powietrze przeszywał dźwięk pneumatycznego młota. Tramwaj nie nadjeżdżał i robiło się dramatycznie gorąco.

– Gdyby nie tamta kąpiel – powiedział wreszcie sucho, przełykając ślinę – bylibyśmy ugotowani. Pamiętasz? Wania wskoczył pierwszy...

– Nie. Wania wskoczył drugi. Pierwsza na pokład wybiegła Wiza.

– Mówię ci, że Wania.

– Wiza.

– Pobożyłbyś się za to?

– Pewnie że tak. Barba dała hasło, Wiza zeskoczyła ze stołu, przebiegła przez te wszystkie labirynty, za nią pobiegł właśnie Wania, potem Barba, potem ty, a na końcu ja, a Wiza dała nurka pierwsza, bo przecież nie musiała z siebie nic zrzucać, a my wszyscy tańczyliśmy na pokładzie jak smorgońskie niedźwiedzie, żeby w biegu, jak najszybciej pozbyć się łachów i skakaliśmy do wody za nią, ty jeszcze zapytałeś Barbę: „A nie ma tam żadnego złomu?”, na co zaśmiał się tylko i chlupnął przez reling z takim impetem, że zaszumiało tam w dole, i to było nadzwyczajne, pamiętasz? Pięcioro golasów pływało wokół krypy w środku nocy, bryzgi, śmiechy, nawoływania...

– Wtedy wyszła Irena, z lampą.

—I zawołała: „Poświecić wam?”.

– Na co Barba odrzyknął: „Nie, panno mądra, księżyc nam wystarczy!”.

– Na wodzie były srebrne bliki.

– Tak, gazetę mogłeś czytać.

– A obok Ireny ustawiły się przy relingu małe Barbiątka w pidżamkach i krzyczały: „Mamusi, mamusi, tато nam tonie, trzeba wołać pana Hufnagla!”.

– Irena śmiała się głośno i powiedziała do nich: „Wasz tato nie utonie nigdy, bo jest wielkim sumem...”.

– Tak, zgarnęła je pod poły szlafroka i zagoniła z powrotem do łóżek.

– Nie szlafroka, to było kimono, żółte w chińskie smoki.

– Może to było coś w rodzaju kimona, w każdym razie jak zniknęła z dziećmi, Barba z Wanią zaczęli nurkować i ciarki mnie przeszły, jak zanurzali się pod burtą i wypływali z drugiej strony, przy tataraku.

– Myśmy tacy chojracy nie byli.

– Mieliśmy pietra.

– Że tam jest coś pod spodem. Jakieś wraki albo oślizłe pale po pomoście.

– Jeszcze przed wojny.

– Albo topielcy jacyś.

– Z Wermachtu.

– Z Kriegsmarine.

– Z Luftwaffe.

– Albo z Brygady Pancерnej imienia Bohaterów Westerplatte...

– No chyba nie od Maczka.

– Jezu, i tam się można było kąpać.

– Dzisiaj rozpuściłbyś się w chemikaliach.

– Fakt – powiedział po dłuższej pauzie Alek – albo utonął w szambie.

Nadjechał tramwaj. W rozgrzanym jak piec i zatłoczonym do granic możliwości wozie nie rozmawialiśmy już, lecz byłem pewien, że nasze myśli krążą zgodnie wokół tej samej ciągle

nocy: gdy na pokładzie wciągnęliśmy na grzbiet ubrania, gdy zamierzaliśmy się żegnać, dziękując za gościnę, Barba uśmiechnął się uprzejmie i powiedział:

„No dobrze, dobrze, chłopcy, ale ten chrzest był tylko z wody, to jeszcze nie wystarcza”.

Zanim zdążyliśmy pomyśleć, o co chodzi, on już wydawał dyspozycje:

„Wania, na rower i lecisza po Chudego, Wiza, zostajesz na alibi, Irena, żarcie, szybko, a wy, dziewice” – to było do nas – „latarki w łapy i za mną”.

Szybko zeszliśmy po trapie na zarośnięty brzeg, potem ścieżką wśród wysokich jak krzewy chwastów i łopianów prowadził nas Barba do szopy, skąd po chwili wyjechał nowiuteńkim fiatem i już pędziliśmy na Stogi, po drodze zgarniając Wanię i Chudego, gdzieś koło jachtowej stoczni w ruderze Taksówkarza zmieniliśmy samochód na przedpotopowego jeepa, a potem, już w Górkach, gdzie stała opuszczona stodoła, załadowaliśmy pompę, baterie, lampę, sita, worki na kaszę i wodery.

Wszystko, co działo się dalej, zapamiętałem z drobiazgową dokładnością i nawet wówczas, gdy zatłoczony tramwaj wiózł nas na stypę, która nie mogła się rozpocząć, mógłbym opisać każdy detal tej naszej pierwszej zmiany: monotony warkot pompy, zapach spalin, szum strumienia, który wywiercił w ziemi sporą jamę, blask lampy oświetlającej sita i nasze stłumione okrzyki, gdy wśród błotnistej brei, wśród setek małych bryłek kaszy pojawiał się nagle bursztyn wielkości zaciśniętej pięści.

A kiedy księżyc zaszedł za wydrami i na wschodzie pojawiły się pierwsze smugi jutrzynki, Barba dał znak i kończyliśmy robotę: Alek i ja w jednej, a Chudy z Wanią w drugiej jamie. Wszystko działało jak w zegarku, który odmierza czas z powrotem: w opuszczonej stodole zostawiliśmy sprzęt, u Taksówkarza jeepa, a nad kanał, tuż obok barki, zajechaliśmy fiatem Barby, z pełnymi workami w bagażniku. Wiza nie wstała na nasze powitanie, ale Irena czuwała już w kubryku, albowiem Barba po każdej pracy musiał zjeść, tak samo jak przed pracą. I chociaż nie należało to do jego obyczajów, tym właśnie razem zaprosił swoich robotników na śniadanie, tak, zapamiętałem zupełnie gładkie lustro wody i pierwsze ptaki nad kanałem, gdy na pokładzie, przy stoliku, jedliśmy jajecznicę, boczek, chleb, oblani światłem wschodzącego słońca.

– To właśnie wtedy, rano, powiedział nam o Zgrzycie —odetchnął Alek wyskakując z tramwaju – jak major otoczył go na wydrami wojskiem i tabliczkami „POLIGON. WSTĘP WZBRONIONY!”, jak zarekwirował mu trzy nowe pompy Boscha, jak wyprowadził z lasku pod karabinami całą jego załogę i jak pompował potem sam, ze swoimi żołnierzami, na najlepszym terenie, który w ciągu nocy przynosił więcej niż Kalifornia i Clondike razem wzięte!

– Teren jak teren – dodałem – ale najbardziej nie mógł odżałować tych nowych pomp, to miała być wieloletnia inwestycja.

– Ja myślę, że on właśnie wtedy, jak nam to opowiadał, wpadł na pomysł swojej wendety. Do tego byliśmy mu potrzebni...

– Nie, musiał to obmyśleć długo, przez wszystkie te miesiące, kiedy Zgrzyt spychał go na margines, zabierał najlepsze tereny, wciąż nasyłał milicję, wciąż rekwirował pompy i podkupywał ludzi...

– Może – powiedział Alek. – Ale co to za chytne bydlę ten major Zgrzyt, nawet UB nie mogło się go czepić!

– A ty co myślałeś? Napierw wbijali te swoje tabliczki, potem przez dwa dni urządzali strzelanie, a trzeciego też strzelali, tyle że w powietrze, żeby zagłuszyć pompy.

– W dzień mogli wyplukać znacznie więcej niż my nocą – zezłościł się Alek. – Nawet nie chce mi się myśleć, ile z tego wyciągnęli.

Za plecami mieliśmy już dawny kościółek mennonitów i porośnięte olchami brzegi Raduni. W popołudniowym słońcu gotyckie sterczyny klasztoru Franciszkanów rzucały coraz dłuższe cienie. Skręciliśmy tuż za stacją benzynową w lewo i nagle naszym oczom ukazał się tamten, dawny świat: źle brukowanych ulic, czynszówek z melancholijnie pruskim murem,

portowych magazynów, fortyfikacji ziemnych i holenderskich cegieł Małego Arsenалу. Nawet trawa wyrastająca spomiędzy kocich łbów, nawet podmuch nieco chłodniejszego powietrza znad kanałów, niosący w sobie zapach mułu i brudnej, stojącej wody, były takie same... Przyspieszyliśmy nieco kroku, jak wtedy, dwa dni po naszej pierwszej nocnej szychcie, gdy właśnie tutaj oczekiwać miał nas Wania z pieniędzmi i wiadomością: kiedy i gdzie następnym razem.

– Co napisał Zbigniew Żakiewicz w pierwszym rozdziale *Ciotuleńki*, powołując się na Ernesta Hemingwaya? – zapytał Alek, gdy staliśmy, jak wtedy, wsparci o żeliwną balustradę baru „Pod Zrębem”.

Nie pamiętałem.

– Otóż napisał on – Alek wessał delikatnie nadmiar piany – że najważniejszy jest ten pierwszy łyk, a cała reszta to zwykła mordęga. No więc, wypijmy jego zdrowie, żeby mu ziemia lekką była.

– Chyba nie Żakiewicza – byłem nieco zirytowany —widziałem go jeszcze wczoraj, we Wrzeszczu...

– A czegoż ty udajesz zawsze durniejszego niż trzeba? – Alek roześmiał się i utoczył pierwszy, z dawna upragniony łyk piwa. – Jasne, że Barby, dziś jego przecież chowaliśmy...

Chłodna i doskonała gorycz heweliusza przypieczętowała tę równie gorzką konstatację. Pomilczeliśmy chwilę, jak przed podróżą lub na początku stypy.

– A wtedy – powiedziałem nagle – Wania nie nadchodził i nie nadchodził, my wzięliśmy piwo i nie było czym zapłacić za następne, siedzieliśmy tak, prawie o suchym pysku i ty wtedy powiedziałeś: „Chrzanię taką robotę”.

– Tak powiedziałem? – zdziwił się Alek i usiadł na zabytkowym taborecie, którego gięta blacha pamiętać mogła ostatnie przemówienia towarzysza Gomułki równie dobrze jak pierwsze wystąpienia towarzysza Gierka. —Tak powiedziałem? – dziwił się dalej. – Przecież po-  
braliśmy wtedy straszną kasę!

– Nawet kiedy ujrzeliśmy Wanę, jak idzie po drugiej stronie placu, jak sunie pod murem Małego Arsenалу, to powtórzyłeś jeszcze raz to samo.

– O, bardzo cię przepraszam! – Alek zapalił papierosa. – Wania szedł od Nizinnej Bramy, nie mogliśmy więc ujrzyć go tam, pod murem Zbrojowni.

– A ja ci mówię, że szedł właśnie od Arsenалу.

– Od Nizinnej Bramy.

– Od Arsenалу.

Przez Plac Wałowy przetaczała się furmanka, chyba ostatnia w naszym mieście, patrzyliśmy na stare, zmęczone perszerony i na twarz wozaka umorusaną węglowym pyłem. Czas włókł się leniwie, tak jak ten archaiczny zaprzęg w niespodziewanie upalne popołudnie maja. Konie szłapały coraz wolniej, wóz sunął wzdłuż budowli Strakowskiego, a kiedy minął kartusz z lwami, które nieprzerwanie, od trzystu pięćdziesięciu lat podtrzymywały w tym miejscu godło kupieckiej republiki, poczuliśmy wiew nostalgii, bynajmniej nie za epoką suwerenów, zbożowych fortun i holenderskich płócien, poczuliśmy wiew nostalgii za naszą młodością, która właśnie teraz, na naszych oczach, niczym stary i rozsypujący się wóz konny zniknęła u wylotu Kamiennej Grodzy i przekraczała chłodny portal bramy zwanej Niziną, ginąc w depresji pociętej kanałami – już na zawsze...

Wania radośnie wywołał nas ze zgiełku, przeszliśmy parę kroków na ziemny wał reduty i tam, mając pod stopami bastiony, fosy i porośnięty trawą ślepy tor kolejowy, liczyliśmy pieniądze:

– Jest tego więcej, niż miało być – dziwił się Alek chowając koperniki do kieszeni. – A żeż ty, nie daj Bóg, to może jest pomyłka?

Lecz Wania śmiał się tylko i wciąż powtarzał:

– Jest tyle, ile wypłacił szef, co do kopiejki.

– Te, Rusek, ty uważaj, bo u nas są złotówki – warczał Alek, gdy schodziliśmy już w dół, pomiędzy drzewa Placu Wałowego, ale na dalsze wymówki nie było czasu, bo w huczącym ulu piwiarni zagrzmiął głos pana Hufnagla: „No, dzisiaj który?”, i zaraz znalazł się zawodnik złąkniony sławy i nagrody i zaraz uprzątnięto stolik dając czas na zakłady, kto zwycięży: biceps z Dolnego Miasta czy może honor i siła fińskiej floty w osobie przygodnego marynarza.

Wania się śpieszył i nie doczekał końca walki: gdy tylko palce zawodników zwały się niczym kleszcze, dopił swe piwo i szepnął nam do ucha:

– Szef chce was widzieć jeszcze dzisiaj, wieczorem na pokładzie.

Dziwiliśmy się temu, ale przez krótką chwilę: pojedynek wkraczał w subtelną fazę ustalenia przewagi nadgarstka i nic nie mogło nas odciągnąć od igrzyska, tymczasem minuta płynęła za minutą i kwadrans za kwadrans, a dłonie obu zawodników ani drgnęły. Dzieci pana Hufnagla, które bawiły się w piaskownicy pod drzewami, przybiegały co jakiś czas do stolika i pytały:

„Tatusiu, czy to już?”

Na co pan Hufnagel krzyczał:

„Przecież widzicie, diabły sakramenckie, że dziś mam ciężki dzień!”

A nieco później, gdy dzieci przybiegały wołając:

„Tatusiu, tatusiu, mama woła na obiad i jak nie przyjdiesz, to polecą garki!” – pan Hufnagel odkrzykiwał:

„A niech se lecą, cholery sakramenckie!”

I kto wie, do czego doszłoby tego dnia w mieszkaniu pana Hufnagla, gdyby nie ostatnie zawołanie dzieci:

„Tatusiu, mama idzie z babcią, są już przy stacji benzynowej!”

Na co pan Hufnagel krzyknął:

„Te miotły sakramenckie nigdy nie dadzą mi spokoju!” – i skończył walkę jednym rzutem, kładąc pięść fińską na polskim laminacie.

– A teraz – mruknął Alek – tak tu pusto, że można się powiesić! Przecież nie ogłosili chyba prohibicji?!

Rzeczywiście: wewnątrz baru nie było żywej duszy, a na powietrzu obok nas siedziało jedynie dwóch meneli. Jaskółki znad kanału przelatywały z wizgiem ponad placem i tak jak zawsze o tej porze roku ich białe—czarne fraczki zdobiły niebo zygzakiem arabesek.

– Chciałbyś, żeby było jak dawniej? – zapytałem. Alek nie odpowiedział, lecz w jego oczach ujrzałem cień głębokiej melancholii, ową świadomość przemijania, w której zapewne nie żałował pierwszomajowych festów, przemówień wodzów czy cenzury, lecz czasu, jaki był nam dany tylko raz.

Barba czekał już na nas niecierpliwie i z tajemniczą miną sprowadził do kajuty, gdzie w świetle ostrej lampy pokazał znaleziony skarb, złocistomiodową bryłę wielkości głowy psa.

– To był wasz pierwszy raz, no i od razu coś takiego —cieszył się jak dziecko. – A wiecie, co to znaczy? Że przyniesiecie mi szczęście i że nareszcie karta się odwróci!

Pod światło widać było głowę i korpus owada, ni to jaszczurki, ni to smoka, ni to olbrzymiej muchy ze skrzydłami, jej martwe oczy spoglądały na nas obojętnie, tak jak patrzyły w bezdenną ciemność morza i w głuchą ciemność wydm przed milionami lat.

– Jest zabalsamowana lepiej niż zwłoki faraonów – ciągnął Barba obracając w dłoniach bursztynową bryłę —i jest tak duża, że nawet bracia Piro i wszyscy inni jubilerzy nie mają dość pieniędzy, żeby ją kupić, a wiecie, co ja z tym zrobię, no?

Nie wiedzieliśmy.

– Ja tego nie sprzedam, ja tego nie dam do muzeum, ja to przechowam aż do śmierci i zapiszę na was, w testamencie, bo wy mi przyniesiecie szczęście, ja to czuję, o tu – huknął pięścią w serce – że wy jesteście dobry znak.

Szafka, do której chował skarb, podobna była do tabernakulum w dawnej kaplicy Zmarłychwstańców w Górnym Wrzeszczu, ale nie było tam opłatków ani tym bardziej kielicha przykrytego białą, wąską serwetką, tylko szara koperta i plik pożółkłych papierów: wszystko to wysypało się, gdy Barba chciał upchnąć bryłę bursztynu w zbyt ciasnym wnętrzu, i wtedy ujrzeliśmy pod stopami plik fotografii, dawno chyba nie oglądanych, bo zakurzonych, zapleśniałych, Barba zbierał je do koperty, wahając się wyraźnie, czy schować je z powrotem, czy też oglądać przy nas, aż wreszcie zebrał wszystkie, kopertę wepchnął pod pachę, zamknął sanktuarium na kluczyk i powiedział:

– Chodźcie się napić, chłopcy!

I już w kubryku—kuchni, gdy Irena podała nam co trzeba, rozwijał swoją Księgę, rozwijał swój testament, w którym Apokalipsa mieszała się z Genesis, a proroctwa ze zwyczajnymi kronikami.

– To pan, szefie, naprawdę pan? – pytał zdumiony Alek, a wtedy Barba kiwał głową i opowiadał, jak zaraz po confirmacji umarła mu matka i oddano go do sierocińca, jak stamtąd uciekł i zaciągnął się na barkę, która pływała w dół i w górę Wisły, aż do granicy Prus, jak później, już za Wolnego Miasta i wolnej Polski, przemyślał to i owo, jak się wzbogacił, kupił własną krypę i dom na Długim Pobrzeżu, jak klócił się z retmanami i służbą celną, a później z nazistami i własną żoną, Trudą, która nie mogła zrozumieć, dlaczego nie zamieszka w domu, tylko wciąż na tej barce, która nie mogła pojąć, dlaczego, gdy zlikwidowano już Wolne Miasto i wolną Polskę, on właśnie wtedy zaczął uczyć się polskiego, słuchając nocnego radia BBC, o tak, to właśnie z Trudą było mu najtrudniej, bo nawet nie chciała słyszeć, nawet nie chciała myśleć o tym, żeby tu zostali, dom był spalony, barka zatopiona, miasto w ruinach, a Niemcy wypędzani, nie mogła go zrozumieć, gdy mówił, że znowu zapracuje na nową barkę, a potem wybuduje nowy dom, może już nie na Długim Pobrzeżu, gdzie będą najpewniej sami Polacy, ale gdzieś na przedmieściach Ohry albo Emaus, wszystko jedno.

– Więc wyjechała – wzdychał Barba – tak jak wszyscy prawie, a ja zabrałem się do pracy, żeby jej pokazać, że nie miała racji.

No, ale wyszło na to, że jednak chyba miała, bo to nie była już epoka retmanów ani wolnych szyprów, kredytów i banku zbożowego, nad ruinami spichrzów powiewał wąs Stalina i było ciasno, coraz ciaśniej i chociaż miał już polskie papiery i mieszkał daleko, na Sobieszewskiej Wyspie, dopytywali się o niego, weszli i szukali, więc udał się do księdza, tego, który go ochrzcił po katolicku, a na to ksiądz:

„Niedobrze, wiesz, ten Miehlke, którego wyrzuciłeś z barki, bo chciał na ciebie donieść za to radio, ten Miehlke, co to był najpierw w SA, a teraz jest w PZPR, ten Miehlke doniósł na UB, że byłeś gestapowcem”.

Nie było rady i Barba musiał się ukrywać, na strychu księdza, przez trzy lata wśród nietoperzy i pajęczyn, aż któregoś ranka przed plebanią zajechały trzy czarne Citroeny, Barbę aresztowano, a księdza wyrzucono przez okno, z tamtej wieży, o tak, w więzieniu poznał kilkudziesięciu polskich patriotów, co wysadzali niemieckie pociągi, mosty i transporty, a teraz byli wrogami ludu i Stalina, nie, tego nie mógł do końca zrozumieć, ale to może dlatego, że nigdy nie mieszał się do polityki, chciał tylko pływać w górę i w dół rzeki, prowadzić barkę wśród piaszczystych łąk i krzyku mew, nawet wtedy, kiedy wyszedł z więzienia i udał się do Wydziału Gospodarczego z podaniem o zezwolenie na żeglugę, więc nawet wtedy miał na-

dzieje, że przyjdą takie czasy, w których znów nikt nikogo nie będzie pytał o poglądy, religię czy pochodzenie, ale i tym razem się zawiódł, w pewnym sensie, bo urzędnikiem, którego ujrzał w gabinecie był Miehke, teraz Mielczyk, o, jakież to okropny był krzyk, kiedy chwycił go za kark i wrzasnął:

„Mielczyk, ty teraz jesteś polskim naczelnikiem, a gdzie twój mundur esamana, a gdzie ten książdz, co wypadł z wieży?!”

Zrobiła się zadyma i Barba znowu trafił do więzienia, ale tym razem siedział znacznie krócej, bo czasy były liberalne, Gomułka mówił o wolności i Barba to sobie wziął do serca: najpierw handlował dolarami, potem kradzioną biżuterią, miał warsztat kamieniarski, a kiedy na Wybrzeżu zaczął się bursztynowy boom, kiedy pompierze zaczęli robić tu fortuny, uznał, że wreszcie przyszła jego chwila: zamelinował się na porzuconej barce i zaczął nowe życie: zarcie, kobiety, samochody i cotygodniowa spowiedź w kościele Świętej Barbary dla oczyszczenia krwi i serca, cóż stąd, że był już stary, cóż stąd, że opuszczały go kolejne żony, wciąż był mężczyzną i jak patriarcha co roku płodził nowe dziecko, bo przecież najważniejszy był dla niego smak życia, a na czym on polega?

– Nie można wierzyć w potępienie – ciągnął Barba. — Jak taki Luter, Kalwin albo Zwingli, by być zbawionym, trzeba grzeszyć tak jak ja i tylko tego przypilnować, żeby na czas się wyspowiadać...

Tak, taka teologia odpowiadała nam, i to nawet bardzo, może z wyjątkiem cotygodniowej spowiedzi, lecz jeszcze mocniej fascynowała nas sepia starych fotografii: Barba na barce pod Grudziądzem na tle wiślanych skarp, Barba przed restauracją Kubickiego w jasnym, płóciennym garniturze, który odcinał się wyraźnie od fali mundurów esamańskich, Barba z Trudą obok kościoła Świętego Jana, tuż po ślubie, którego udzielał im pastor Pilch, nadzwyczaj miły, choć roztargniony człowiek, Barba na tle oliwskich wzgórz, ciągnący sanki z Krystyną, swoją pierwszą córką, Barba w oknie domu przy Lange Brucke numer siedemnasty, Barba w cylindrze i pikowanej kamizelce w dzień Święta Ojca, na piknikowej łące gdzieś na przedmieściach Wrzeszcza, Barba w Zielonej Bramie u Kummera kupuje paczkę cygar, Barba na barce sunącej wolno pod jednym z bydgoskich mostów, Barba z kilofem w brygadzie odgruzowującej Dolne Miasto, otóż ten Barba zatrzymany w sepia, w niebyłych formach sztywnych kołnierzyków, kraciastych buksów, dymiących holowników, ten Barba w świecie, który nie był naszym, nagle ten egzotyczny Barba wydał się nam zadziwiająco obcy, niczym owad zamknięty przed milionami lat w żywicznej kuli, co stała się kamieniem, istotą, jakiej próżno szukać w atlasach Linneusza, gatunkiem tak dawno już wymarłym, że nieprawdziwym całkowicie.

– A ta ostatnia fotografia – powiedział po chwili milczenia – była zrobiona całkiem nielegalnie, spod płaszcza i na dodatek w zonie, gdzie samo posiadanie aparatu było przestępstwem politycznym.

Alek obracał w dłoniach pozółkły kartonik i przyglądał się uważnie mundurom polskich oficerów. Były dziwne. Ani tak eleganckie jak te sprzed wojny, ani podobne do dzisiejszych. Lecz gruby palec Barby wskazywał co innego: tłum cywilów pod czujnym okiem wartownika wstępował właśnie do wagonów towarowych.

– Tu, odwrócona tyłem, stoi Truda, a ta dziewczynka w berecie i z warkoczem to Krystyna.

Twarze deportowanych Niemców były tak niewyraźne, że uwierzyliśmy mu na słowo, lecz zaraz, prawie natychmiast po tym, co powiedział Barba, Alek i ja poczuliśmy się trochę dziwnie, jakbyśmy to my sami zarządzili wypędzenie, jakby to od nas, nie od Stalina i Roosevelta, zależało, gdzie kto miał mieszkać i jakim mówić miał językiem.

– A nasze wagony – westchnął Alek – były prawie że takie same, tylko na szerszych osiach, staliśmy cały dzień i całą noc, bo Ruskie kłuły bagnetami każdą skrzynię, każdy kosz i tobolek, żeby się nie wydostał ktoś bez papierów, no i na koniec, jak mieliśmy już ruszać na



ten Zapad, w ostatnim wagonie z drewnianej skrzyni pociekła krew, a kiedy Ruscy otworzyli, to okazało, się że w środku siedzi zwinięty pan Wołkonowicz, ten, co go szukało w trzech powiatach NKWD, więc wzięli go pomiędzy dwa bagnety, wyprowadzili w pole i tam przekłuli jeszcze kilka razy, bo mieli wyraźnie powiedziane, że strzelać do nas nie dowolna, żeby nie popsuć humorów Gomułki i Chruszczowa, co podpisali tę umowę na nasz wyjazd...

– W takim samym wagonie – wskazałem na zdjęcie – mój dziadek podróżował do Auschwitz i to nie była zwykła stacja kolejowa, tak samo jak nie była to zwykła deportacja, repatriacja czy wypędzenie.

Barba spojrzał na mnie uważnie, jakby chciał o coś spytać, lecz w jego oczach nie wyczułem niepokoju, może zaledwie cień namysłu, czy warto dowiadywać się o dalsze losy dziadka.

– Wtedy nie było jeszcze komór – dodałem. – A kiedy wyszedł z tego piekła, to wszyscy się dziwili, że ma na ręce tak niski, trzycyfrowy numer...

– Historia to największa kurwa – powiedział Barba.

– Historia to nie osoba – przerwał mu Alek. – Politycy to kurwy, czarni, brunatni czy czerwoni, wszystko jedno!

Do kubryku wszedł Wania. Barba skinął przyzwalająco głową i na stół, pomiędzy kieliszki, szklanki i wyczerpane butelki spłynęła płachta mapy. Tam gdzie Martwa Wisła opływa łukiem Sobieszewską Wyspę, oddzielając Górki Zachodnie od Wschodnich błękitną wstęgą wody, widniała pieczęć katastralna Wolnego Miasta Gdańska. Ale nie pieczęć chciał nam pokazać Barba. Najpierw kopiaowym ołówkiem zakreślił pierwszy krąg.

– Tu teraz kopie major, a tu – zrobił drugie kółko —zainstalujemy się my i rozpuścimy chyr, że to najlepsza działka od piętnastu lat, a tu – zrobił na mapie krzyżyk —są bunkry, o których nie wie nikt.

Milczeliśmy już dobrą chwilę. Przez Plac Wałowy przeszła kotna suka i zatrzymała się przy ogrodzeniu baru. Jej sierść, pokryta liszajami, roiła się od much. Menele, dopiwszy piwo, ruszyli w stronę fortu.

– Dawniej? – Alek odstawił pusty kufel. – Dawniej, a może raczej dziś? Nie, chodźmy stąd, ten bar zbyt przypomina mi trupiarnię.

Suka, merdając ogonem, ruszyła za nami bez zaproszenia. W pożółkłych, azjatyckich trawach, pomiędzy ceglanymi załomami fortu, menele odbijali jagodziankę.

– Skończylibyśmy tak jak oni – powiedziałem cicho —gdyby wtedy trwało to dłużej, powiedzmy, kilka sezonów...

Alek, jak gdyby nie dosłyszając tego zdania, nagle zaczął mówić o Trudzie: że jednak to chyba nie ona dała tak piękny występ na cmentarzu, bo gdyby to była ona, musiałyby mieć dzisiaj z dziewięćdziesiąt sześć, a może nawet dziewięćdziesiąt siedem lat, była od Barby dużo starsza i nawet na zdjęciach, które pokazywał nam na barce, widzieliśmy tę różnicę gołym okiem, no, a kto rozsądny w takim wieku jechałby na pogrzeb, przez rzeki, przez morza niepamięci?

– Dlaczego ty zakładasz – zapytałem – że ona, jeśli żyje, musi być rozsądna?

– Bo wyjechała stąd – uciął Alek – kiedy był odpowiedni czas.

– A Wiza? – nie wytrzymałem. – Kiedy ona wyjechała, wrzeszczałeś, że to brak rozsądku, że to szczyt głupoty...

Alek zaciął się w sobie i chyba tylko jakimś nadzwyczajnym aktem woli powstrzymał wybuch złości. Wiedziałem jednak, o czym teraz myśli i co wspomina: tamtą wizytę w domu starców. Tak, nasze coroczne odwiedziny u Barby miały swój rytuał: w sklepie przy Chełmońskiego kupowaliśmy butelkę bułgarskiego koniaku, a potem, skrajem lasu, obok kościoła

Świętego Stanisława maszerowaliśmy na Polanki, by jak co roku usłyszeć pod stopami szumiącą rzekę liści, by jak co roku ujrzeć Barbę na inwalidzkim wózku, w którym oczekiwał nas niecierpliwie na podjeździe, Barbę otulonego szkockim pledem, Barbę zakutanego w szalik i wełnianą czapkę, Barbę w cokolwiek dużym, śmiesznym bucie z filcu, Barbę, który co roku wyglądał tych odwiedzin jak największego święta, bo przecież była to prawdziwie nasza coroczna msza, nasze prywatne nabożeństwo z ustalonym, liturgicznym porządkiem: najpierw pchaliśmy jego wózek przez park, do góry, między obnażonymi z liści pniami buków, słysząc, jak trzaska pod naporem kół kruchy lód na kałużach, potem, już na polanie, opowiadaliśmy, co słyszeć w mieście, i pijąc bułgarski koniak z małej szklanki, która krążyła z rąk do rąk, wspominaliśmy dawne czasy, zawsze – rzecz jasna – lepsze od aktualnych, na co Barba reagował tak samo, nie tylko dostając rumieńców, nie tylko stając się rozmownym, on chciał za każdym razem przeżyć raz jeszcze tamten dzień triumfu i zemsty nad majorem:

„Och, chłopcy, czy wy to jeszcze pamiętacie?” —wymachiwał pustą butelką. — „Te fontanny piachu tryskające pod samo niebo? Ten ich popłoch, z jakim nie mogli się doliczyć pomp i ludzi?”

Tak, pamiętaliśmy dobrze: trzy miesiące po tym, jak major stracił kilku swych żołnierzy na zakopanych przez nas niewypałach, kiedy zdawało się, że nigdy nie zawładnie już wydmami od ujścia Wisły aż na wschód, jego mroczny i strategiczny geniusz objawił się niespodziewanie pod postacią moździerzowego pocisku wystrzelonego precyzyjnie w nasze stanowisko, tak, pamiętaliśmy tamtą ucieczkę i następne pociski, które przeorywały piasek wydm jak pionki na szachownicy, pamiętaliśmy krew na spodniach Barby i Wanię, który skonał nad ranem w krzakach leszczyny, i to był już koniec nie tylko Wani, ale całego bursztynowego przedsięwzięcia Barby: major Zgrzyt przejął tereny i cały rynek zbytu, o czym więc było mówić pchając wózek w dół, aleją bezlistnych grabów i hiszpańskich buków, o czym rozmawiać, gdy butelka bułgarskiego koniakku była już całkiem pusta, a nad wzgórzami zaczynał sypać pierwszy śnieg?

Zazwyczaj zegnaliśmy Barbę przy wejściu do domu starców, tamtego jednak roku wyraźnie chciał zaprosić nas do środka i kiedy już przeszliśmy przez korytarz, odprowadzani wścibskimi spojrzeniami pensjonariuszy i personelu, kiedy w małym, wąskim jak kiszka pokoiku zdjął z siebie pled, czapkę, rękawiczki i filcowy but, czekaliśmy niecierpliwie, co też pokaże nam tym razem, a on, ze śmiechem i nieskrywaną satysfakcją sięgnął do nocnej szafki i wyłożył na łóżko plik świerszczyków, by z dumą pokazywać Wizę w uściskach ze skandynewską Divą, Wizę pomiędzy dwoma napalonymi grubasami czy wreszcie Wizę samotnie pozującą z wyzywającym bananem czy czarnym mambą w dłoni.

„Nie” – krzyczał Alek – „tylko nie to, na Boga, tylko nie fotografie!”

Lecz Barba śmiał się z tego i mówił, że ilekroć otwiera drżącymi dłońmi kolejną przesyłkę od Wizy – ze Sztokholmu, Kopenhagi, Hamburga czy Amsterdamu ilekroć patrzy na jej piękne, smukłe ciało, czuje się jak król Dawid, któremu przyprowadzano Abisag Sunamitkę, bo chociaż jego królestwo dawno już rozpadło się w proch, chociaż jego wrogowie dawno już podzielili łupy, on ogrzewa się widokiem pięknej, młodej dziewczyny, która jak diadem koronuje jego ostatnie dni.

„Nie” – krzyczał Alek – „tylko nie fotografie!”

I kiedy wypiliśmy następną butelkę bułgarskiego koniakku, już w jego domu, przy Nowotki, kuchennym, tępym nożem ciął wszystkie płótna wiele razy, rwał je na strzępy, unicestwiał, albowiem piękno, które on zamykał w swoich rysunkach, płótnach, gwaszach, to piękno zostało znieważone przez światłoczułą błonę, przez mechaniczną fotografię, której jedynym celem było wywołać podniecenie, ślinotok, wzwód penisa.

Staliśmy na mostku starej śluzy, przez którą od pięćdziesięciu lat nie przepłynęła żadna łódź. Przed nami, ponad wstęgą rzeki i zielonym tunelem drzew strzelały w niebo wieże Marii Panny. Było parno i wydawało się, że zachodzące promienie słońca wydobywają z ruin spichrzów nadnaturalną, hanzeatycką czerwień cegły. Suka zeszła na brzeg i piła wodę chlepcząc hałaśliwie. Miasto stało przed nami dziwne i nieznane, jakbyśmy to nie tu kończyli szkoły, pili wódkę, pisali wiersze, kochali się z dziewczętami, jakbyśmy to nie tu widzieli lufy czołgów, sztandary, dymy i ołtarze, jakbyśmy to nie tu mieli położyć kiedyś swoje kości.

– Nie – Alek splunął w leniwy nurt Motławy – ty nie myśl sobie może czasem, że kiedyś tego żałowałem. Kiedy wróciła... pamiętasz tamten rok?... Kiedy wróciła, to zadzwoniła do mnie i wiesz, co chciała? Żebym odsprzedał jej obrazy. A kiedy powiedziałem, że już ich nie ma, to żebym namalował nowe, takie same. Głupia. Nic nie jest takie samo.

– A my? – zapytałem.

Alek oderwał wzrok od wody i spojrzał na mnie tak, jakbym popełnił nietakt.

– My? – huknął głośno. – My mamy dzisiaj stypę, a stypa to są poważne obowiązki i zamiast tutaj stać i czekać nie wiadomo na co, powinniśmy się wreszcie upić, powinniśmy śpiewać i zatańczyć, bo tego potrzebuje jego dusza.

– Ty niby skąd wiesz, czego potrzebuje jego dusza? Może zamiast naszych wrzasków bardziej chciałaby modlitwy? A może coś takiego jak dusza w ogóle nie istnieje?! Może to tylko wymysł poetów, filozofów, księży? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Nigdy nie miałaś wątpliwości?

– Że niby co? – Alek miał coraz groźniejszą minę. – Że niby jak? Że Barba nie miał duszy?

– Nie – tłumaczyłem patrząc w powolny nurt —chciałem powiedzieć, że dusza istnieje, na pewno istnieje, ale czy rzeczywiście ma być nieśmiertelna? Czy rzeczywiście wylatuje z ciała i żegluje sobie gdzieś tam, w zaświaty?

– A czegoż ty się czepiasz mnie jak pijany płotu i to akurat w taki dzień? I co ja mam tobie odpowiedzieć? Że śmiertelna? Że nieśmiertelna? A na hujnia mnie z taką dialektyką! – Alek uderzył pięścią w poręcz mostu tak mocno, że płyty rudej rdzy sfrunęły na welon wodorostów. – Jak ja powiem „wieczna”, to ty zaraz: „nie istnieje”. A jak powiem „śmiertelna”, to ty zaraz: „może jednak nie tak całkiem śmiertelna?!”. W tych sprawach ludzie nigdy nie zgadzali się do końca i tak durnieli, że z tej gorączki podpalali stosy albo i całe miasta. A nam co do tego? Ważne, by wspomnieć przyjaciela i wypić jego zdrowie.

– Przyjaciela – powtórzyłem bezwiednie – tak, wypić zdrowie przyjaciela.

Ruszyliśmy ścieżką nad kanałem. Prawie jak w letni wieczór, kiedy nagrzone mury oddają żar całego dnia schłodzonemu powietrzu, wśród gigantycznych pokrzyw, łopianów, perzu i lebiody, czuć było ciepło promieniujące z cegieł dawno wypalonych spichrzów. Gdyby nie puszki po coli i piwie walające się w wysokiej trawie, moglibyśmy podejrzewać, że czas potraktował tę enklawę wyjątkowo i że za chwilę ujrzymy tu samych siebie sprzed dwudziestu paru lat: skaczących w upalny dzień do wody, nurkujących między polerami, łowiących ryby na dziergawkę z pokładu niemieckiego wraku. Może dlatego nie chciało nam się gadać?

Dopiero za Zieloną Bramą, tam gdzie atrapy kamieniczek pozują do pamiątkowych zdjęć, dopiero w okolicach poczty rozwiązały się nam języki za sprawą symetrycznych rozmów przez telefon. Czy nasze żony były zachwycone? Niewątpliwie. Ostatecznie dzwoniliśmy z Głównego Miasta, a nie z Królewca albo dworca w Lidzie, ostatecznie mogliśmy zdążyć na kolację, na „Wiadomości” czy na film, gdybyśmy bardzo tego chcieli, gdyby nam zależało. Ale – nie zależało nam. Epicki ciężar dnia nie nabrał jeszcze odpowiedniej miary i trzeba było ją dopełnić.

– Pamiętasz – Alek kupował marsy – jak przysięgaliśmy zemstę Majorowi?

Skinąłem głową. Nad ranem trzeba się było zdecydować, ale nikt z nas nie chciał zrobić pierwszego kroku:

Barba krwawił na barce, właściwie już bez nogi, Taksówkarz pędził po chirurga, Wiza uspokajała dzieci, a my siedzieliśmy w leszczynowych krzakach na skraju wydm i śledząc światła morskiej latarni mówiliśmy do Wani:

„No, niczewo gałubczik, wsjo budiet charaszo”.

Ale nie było *charaszo*, bo Wania umierał na naszych oczach i nic nie mogło mu pomóc, a kiedy przestał oddychać, zupełnie straciliśmy rezon i wreszcie Chudy powiedział:

„Musimy to załatwić sami”.

„Jak to, bez księdza i bez trumny?” – próbował oponować Alek, lecz sprawa była jasna, tak jak wschodzące słońce: Wania nie istniał przecież w żadnym legalnym czy nawet nielegalnym świecie, był bez paszportu, uciekinierem z sowieckiej floty na Bałtyku i wreszcie to zrozumieliśmy, choć z ociąganiem i nie bez strachu kopiąc ostatni dół na wydmach, nie dla bursztynu, lecz dla Wani, a gdy już ziemia była przysypana dla niepoznaki czystym morskim piachem, gdy każdy, tak jak umiał, zmówił po cichu pacież, Alek powiedział:

„Ty, major Zgrzyt, ty nas jeszcze popamiętasz, ten pocisk to ci odeślemy pod same drzwi kuchenne”.

I teraz, kiedy maszerowaliśmy z Alkiem przez Mariacką, wzdłuż oświetlonych jubilerskich wystaw, na których polerowane srebro, na których złote i miodowożółte bursztyny pyszniły się wśród nalepek „VISA”, „AMERICAN EXPRESS”, „MASTER CARD”, pomyślałem, skąd Alek wziął wtedy te kuchenne drzwi, skoro wówczas o Majorze nie wiedzieliśmy prawie nic, skoro o Majorze dowiadaliśmy się znacznie później, w epoce masowych demonstracji, pacyfikacji, aresztów i sztandarów.

– Podobno – powiedziałem – nic nie ruszyło go przez lata, a teraz otworzył Amber Bank Comercial.

– Tak – Alek pchnął wahadłowe drzwi baru „Istra” – byli oficerowie to dziwne towarzystwo.

Wypiliśmy za Wanię. Potem za Barbę. Potem za Mnicha, który skończył marnie, i za Chudego, po którym wszelki słuch zaginął. Deszcz bębnił po szybach coraz mocniej i burza, która rozpuętała się nad miastem, kazała nam rozluźnić tempo.

– Ty myślisz – zapytałem cicho – że jednak dzisiaj na cmentarzu to był rzeczywiście Major? Wiza nie miała wątpliwości, ale mnie wydawało się, że przecież on był znacznie niższy.

– Wyższy, niższy – Alek omiół melancholijnym spojrzeniem kontuar, stoliki i zapocone szyby, za którymi jak widma pomykali przechodnie —jakie to ma znaczenie? Nie dopadliśmy go wtedy, dzisiaj szkoda gadać.

Westchnąwszy, utoczyłem łyk piwa, a utoczywszy, znów westchnąłem. Wokół wysokich barowych stołków kręcił się rudobrody gnom. Ten sam, co przed laty prochowiec i taka sama puszka w jego dłoni stwarzały wrażenie, że byliśmy tutaj zaledwie przed paroma dniami, płucząc zaschnięte gardła za wyplukany bursztyn. W puszcze pobrzękiwały drobne: gnom pokazywał palcem na wycięty z gazety i przyczepiony gumką do spękanej blachy nekrolog, powtarzając: „Na kwiaty, na wieniec, panowie, umarł człowiek”, zapewne codziennie ten sam, od kilkunastu lat, o czym świadczył pożółkły wycinek w czarnej obwódce.

Alek wrzucił dwie monety, chyba złotówkę i pięćdziesiąt groszy, zrobiłem to samo, a kiedy bilon zabrzęczał płasko na dnie naczynia, natychmiast przypomniałem sobie tamte prasowe tytuły i nagłówki z «Głosu», «Dziennika» i «Wieczoru», nagłówki pełne troski i autentycznej, dziennikarskiej pasji: „Społeczne przyzwolenie dla rabusiów”; „Jak długo jeszcze nielegalne pompy?”; „Krajobraz księżycowych nocy”; „MO i aktyw osiedlowy zwalczyły gang kopaczy”; „Fortuny nielegalnych band”; „Imperium bursztynowych dziur”; „Handelek kwitnie, uczciwe społeczeństwo traci”, tytuły, w których zamknięto mimo woli poezję minionego czasu, ulotny, trudny do określenia ścieg epoki, za jakim próżno uganił się poeci, rytm tamtych dni, w szalonym, nieobliczalnym syku gazet, w krokach przechodniów, w zgrzytaniu tramwajowych zwrotnic, w szumie portowych knajp, w kolejkach po chleb, słoninę i cebule,

w dodatkach dla samotnych matek, w głosach telewizyjnych prezenterów, w zapachu peweksowskich wnętrz, w czeluściach kamienicznych bram, w rozmowach tuż nad ranem, a także w przemówieniach, w kazaniach, ulotkach i wyrokach, wystrzałach, demonstracjach, w talonach na samochód, dworcowych poczekalniach, wojskowych płaszczach, wakacjach dla młodzieży, wieczorach literackich koła młodych, w ulicznym kurzu, w spojrzeniu karpia położonego na świąteczny talerz, otóż to wszystko wróciło do mnie nagle, niespodziewanie jasno, równocześnie, kiedy moneta osiągnęła dno zardzewiałej puszki i kiedy pożółkły ze starości nekrolog, wydarty niegdyś z «Głosu», «Dziennika» lub «Wieczoru», przemknął mi przed oczami jak wagon pośpiesznego nocą na przejeździe.

– Czy słyszysz, co do ciebie mówię? – Alek pochylił się nad stołem. – EB czy może znów heweliusz?

Odprowadzałem wzrokiem rudobrodego gnoma. Jak zawsze kłaniał się ofiarodawcom i cichym, nieco chrapliwym głosem mówił uprzejmie:

„Dobrego dnia łaskawemu panu życzę, dobrego dnia winszuję”.

Jego samogłoski, skłon jego głowy, gest jego dłoni, jego przedniojęzykowozębowe choć niekoniecznie aktorsko kształcone „ł” pozwalały domyślać się przynajmniej tego, że niekoniecznie przez całe życie zbierał monety do puszki z nekrologiem, że niekoniecznie urodził się w tym mieście i niekoniecznie przybył tu z wyboru. Jak zawsze wszedł do toalety, by po chwili wyłonić się z Hadesu z kieszenią pełną drobnych i całkiem pustą puszką: zamówił piwo i czekał, aż w zadymionej sali wymieni się skład gości, przynajmniej o połowę.

– Mineralnej łyk raczej – odparłem – dobra jest na sam koniec.

Lecz Alek ani myślał o końcu. Wrócił zza baru z dwiema wypełnionymi po brzegi szklanicami i rozwijał swoją epicką skłonność wywoływania duchów.

Po chwili ujrzałem pana Stulka: przeszedł przez bar, tak samo, jak przechodził przez pustą, ciemną scenę, kiedy pracował przed premierą, kiedy wypalał setki papierosów i myślał tylko o Edypie albo o Leopoldzie Bloomie, albo Józefie K., ujrzałem pana Stulka, jak siadał przy tym samym co my stoliku w barze „Istra”, już po oklaskach, kurtynach, koszach kwiatów, jak myślał o następnym przedstawieniu i o tym mroku pustej sceny, którą mu przyjdzie znów przemierzać za kilka dni, miesięcy, lat, przed każdym następnym przedstawieniem, od czego nie mógł uciec i co ciągnęło go bardziej niż alkohol i kobiety, ta myśl o pustce czarnej, chłodnej przestrzeni, w której nie widać konturów ani granic, lecz w której czuje się obecność czyjejś twarzy, oddechu i szelestu powiek; ujrzałem ciemną, wilgotną jamę ziemi, w którą grabarze chcieli spuścić trumnę, było zimno, padał już deszcz ze śniegiem, lecz dół okazał się zbyt wąski lub trumna za szeroka i grabarze musieli podnieść sosnowe pudło jeszcze raz, ustawić je obok górki piachu, by dół poszerzyć, i to był ostatni występ pana Stulka, jego ostatni spacer przed premierą w poprzek pustej, milczącej, ciemnej sceny.

Tak, Alek ani myślał o końcu, lecz w jego monologu koniec był zawsze taki sam, bez względu na to, czy w zatłoczonym barze „Istra” pojawiał się teraz pan Stulek, poeta Iredyński, malarz Markowski, Wania, Barba czy też pan Wołkonowicz, ten, co to nie zdążył dojechać do Gdańska, nie zdążył ujrzeć ceglanych wież Najświętszej Marii Panny ani szerokich, holenderskich okien Wielkiego Arsenалу, gdzie po raz pierwszy objawiła się Alkowi Wiza w miodowym, jasnym tyglu światła, Wiza, którą ujrzelśmy nagle tuż przy barze, jak przekrzykując mężczyzn, w smugach tytoniowego dymu, zamawia paczkę marlboro i pięćdziesiątkę czystej wódki.

– Przecież jej tutaj nie wołałem – Alek ściszył swój głos niemal do szeptu – myślisz, że ona...

Lecz nie dokończył, bo Wiza pokiwała nam dłonią, krzyknęła:

– Cześć, chłopaki! – i opędzając się od puszki gnoma, podeszła do stolika uśmiechnięta.

Kropla, którą przyniosła z deszczu, miała barwę jej włosów – rudawozłotą, kasztanową – i przez pierwszą chwilę, kiedy Wiza trajkotała jak najęta o intuicji:

– Wiedziałam, wiedziałam że was tutaj znajdę! —jak też o biurze notariusza: – To były najprawdziwsze jaja, bo na początku zabrakło dla niektórych krzeseł! – więc przez tę pierwszą chwilę, gdy cytowała słowa Barbę:

„Życzę sobie, aby trumna ma z jesionu wykonana przez Kanickiego stolarza z Wonenberg, to jest Ujeścisko, wieziona była bardzo wolno z kościoła Świętej Barbary na cmentarz karawanem z czterema koniami karej maści, dwa można wypożyczyć od Zilberta węglarza, Kolejowa siedem, dwa następne skombinować”, więc kiedy to opowiadała, patrzyłem, jak ów wypukły menisk kropli deszczu przesuwają się po jej włosach w dół, jak sunie, zmieniając barwę, po policzku, aż wreszcie rozplywa się, rozsmarowuje i zanika gdzieś na granicy warg zaznaczonej czerwoną linią kredki Chanel.

– Nie! – krzyknął Alek. – Przecież to nie może być —powtarzał kilka razy, chwytając się za głowę. – Aż tyle mu zostało?! To niemożliwe – mówił coraz głośniejszym głosem – przecież w tym domu starców, jak odwiedzaliśmy go na Polankach, nie miał nic, nawet na papierosy, robiliśmy dla niego zrzutkę, a tutaj coś takiego?!

Na co Wiza kiwała tylko głową i spokojnie mówiła dalej o tym, jak jedna z wdów zemdlała, słysząc odczytywaną przez notariusza sumę, jak pan notariusz kazał jej podać szklanekę wody i jeszcze raz odczytał ten fragment testamentu, w którym Barba zapisał wszystko dla parafii Chrystusa—Króla Miłosierdzia, z obowiązkiem jednej rocznej mszy, mszy za zbawienie jego duszy przez najbliższych pięćdziesiąt lat, opowiadała, jakie zrobiło się zaraz potem zamieszanie, jaki okropny powstał krzyk, na co notariusz uniósł płachtę papieru, potrząsnął nią jak Mojżesz tablicami i stwierdził głośno:

„To jest nieobalalna sprawa”.

A kiedy niektórzy zaczęli już wychodzić, nie doczekawszy ostatniej kropki, przeczytał już na koniec:

„Natomiast co się tyczy tej bursztynowej głowy z wielkim owadem w środku, która zdeponowana jest u niniejszego notariusza, to polecam, aby upoważniona moja córka odebrała ją osobiście i osobiście przekazała panom Aleksandrowi H. oraz Pawłowi J. we wspólne użytkowanie z życzeniem, że mogą to trzymać u siebie każdy przez rok albo mogą to komuś podarować, ale żeby nie sprzedawali, bo to nie jest zapłata, ale podarunek na pamiątkę”.

Zapadła cisza. Nie w biurze notariusza, lecz tu, między nami, ponad stolikiem w barze „Istra”. Zataczając się, rudobrody gnom ruszył znów w obchód. Ktoś popchnął go i zżółkły nekrolog sfrunął pod krzesło jak zeszłoroczny liść, a puszka – pozbawiona racji – toczyła się po podłodze, wydając pusty brzęk. Jak co godzinę z głośnika radia zawieszzonego ponad barem znów popłynęły wiadomości: krew lała się w Sarajewie, zarząd naszego miasta przelał znów coś z pustego w próżne, burzowce nie mogły przyjąć spływającej wody, do portu w Gdyni wpłynęły zaś fregaty Bundesmarine, tym razem z rzeczywistością, nie pozbawioną wdzięku, kurtuazją.

– No, co się tak gapiacie? – Wiza była najwyraźniej w dobrym humorze. – Przecież to ja, nikt inny!

– Ty? – Alek zapalił papierosa i natychmiast zdusił go w pełnej popielniczce. – Ty? Nie brechaj, bo nie lubię! I co to sobie wyobraża, że my tu dla komedii tak męczymy się? Tak sobie po prostu siedzimy? Tak pijemy? *A idi...* —Alek już miał ochotę zakląć, lecz Wiza dotknęła jego warg palcami i gniewne, plugawe słowa tym razem nie wyleciały w świat.

– Ja – powtórzyła z odcieniem nieukrywanej dumy. – Ja – powtarzała coraz głośniejszym głosem —ja sama, właśnie ja!

Trzeba było zwlec się z krzeseł. Ruszyć do samochodu. Trzeba było ucisnąć dłoń jej męża. Zgodzić się, że pogodę mamy dziś fatalną, ceny straszliwe, rząd do bani, a opozycję na poziomie torfu. Trzeba nam było przez tych kilka minut wdychać słodkawomdły zapach odświeżacza, jakim we wnętrzu wozu spryskane było chyba wszystko, nie wykluczając szyb i klamek. A nade wszystko trzeba udawać było, że wszystko jest normalnie i że ta triada: po-

grzeb—notariusz—stypa, że ta sekwencja tak właśnie miała się zakończyć: w zaparkowanym przy ulicy Pivnej mercedesie, pomiędzy rozświetlonym barem „Istra” a ciemnym i ponurym gmachem Arsenalu.

– Przystało padać? – powiedział pytająco Alek.

– Tak – odpowiedziałem – ale nie widać gwiazd. Samochód odjechał w Tkacką i jeszcze przez parę sekund słychać było w wąskiej gardzieli ulic rozchlapywaną wodę kałuż. Staliśmy na środku pustej jezdni. Alek bez słowa podał mi kartonowe pudło.

– Nie – odsunąłem się gwałtownie – weź ty, do końca roku.

– No, chyba że moneta – Alek sięgnął do kieszeni. —Orzeł? Reszka?

– Orzeł – wymamrotałem bez przekonania. Nowa pięciozłotówka zawirowała na asfalcie jak przebudzony wiosną trzmiel.

– O, żesz ty! – Alek odstawił pudło na krawężnik i przyklęknął na jezdni. – Gdzie ona się podziała?

Ja również przyklęknąłem i tak, posuwając się krok za krokiem niemal na czworakach, dotarliśmy na drugą stronę jezdni, gdzie neon sklepu „Body Shop” rozświetlał wilgoć nocy. Ale na próżno. Moneta rozplynęła się w ciemności. Sięgnąłem do portfela. Także na próżno, w środku był tylko jeden banknot.

– Daj następną – powiedziałem.

– Następną, następną – Alek nerwowo szperał po kieszeniach. – Nie mam już nic z bilonu, trzeba nam wejść do baru.

Przeszliśmy znów przez jezdnię, tym razem w postawie nieugiętej. Ale po drugiej stronie, na krawężniku, tuż przy kamiennych schodach przedproża, nie było już kartonowego pudła. Zniknęło, razem z zawartością.

– Nie! – krzyknął Alek. – Tylko nie to!

– Tam – powiedziałem – widzisz? Prędko! Pod murem Najświętszej Marii Panny toczył się cicho dziecinny wózek. Schylona postać śmietnikarki pchała go równomiernie chybkiem krokiem.

– Tylko nie biegnij – wycodziłem przez zęby – tylko nie wrzeszcz, bo baba się przestraszy, będzie pasztet.

Niby powoli, niby tak sobie od niechcienia, niby dla przewietrzenia płuc przed snem, przyśpieszaliśmy krok za krokiem.

– To nie jest jogging – powstrzymałem Alka – to ma być chód sportowy!

Lecz zakutanej w chusty śmietnikarce czegoś się nie spodobał ten kaczy chód facetów, to energiczne wyrzucanie ramion, te pochylone nisko czoła. I przyśpieszyła. A my za nią. Już na Mariackiej zgubiła dwa kartony z napisem „Philips”, całkiem puste. Na bruku wózek podskakiwał, gubił butelki, szmaty, wstążki. Biegliśmy, skoro i ona biegła. Krzyczeliśmy, bo i ona krzyczała. Przez wąski łuk gotyckiej bramy najpierw wpadł na nabrzeże wózek, potem ona, tuż za nią my, zziajani. Zanim zdążyliśmy ją powstrzymać, powiedzieć, o co chodzi, śmiejąc się, przeklinając, plując, chwyciła wózek, z nadspodziewaną siłą uniosła go nad barierę i cisnęła w dół. A potem, pokazawszy język, odeszła wygrażając pięścią, nie nam, lecz niebu, jakby to stamtąd przyszedł rozkaz o zatopieniu jej dobytku.

W ciemnej wodzie Motławy odbijały się rzadkie światła Ołowianki. Papiery, szmaty i gałganki, płótno ze szprychą parasolki, gumowy but, siedzenie krzesła ze sprężyną, wszystko to nasiąkało wodą, tonąc powoli w ciężkiej, portowej zawieszynie.

Wracaliśmy przez Świętego Ducha, obok kaplicy Sobieskiego.

– Chciałbyś się jeszcze napić? – zapytałem. Alek nie odpowiedział. Drobną mżawka ustała zupełnie, a nad dachami domów, kościołów, nad gałęziami drzew, zawisła gęstniejąca mgła. Gdy mijaliśmy teatr, jej biała otulina była już nisko, przy samej ziemi.

– Ty myślisz – znów spytałem – że to był major, rzeczywiście on?

Daleko, od strony portu zajęczał przeciwny buczek. Po chwili odpowiedziała mu syrena holownika.

– Tak – Alek podszedł do taksówki – to był na pewno on.

– Ale dlaczego on?

– *Warum? Darum!* Każdy musi mieć swój szczęśliwy dzień!

– Tak – powiedziałem – całkiem szczęśliwy dzień! Ale tego Alek już nie usłyszał. Trzasnęły drzwiczki i żółta renówka ruszyła przez Targ Węglowy do Wrzeszcza.

Ja miałem kurs w zupełnie drugą stronę.

– Dokąd? – spytał kierowca.

Podaliśmy adres. Po chwili, na skrzyżowaniu, nie wytrzymał i zagadnął:

– Pan wie? Znowu dziś skroili auto, i to z parkingu strzeżonego, pod hotelem! Pan wie? Ta Niemka, ze służącym, co przyjechała tą gablotą, to chciała być w Królewcu! Pan wie? W Królewcu! No, ale ze starości to jej się miasta pomyliły i kazała mu jechać tu, no i dopiero w hotelu, jak sam dyrektor jej wyjaśnił, że to absolutnie nie jest Królewiec, ona się połapała i mówi do tego służącego: „Wyjeżdżamy”. Schodzą na dół, gadu—gadu, a tu gabloty nie ma! Pan wie, co powiedzieli ci z policji? Że wóz na pewno jest w drodze do Królewca! No bo ci przerzucają teraz...

– Chwileczkę – przerwałem – proszę zawrócić i jedziemy przez Chełm, nie tędy!

Kierowca posłusznie zahamował, nawrócił i ruszył z powrotem, do świateł obok banku.

– Coś nie w porządku? – zapytał.

– Nie, wszystko w porządku – wyjaśniłem – ale dzisiaj byłem już na cmentarzu i nie chcę tamtędy jechać jeszcze raz.

– No pewnie – powiedział – pewnie, dwa to pechowa liczba i znacznie gorsza niż trzynastka, proszę pana.

Jego spojrzenie w lusterku nie zdradzało oznak zaniepokojenia.



## POD DĘBAMI

Zaraz, zaraz, ustalmy fakty! Świadek oskarżenia, o ile sobie przypominam, powiedział tak: „Siedzieli tam od rana, popijali, już wówczas planując demonstrację!”

Po pierwsze, co znaczy: „od rana”? Po drugie, określenie „popijali” zdaje się sugerować, że wszystko, co zaszło, było pijacką awanturą, wybrykiem bezrobotnej hołoty, nie zaś działaniem artystycznym, i to najwyższej próby. Po trzecie, pytam, o jakie planowanie chodzi świadkowi oskarżenia? Na miły Bóg, planować można zamach, małżeństwo, napad na bank, ale nie rzeczy spontaniczne, które dzieją się nagle i zaskakują wszystkich. Po czwarte wreszcie, jaka demonstracja?! Ja rozumiem, do czego to zmierza. Świadek, przepraszam, ale nie dosłyszałem nazwiska, o tak, dziękuję, no więc świadek chciał zasugerować wysokiemu sądowi, że ja i moi współoskarżeni koledzy z premedytacją przygotowaliśmy scenariusz wydarzeń, następnie poszukaliśmy wykonawców, by wreszcie tamtego pamiętnego dnia zająć się wykonywaniem przestępczej partytury!!!

Tak, oczywiście, to byłoby proste wytłumaczenie. Cóż bardziej naturalnego niż to, że grupka bezrobotnych, sfrustrowanych inteligentów postanawia zrobić trochę zamieszania w mieście? Jednakże, wysoki sędzie, to zupełnie absurdalna teza. Postaram się wykazać i udowodnić, jak bardzo absurdalna.

Czyż mogliśmy przewidzieć tyle rzeczy naraz? I w dodatku prawie w jednym miejscu i o jednym czasie? Któż z nas wiedział cokolwiek, na przykład, o bankructwie filharmonii? Któż z nas mógł przypuszczać, że tego akurat dnia kadłubowcy z SA dostaną wypowiedzenia? Któż z nas – powtarzam – przewidzieć mógł pojawienie się konnej platformy? Albo nadprodukcję ziemniaków? O klerykach, Rosjanach i legionistach już nawet nie wspomnę, wysoki sędzie, to przecież oczywiste, że takie przypadki, takie spiętrzenie spraw i okoliczności może nam ofiarować jedynie życie, cudowne, nieobliczalne życie, tylko ono. Żaden dramaturgiczny cwaniak, żaden iluzjonista, chytrus, spiskowiec, żaden kolega Szekspir nie byłby w stanie tego tak ułożyć.

Co mam na myśli? To, że wydarzenia tego popołudnia, wieczoru i nocy miały swoją własną, wewnętrzną logikę, dość zaskakującą – przyznaję, ale nikt z nas, tu oskarżonych, nie naciskał przecież tej sprężyny. Byliśmy jak na tratwie gnanej wichrem.

Ale do rzeczy. Tamtego dnia nie obchodziło i nie mogło obchodzić nas nic innego ponad to, co powie, co orzeknie Pełnomocnik. Jeśli pan Rektor miał nas wylać na bruk, no to trudno, wola boska i skrzypce, my jedynie żądaliśmy, aby to była redukcja zbiorowa, z hukiem, z błyskiem, w pełnym majestacie kryzysu, z przyzwoitym odszkodowaniem, a nie jakoś tak pojedynczo, kuchennymi drzwiami, cichcem, tędy, owędy, milczkiem, chyłkiem, jakbyśmy byli glistami, nie ludźmi. To, że nie poszedłem ze Zbyszkim i Michałem, kolegami moimi, do biura Pełnomocnika, to, wysoki sędzie, wyłącznie wina mojego charakteru. Przyznaję – ja nigdy nie potrafię ugryźć się w język. *Schlagfertig*, jak mówią wiedeńscy. A w takich sytuacjach jak tamta, gdy trzeba spokojnie rozmawiać z urzędnikiem państwowym, w takich sytuacjach nie jest to cecha ułatwiająca porozumienie. Zwłaszcza, wysoki sędzie, że ani pan Rektor, ani pan Pełnomocnik nie lubią żartów. Ich poczucie humoru określiłbym jako flegmatycznie angielskie.

Skąd to mniemanie? Oparte na doświadczeniu, wysoki sędzie. Dwa miesiące wcześniej mieliśmy przecież pierwszą audiencję i kiedy pan Rektor powiedział wówczas, że jako filozofowie nie musimy pracować na Akademii, bo możemy – na przykład – zająć się szewstwem,

kiedy to powiedział z uśmiechem, podkreślając, że filozofować może sobie każdy we własnym zakresie, oddając się jakiemuś pożytecznemu zajęciu, jakim jest – no właśnie – szycie butów, bo przecież do dzielenia włosa na czworo – tak powiedział – nie potrzebna jest wcale Akademia czy studenci, więc kiedy tak powiedział, wysoki sędzie, wstałem z krzesła jak oparzony, wyrwałem ze stojącej na parapecie doniczki patyk podtrzymujący filodendron i z tym patykiem przyklęknąłem przed panem Rektorem, ująłem jego prawy but i przykładając patyk do podeszwy ułamałem cienkie drewnienko, no, wtedy zrobiło się straszne zamieszanie.

„Co pan robi, co pan robi, czy pan oszalał?” – zapytał spokojnie pan Rektor.

A Pełnomocnik krzyczał:

„To niesłychane, to niesłychane, zaraz zadzwonię na psychiatrię, niech kogoś tu przyślą, zwariował nam asystent!”

I przy tych słowach, wysoki sędzie, Zbyszek i Michał, koledzy moi, również padli na kolana, bo chcieli mnie podnieść siłą, do gabinetu wbiegła sekretarka, teczka wypadła jej z rąk, ja wstałem, koledzy moi również wstali, no i pan Rektor również wstał, a ja popatrzyłem na ułamany patyk i powiedziałem: „Znakomicie, znakomicie, pan Rektor nosi buty sześć i pół, czyli trzydzieści siedem, więc bardzo proszę o zaliczkę na te buty, które uszyję panu Rektorowi, to będzie dla mnie zaszczyt, że właśnie pan będzie moim pierwszym klientem, nie odmówi mi pan chyba, prawda? W sam raz na jesienny sezon, z miękką cholewką à la Schopenhauer, choć z drugiej strony być może lepiej pasowałyby panu Rektorowi trzewiki à la Kierkegaard, no więc proszę się zdecydować, panie Rektorze” – powiedziałem — „jaki model obuwia pan wybiera, bo już od jutra będę panu szył buty, od jutra otwieram firmę ‘Szewska Pasja’ pod wezwaniem Stanisława, ale nie biskupa, tylko Ignacego Witkiewicza”.

Bielsze niżli alpejskie lodowce były twarze kolegów moich, Zbyszka i Michała, wysoki sędzie. Pełnomocnik trzymał już w dłoniach słuchawkę telefonu, ale Rektor spojrzął na mnie zupełnie spokojnie i powiedział:

„Obawiam się, młody człowieku, że niepotrzebnie zdjąłeś miarę z mej stopy, garnitury i buty kupuję zawsze gotowe, na obstalunki albowiem szkoda mi pieniędzy”.

No tak, to było dwa miesiące wcześniej i na następne spotkanie z Pełnomocnikiem, w tamten pamiętny dzień, koledzy moi, Zbyszek i Michał, postanowili iść sami, beze mnie. Jak zeznałem do protokołu, ustaliliśmy, że będę na nich czekał w piwiarni „Pod Kasztanami”.

Słucham? Nie, to w żaden sposób nie jest nasz lokal. Bywaliśmy tam rzadko, może raz do roku, na zakończenie sesji letniej, już po egzaminach, jednakże w porównaniu z barkiem pracowniczym, w którym odór cynaderek, flaków i bigosu przypomina atmosferę przytułków z powieści Dickensa, w porównaniu z tymi miazmatami taras piwiarni przedstawia się jako miejsce czyste i przestronne, w sam raz dla dżentelmenów.

A zatem: o godzinie jedenastej trzydzieści koledzy moi stawili się w biurze Pełnomocnika. Ja miałem ich oczekiwać „Pod Kasztanami” nieco później, około dwunastej piętnaście. Czterdzieści pięć minut to aż nadto na wyniszczenie argumentów, dyskusję i konkluzje, zwłaszcza gdy idzie o zwolnienia, wysoki sędzie. Wszyscyśmy byli punktualni, każdy na swoim stanowisku, wszyscy – oprócz pana Pełnomocnika. Pan Pełnomocnik spóźnił się godzinę, potem telefonował jeszcze, a gdy koledzy moi wkraczali do gabinetu, minęła dwunasta czterdzieści pięć. Pamiętam: dzień był pogodny, choć trochę wietrzny. Żłotawy, sierpniowy kurz unosił się nad trawnikami, w parku dokazywały wiewiórki, a tramwaje i samochody szumiały jak zawsze między lipami alei Zwycięstwa.

O czym wówczas myślałem? Żał mi było, wysoki sędzie, Akademii. Bo to my osieracaliśmy ją, nie ona nas. Tak, znany mi jest oczywiście pogląd pana Rektora na tę sprawę: na cóż studentom medycyny rzecz tak niepraktyczna, jak filozofia? Czy przy piłowaniu kości pomocna być może znajomość Platona, Arystotelesa albo subtelnych wątpliwości Kanta? Mój pogląd na tę sprawę jest zupełnie odmienny. Wiedza to nie tylko umiejętności praktyczne. To

przede wszystkim sofia, mądrość, znajomość ludzkiej duszy, tego co w niej plugawe i tego co najpiękniejsze.

Słucham? Ależ to właśnie należy do istoty sprawy, wysoki sędzie, to właśnie pytanie: kim ma być lekarz? Technikiem od wymiany szwankujących części? Tak można sądzić tylko wówczas, gdy zgodzimy się z tezą pana de la Mattrie, że człowiek jest maszyną, myślącą, rzecz jasna, ale tylko maszyną. To prawda – duszy nie sposób ujrzeć. Podobnie jak Boga. Czy oznacza to jednak, że jedno i drugie nie istnieje? Że jesteśmy kaprysem, żartem materii? Tworem przypadkowym? Ubocznym produktem ewolucji? Czy oznacza to, że oprócz wirujących atomów i przestrzeni, jaką one wypełniają, nie ma już nic, na czym myśl nasza mogłaby się zatrzymać i wesprzeć? Czy wysoki sąd zdaje sobie sprawę z wagi tego zagadnienia?

Tak, o tym właśnie myślałem na tarasie piwiarni „Pod Kasztanami”, wysoki sędzie, a także o tym, że Niemcy, kiedy zakładali tę szkołę, nazwali ją Akademię für Praktische Medizine – *praktische*, podkreślam – i było mi czegoś przykro, jakoś nieswojo, że pan Rektor i jego Pełnomocnik, kiedy tylko zaczęli reformy, kiedy tylko zaczęli to swoje przyspieszenie, nawiązali zaraz do tamtej tradycji, choć pewnie nieświadomie, bo nie przypuszczam, żeby zajmowali się historią medycyny praktycznej w niemieckim wykonaniu.

Tak zatem: o dwunastej trzydzieści zamówiłem piwo i już zaczynałem się denerwować, co z kolegami moimi, dlaczego nie nadchodzą, co ich tam zatrzymało, już zaczynałem się pograżać w pienistej fali pesymizmu, gdy nagle i niespodziewanie przysiadł się do mnie pan Mirek, emeryt, dawny suwnicowy. Ten człowiek, wysoki sędzie, ma kompletnego bzika na punkcie prezydentów i rozwoju browarnictwa. Ależ nie, wyrażał się z szacunkiem, ależ tak, z najwyższym szacunkiem i głęboką troską.

„Dlaczego” – pytał – „pan prezydent Vaclav Havel może przynajmniej raz w tygodniu opuścić Hradczany i udać się do Kalichów na kufel pienistego pilsnera, natomiast pan prezydent Lech Wałęsa nie może pojawić się przynajmniej raz w miesiącu ‘Pod Kasztanami’?”

Usiłowałem, na drodze dedukcyjnej, przekonać mego rozmówcę, że pan prezydent Vaclav Havel z zamku na Hradczanach ma do Kalichów parę kroków, natomiast pan prezydent Lech Wałęsa z Belwederu ma „Pod Kasztany” ponad trzysta kilometrów, ale pan Mirek w ogóle nie słuchał moich wywodów, tylko wspominał ze łzą w oku dawne dzieje, kiedy „Pod Kasztanami” nie było jeszcze żadnej piwiarni, żadnych stolików, tarasu i tak dalej, a jedynie zielona, zbита z desek buda, gdzie królowała pani Maria, bóstwo stoczniowców o blond włosach i obfitych piersiach.

„Mój Boże, mój Boże” – powtarzał pan Mirek – „ona była jak matka, jak jakaś bogini, no, gdyby pan Vaclav Havel przychodził wtedy tutaj, na pewno zakochałby się w pani Marii i wówczas literatura czeska poniosłaby dotkliwą stratę, bo zamiast pisać dramaty polityczne, pan Havel, jak to poeta, wzdychałby i układał sonety, no, a kto dzisiaj” – pytał mój rozmówca – „kto w dzisiejszych czasach traktowałby poważnie autora sonetów do barmanki z zielonej budy, choćby to były sonety najpiękniejsze?”

No tak, ale pan Vaclav Havel nie przychodził wówczas „Pod Kasztany”, bywał tu wtedy nasz elektryk ze swoimi kolegami, nie, nigdy nie nadużywał, podchodził do okienka tylko raz i mówił do pani Marii:

„Jedno proszem!”

A ona uśmiechała się do niego w ten sposób, że jego koledzy wychodzili z siebie, pękali z zazdrości i pytali:

„Co ona w tobie widzi, Lechu?”

Na co zwykł odpowiadać:

„Moje przeznaczenie!”

Potem siadali na trawie pod drzewami, bo przecież wtedy był to zwyczajny park, gdzieś niegdzie jeszcze tylko ze śladami niemieckiego cmentarza, siadali więc i gadali, a nasz elek-

tryk wtrącał się raczej rzadko, powtarzając, że socjalizm to wcale nie jest zła rzecz, żeby tylko ludzie mogli zarobić, mieli gdzie mieszkać i nie musieli kraść.

„No więc dlaczego” – pytał pan Mirek – „pan prezydent Lech Wałęsa nigdy nie zajrzy ‘Pod Kasztany’, żeby przypomnieć sobie uśmiech pani Marii, żeby przypomnieć sobie wszystko to, co czas, ten podstępny złodziej, zabiera nam bezpowrotnie?”

Otóż to, wysoki sędzie, świadek, przepraszam, znów zapomniałem jego nazwisko, o tak, dziękuję, otóż świadek oskarżenia zeznał: „Lżyli głowę państwa”.

No, przecież to są podłe insynuacje! Pan Mirek, emerytowany suwnicowy, roztaczał tylko przede mną niesłychanie świetliste perspektywy.

„Bo gdyby” – mówił – „pan prezydent przynajmniej raz w miesiącu spotkał się z prostymi ludźmi ‘Pod Kasztanami’, gdyby telewizja pokazała go, jak rozmawia z nimi przy kuflu heliusza, skończyłyby się nasze kłopoty ekonomiczne”.

Jakim cudem? Natychmiast wzrosłoby spożycie piwa, browary zarabiałoby biliony i te biliony to byłby najwspanialszy, szumiący strumień pożyczek inwestycyjnych, niskoprocentowych, dla innych gałęzi przemysłu, spadłoby bezrobocie, drgnęła koniunktura i nasz rząd, po niespełna roku, miałby kieszenie wypchane pieniędzmi, i to nie tymi, które pachną świeżą farbą drukarską, ale zarobionymi w pocie czoła, najpierw przez piwowarów, potem przez inne gałęzie naszej gospodarki.

„A stopa dyskontowa? A kredyt finansowy?” – zapytałem. – „Jak by pan to widział? Jak by pan to ustawił? No i jeszcze” – nie dawałem za wygraną – „co by na to wszystko powiedział ksiądz prymas, jak by ocenił tę drogę do dobrobytu przez błyskawiczny rozwój browarnictwa krajowego?”

Tu, wysoki sędzie, wątek został przerwany, bynajmniej nie przez niechęć do rozmowy o księdzu prymasie, ale przez pojawienie się kadłubowców z SA.

Jak co dzień opuścili stocznię przez drugą bramę, jak co dzień przeszli przez kładkę nad torami kolejowymi i jak co dzień wielu z nich ruszyło pod ocieniony kasztanami taras piwiarni. A jednak – sytuacja była niecodzienna. Po pierwsze, nadchodzili znacznie wcześniej niż przed zakończeniem pierwszej zmiany. Po drugie, byli wzburzeni, pokrzykiwali jeden przez drugiego i gestykulowali, a ich błękitne, dzinsowe bluzy poruszały się wśród migotających płam słońca szybciej niż zwykle.

„Ohoho!” – powiedział pan Mirek. – „Zdaje się, będziemy mieli strajk!”

Ale, wysoki sędzie, żadnego strajku nie proklamowano. Bo skoro tylko zasiedli przy stolikach i zabręczało szkło, przekleństwa, prędkie jak błyskawice, zaczęły trzeszczeć w powietrzu jedno za drugim, niczym narastająca fala.

„Nie po to” – krzyczeli – „nadstawialiśmy dupy przez ostatnie dziesięć lat, żeby teraz lądować na bruku! Nie po to płaciliśmy składki, żeby teraz iść na zasiłek!”

„A gówno z tym przyspieszeniem!” – wołali jeszcze inni. – „Trzeba iść na Belweder, niech no się Lechu tłumaczy!”

To tylko niektóre z haseł, wysoki sędzie, że tak powiem najmniej kontrowersyjnie, o innych, jak się domyślam, poinformował już w śledztwie świadek oskarżenia, przepraszam, znów nie zapamiętałem jego nazwiska, o tak, dziękuję.

Zaś co do *Międzynarodówki!* To prawda, wykonano tę pieśń, ale nie w trakcie przejazdu przez miasto — „rozrzucając ulotki wzywające do obalenia rządu”, jak kłamliwie zeznawał świadek – lecz właśnie tam, na tarasie ocienionym liśćmi kasztanów. Chór i orkiestra? Ależ to było znacznie później. *Międzynarodówkę* zaintonowali błękitnobluzi kadłubowcy z SA, jeden jedyny raz, zanim pojawili się koledzy moi, Zbyszek i Michał, zanim przyszli muzycy z filharmonii i zanim przyjechała ta konna platforma, która tyle narobiła zamieszania. Jak to było? Ilu z nich intonowało? Zaczęło się dość zwyczajnie. W pewnym momencie jeden z robotników wskoczył na blat stolika i uciszając pozostałych krzyczał, że ma już tego dość, że dawniej ludzie bali się ubecji i czerwonych, a teraz jeszcze bardziej boją się zwolnień.

„I jeszcze” – krzyczał – „ten cholerny związek wcale nas nie broni i dlatego jest taki burdel, i afery, i w ogóle!”.

„Tak, tak!” – krzyczano dookoła. – „Znowu nas okradają, i to jeszcze więcej niż przedtem!”

No i wtedy właśnie, wysoki sędzie, ten młody robotnik wyjął z kieszeni zadrukowaną kartkę papieru i zawołał:

„Wiecie, co to jest?!”

Na co odpowiedziano mu:

„Wiemy, wiemy, mamy takie same wypowiedzenia!”

Więc wtedy wykonał tą kartką o taki gest, żeby pokazać, gdzie on to wszystko ma, a następnie powoli i systematycznie darł to swoje wypowiedzenie i puszczał drobiny papieru w powietrze, a wiatr unosił je wyżej, coraz wyżej, ponad trawniki, ponad korony drzew i rozrzucał to po całym parku, no więc właśnie wtedy inni poszli za jego przykładem, wskakiwali na stoliki albo na krzesła, darli w strzępy swoje wypowiedzenia i ktoś, nie wiem kto, zaintonował *Międzynarodówkę*, z początku cicho, potem coraz głośniej i reszta ludzi to podjęła, najpierw tak niby żartem, dla zgrywy, ale już coraz głośniej, coraz bardziej serio, a ja, wysoki sędzie, stałem, stałem i patrzyłem na to wzruszony, bo przecież te wirujące płatki papieru, które wiatr roznosił daleko poza park, na dachy domów, kościelne wieże, jezdnie i chodniki, te wirujące w powietrzu strzępy wypowiedzeń i ta melodia śpiewana przez kadłubowców z SA, do niedawna jeszcze nazywanych Drużyna Lenina, ta chwila była, wysoki sędzie, niczym huk zatraskiwanych drzwi, niczym epicka *coda*, która zamyka epokę właśnie umarłą, a otwiera nową.

Co było dalej?

„Niepotrzebni mogą odejść” – powiedział Zbyszek przysiadając się do stolika.

„A to twoja przepustka do wolności” – dodał Michał wręczając mi wypowiedzenie. – „My mamy takie same!”

„Zbiorowo?!” – zawołałem z entuzjazmem i radością. – „A więc z hukiem, z odszkodowaniem, w pełnym blasku?!”

„A gdzież tam” – Michał machnął ręką i zamówił piwo. – „Zbiorowo to możemy się upić, potem powiesić, a następnie założyć spółkę bez żadnej odpowiedzialności”.

Tak więc, wysoki sędzie, wszystko było jasne. Paragraf dwadzieścia dwa, szczególnie perfidny i zjadliwy, paragraf nie do podważenia, paragraf—ludojad, czyli redukcje indywidualne w trybie powszechnego przyspieszenia! Cóż mieliśmy robić? Spokojnie piliśmy piwo, wymieniając informacje. Jakie to były informacje? Och, nic szczególnego. Na przykład, że pewna wdowa z Gdyni założyła świetnie prosperujący gabinet objaśniania snów, w którym nie zamykają się drzwi, w którym codziennie bywa kilkunastu miliardów, polityków i biznesmenów. Albo że pewien nasz daleki znajomy, fizyk, który nie mógł wyżyć z uniwersyteckiej pensji, opracował naukowo system gry w ruletkę i rano zjawiał się w kasynie gdańskim, popołudnie spędzał w domu gry w Sopocie, a wieczorem udawał się do jaskini hazardu w Gdyni i zawsze wygrywał, nigdy – *per saldo* – wysoki sędzie, nie pozostawił w kasynie ani grosza, więc właściciele tych przybytków wyznaczyli mu stałą, potrójną pensję, coś około dwudziestu czterech milionów miesięcznie, żeby tylko nie zjawiał się u nich i nie doprowadzał ich do ruiny, i teraz nasz fizyk żyje sobie jak profesor Harvardu, nie chodzi już nawet na uniwersytet, tylko przechadza się nad morzem, rozmyślając o jednolitej teorii pola. Tak, to cudowne rozmawiać przy kuflu piwa o tych, którym się powiodło, o prawdziwych ludziach sukcesu, przyjemne, ale i niebezpieczne, jeśli w kieszeni twojej marynarki spoczywa wypowiedzenie, jeśli wisi nad tobą paragraf dwadzieścia dwa, a zwłaszcza jeśli ty sam nie jesteś wdową z gabinetem objaśniania snów ani fizykiem grającym w ruletkę. I dlatego, wysoki sędzie, zmieniliśmy temat rozmowy na mniej dolegliwy, wracając do krainy pamiątek.

„A pamiętacie” – wzruszył się Zbyszek – „w osiemdziesiątym drugim, jak wpada do naszego pokoju szef studium wojskowego, pułkownik Gdybaś, i wrzeszczy: ‘Wszystkich was rozstrzelam, skurwysyny! Kto wam pozwolił zapraszać na odczyt tego tam, Arystotelesa? I o czym to ma być? O filozofii państwa? Państwo to ja —powiedział pułkownik – a tego tam, Arystotelesa, to my już załatwimy’ „

„A pamiętacie” – wzruszył się Michał – „tego tajniaka, który przychodził na wykłady, wszystko notował, aż któregoś razu nie wytrzymał, wstaje i mówi: ‘Jaka tam, nieprawdaż, metafizyka? Jak byłem chłopcem, nieprawdaż, poszedłem na cmentarz i żadnych, nieprawdaż, duchów nie widziałem!’ „

„A pamiętacie” – wzruszyłem się z kolei ja sam” – „pamiętacie tę rakietę, która wybiła okno w audytorium, przefrunęła przez całą salę z potwornym sykiem i łup, wbiła się w drzwiczki starej szafy? Czy pamiętacie, jak wtedy Zbyszek podbiegł do nich, otworzył je, bo zaczynało się już palić, no, i kiedy deptał to cuchnące świństwo, to z tej szafy, nie otwieranej od dziesiątków lat, z tej szafy wypadł na niego rozsypujący się na części model kościotrupa? Czy pamiętacie, jak śmiałyśmy się potem, że zomowiec, który wystrzelił tę rakietę, musiał chyba uwielbiać czeskie komedie filmowe?”

Czy było nam smutno? Ależ nie. I pewnie, wysoki sędzie, po tych wspominkach wypilibyśmy strzemiennego, ruszając do domów, gdyby nie to, że muzycy z filharmonii pojawili się „Pod Kasztanami” nagle i niespodziewanie, równie nagle rozłożyli swoje instrumenty i równie niespodziewanie zaczęli grać Mozarta. Co to był za utwór? No, oczywiście, tam, tam tam, tam tam tam tam tam tam, więc z początku myśleliśmy, że to jakaś próba do filmowej sceny, że zaraz pojawią się kamera, światła, reżyser i jego asystentki, że to będzie film, na przykład, *Wolfgang Amadeusz Pod Kasztanami*, lecz muzyków przybywało z minuty na minutę, melodia potężniała, kadłubowcy z SA otoczyli ich kołem, coraz to nowe instrumenty włączały się do gry, a ekipy filmowej jakoś nie było widać, no i kiedy muzyka się skończyła, autowiolista Fox —tak się przedstawił publiczności – otóż autowiolista Fox poinformował, że właśnie przed pół godziną filharmonia zbankrutowała, że ma pełną, ale to pełną pustkę w kasie, a ponieważ Zarząd Miasta również zbankrutował i również ma pustą kasę, oni, to znaczy muzycy, postanowili nie poddawać się pesymizmowi, tylko grać, codziennie w innym punkcie miasta.

Wysoki sędzie, cóż to był za koncert! Spełniali każde życzenie słuchaczy! *Pierwsza Brygada?* Bardzo prosimy. *Marsz, marsz Polonia?* Ależ oczywiście! *Polka Galopka?* Jak najbardziej. *Melodia z Czterech pancernych?* Obligatoryjnie! *Stawka większa niż życie?* Na każde żądanie. *O sole mio?* Służę uprzejmie! *Pierwsze i drugie skrzypce!* Trąbki! *Oboje!* Flet! *Wiolonczele i kontrabasy!* Nawet perkusja była, i jeśli brakowało jakiegoś instrumentu, to chyba tylko fortepianu albo organów. Promienie słońca lśniły na złotych i srebrnych blachach. Kelnerzy nie nadążali z roznoszeniem kufli. Piana nie nadążała z osiadaniem na dnie. Złoty sierpniowy kurz unosił się nad trawnikami, gdzieś w oddali szumiały tramwaje i pociągi, a tu bliżej, na tarasie piwiarni „Pod Kasztanami”, szumiały banknoty, przekazywane z ręki jednych bezrobotnych do kieszeni innych bezrobotnych, i chociaż nie było z nami pana prezydenta Vaclava Havla, który pewnie w tym czasie pisał swój nowy dramat na Hradczanach, ani pana prezydenta Lecha Wałęsy, który swój dramat przeżywał w Belwederze, byliśmy szczęśliwi, wysoki sędzie, i nie potrafię wyjaśnić, dlaczego właściwie, w każdym razie oparowała nas jakaś chwilowa niefrasobliwość, jakaś cudowna lekkość istnienia i może miało to związek z Mozartem, którego ponownie zaczęto grać na moje zamówienie, ale trwało to tym razem niedługo, bo po kilku taktach w dźwięk instrumentów wdarł się ostry, przenikliwy głos: „Kartofleeee! Kartofleeee!”

Tak, wysoki sędzie, aleją parku, od strony Bramy Oliwskiej, nadjeżdżała platforma konna, zaprzężona w dwa perszerony.

„Kartofleeee! Kartofleeee!” – powtarzał śpiewnie woźnica.

Ale nikt nie chciał kupować, nawet po niższej cenie.

Jaki związek miały ziemniaki z bankrutem filharmonii? Żadnego! Z wypowiedzeniem kadłubowców? Żadnego! Z nami? Również żadnego.

Tymczasem świadek oskarżenia zeznał:

„O wyznaczonej godzinie, gdy wszystkie elementy były już na miejscu, przybył umówiony woźnica”.

Czy ze strony świadka, przepraszam, znów nie dosłyszałem nazwiska, o tak, dziękuję, no więc czy nie jest to ze strony świadka zbyt dużo precyzji? Jakiejś heglowskiej zgagi, która pali sumienie świadka nie od dzisiaj? To był czysty przypadek, wysoki sędzie, czysty przypadek, że tego akurat dnia chłopci zjechali przed Urząd Wojewódzki, no i trach! – wysypywali na ulicę kostki masła, plum! – ciskali gomułami sera, łup! – workami kartofli, a potem połciami szynki, połędwicy i słoniny.

„Eee tam” – powiedział woźnica łyknąwszy piwa – „do diabła z taką protestacją!”

„Policja?” – zapytał chór muzyków i kadłubowców z SA, wzmocniony o nasze trzy głosy. – „Rozpędziła was policja? Bardzo was bili, gospodarzu? Pokażcie no wasze plecy!”

„Eee tam” – powiedział wąsaty Bartosz – „żeby chociaż policja! Ale to Ruskie, Ruskie popsuły nam protestację!”

„Ruskie? Jakie znów Ruskie, gdzie znowu Ruskie” – zapytał chór muzyków i kadłubowców z SA, wzmocniony o nasze trzy głosy. – „Czyż nie wycofali się ostatecznie?”

„Ee taam” – powiedział wąsaty Bartosz, znowu łyknąwszy piwa. – „Jedne to się wycofują, ale na ich miejsce przychodzą insze, liczniejsze, tyle że nie w mundurze, ino po cywilu”.

„Mafia! Mafią! Mafii!” – wyszeptał chór muzyków i kadłubowców z SA, wzmocniony o nasze trzy głosy. – „Dziś kontrolują targowiska, samochodowe giełdy, graniczne przejścia, a jutro co kontrolować będą, jutro co?”

To pytanie, wysoki sędzie, zadane szeptem i nie bez obawy w dyskretnym szumie kasztanowych liści, to pytanie pozostało jednak bez odpowiedzi.

„Eee tam” – powiedział wąsaty Bartosz. – „Żeby to chociaż była mafia jaka, tobyśwa pogнали ich pod Raclawice, ale to chudziny były, tłum z bazaru jak ćma jaka przyleciał i nas oblaźł, i co my na ulicę rzucimy poleć słoniny, to oni w krzyk: *Hospody pomyłuj, Hospody pomyłuj*, i w okamgnieniu go porywają, *dawajcie, dawajcie, co gruchniemy gomułą sera o bruk, to znika w ich rękach, jeszcze, jeszcze brasajcie*” – opowiadał wąsaty Bartosz.

I tak oto, wysoki sędzie, dowiedzieliśmy się, dlaczego nie wyszła chłopom demonstracja, w której chodziło o cła zaporowe i gwarantowane ceny, nie udała się, bo Rosjanie z pobliskiego targowiska całą tę barykadę z żywności, całą tę niesłychaną furę furazu z furią o bruk ciskaną, która zatrzymać miała ruch, w dwie minuty rozebrali. Nasz woźnica nie zdążył nawet wyrzucić połowy swoich worków z ziemniakami i taka go złość wzięła na rodaków Fiodora Michajłowicza Dostojewskiego, że zaciął konie i ruszył prędko przed siebie, zwalniając dopiero „Pod Kasztanami”, gdzie usiadł przy nas i przepłukiwał gardło.

„Tak to, tak to” – powiedział autowiolista Fox. – „Wszyscy teraz jedziemy na jednym wozie!”

Czy była to jakaś wyrazista aluzja? Preludium tego, co miało się za chwilę stać? Nie sędzę. Szczerze wątpię.

„Zostaliśmy w skarpetkach” – kontynuował muzyk. – „I nie wiadomo właściwie, kto nam szyje buty!”

„Wiadomo, wiadomo!” – zakrzyknęli kadłubowcy z SA.

Lecz, wysoki sędzie, nie słuchałem dalszej wymiany zdań, prędkiej, gorącej i namiętnej, nie słuchałem, bo kiedy tylko autowiolista Fox wspomniał o tych butach, przypomniałem sobie raz jeszcze rozmowę z panem Rektorem i ten patyczek od filodendrona ułamany na miarę jego stopy, przypomniałem sobie wszystko, co przez ostatni rok wygadywano o nas, inteligencji, że jest skończona, skrachowana, że już nikomu niepotrzebna, bo nie wie, co to

biznes, bo nie umie się znaleźć w nowej sytuacji historycznej, bo trzeba by ją przełożyć przez kolano, więc przypomniałem sobie to wszystko i poczułem głęboki smutek, wysoki sędzie, nie, nie z powodu bezrobocia – to jest przecież sprawa chwilowa, ale z powodu, by tak rzec, ogólnego klimatu w państwie duńskim.

Świadek oskarżenia, przepraszam, nie dosłyszałem jego nazwiska, o tak, dziękuję, więc świadek oskarżenia zeznał o tej chwili, co następuje:

„Niejaki Heller, nauczyciel filozofii, wtrącił się nagle do dyskusji, waląc kuflem o blat stolika i krzycząc: ‘A gównu tam, niech żyje nieśmiertelna myśl Lenina!’ ”

No, wysoki sędzie, to już nie jest przeinaczanie faktów, to nie jest zwyczajne kłamstwo, to jest po prostu prowokacyjna potwarz!!! Owszem, słowo „Lenin” i słowo „gówno” padły w mojej wypowiedzi, prawdą jest również, że uderzyłem kuflem w blat stolika, ale brzmiało to zupełnie inaczej! Kiedy jeden z kadłubowców z SA zaczął krzyczeć, że wszystkie te nie-szczęścia gospodarcze zawinione są przez jajogłowych, przez pieprzonych profesorków, doktorków i tak dalej, i że należałoby oczyścić wreszcie nasz kraj z tego elementu, no, wtedy nie wytrzymałem i huknąwszy kuflem w blat, powiedziałem mu, że to, co głosi, to czystej wody gówniany leninizm, którego idee żyją niestety po dziś dzień, skoro chirurg nie może zarobić więcej od zwykłego blacharza, a nauczyciel od policjanta. Natychmiast rwał się do bitki, koledzy kadłubowcy powstrzymali go, lecz dopiero kiedy Zbyszek powiedział mu delikatnie, ile zarabia nauczyciel szkoły średniej, a Michał dodał – mimochodem – ile na przykład adiunkt w zakładzie fizjologii, dopiero wówczas zaczął kręcić głową, nie chciał wierzyć, chwycił się za włosy i powtarzał:

„Kurna, niemożliwe, no niemożliwe, kurna”.

A potem rozczulił się nad nami i dalejże zdzierać z siebie dzinsową bluzę, dalejże wyciągać z kieszeni banknoty, mówiąc:

„Chłopaki, bierzcie, to wszystko dla was, bierzcie, jak Boga kocham, szczerzy przecież jestem, kurna, ja myślałem o tych profesorach i doktorach z urzędu, nie o was, chłopaki, no, bierzcie, co, nie chcecie wziąć od robotnika, kurna, od prostego robotnika?”

Pogodziliśmy się z nim, choć trwało to kilka minut.

Bluzę ostatecznie zatrzymał dla siebie.

Co było dalej? Braterstwo, wysoki sędzie, jak w czasie wiosny ludów albo w praskiej piwiarni, gdzie poeta Kohout pijał z mielarzem Vančulikiem, a profesor Polaček z grabarzem Stilbergiem, La Primavera, prawdziwe święto demokracji, chociaż nie było z nami prezydenta Vaclava Havla, który raz w tygodniu chodzi do Kalichów, ani naszego prezydenta, który dawno temu był „Pod Kasztanami”.

Doprawdy, nie jest mi wiadome, wysoki sędzie, kto wpadł na pomysł przejażdżki platformą konną. Obawiam się, wysoki sędzie, że nie można tego ustalić indukcyjnie, dedukcyjnie, celowo ani też przyczynowo. Już bardziej pasowałaby tutaj teoria przypadku, a skoro tak, trudno rozprawiać o motywach czy jakichkolwiek zamierzonych efektach. Część muzyków poszła już do domów. Niektórzy kadłubowcy również. Zamierzaliśmy uczynić to samo, gdy nagle ujrzeliśmy autowiolistę Foxa i paru jego kolegów, jak drapali się na platformę, aby zagrać nowy kawałek. Chodziło im o akustykę, bo na tarasie ludzi z miasta było coraz więcej, a ciężko grać w takiej ciżbie.

Słucham? Tak, saksofon altowy, trąbka, kontrabas, rożek, nawet niewielki bęben. Nie, banjo nie przypominam sobie. W każdym razie, kiedy zagrali pierwszy takt, ciarki przeleciały po krzyżach, wysoki sędzie. To był New Orlean, smutny kolor indygo, gorący podmuch południa, to była poezja smutku i namiętności, to był prawdziwy jazz, wysoki sędzie. Jakby nowy duch wstąpił w ludzi. Podchodzili do platformy, no i ten luz, ta improwizacja, ta cudowna swoboda, z jaką każdy wybijał rytm, czym tam mógł, no a oni podkrećcali tempo, synkopa, synkopa, oni sypali ósemki, szesnastki, trzydziestki dwójki, istne szaleństwo, śpiewy, krzyki, sam nie wiem, jak to się stało, wysoki sędzie, że wskoczyliśmy na tę platformę, a za nami



paru jeszcze muzyków i kadłubowców z SA, sam nie wiem, dlaczego woźnica wskoczył na kozioł i zaciął konie, sam chciałbym wiedzieć, kto pożyczył mi czy też raczej wręczył instrument, w każdym razie ruszyliśmy aleją parku nie przestając grać, a potem wyjechaliśmy na aleję Zwycięstwa, no i tak to się zaczęło. Klaksony! Brawa! Owacje! Nie, nikogo to nie irytowało, kierowcy pozdrawiali nas serdecznie, a ludzie z przystanków tramwajowych kiwali do nas dłońmi. Policjant, ten obok konsulatu niemieckiego, kiedy huknęliśmy *Preussen Gloria*, aby pozdrowić panią konsul, policjant sprężył nam zsalutował, a gdy zatrzymaliśmy się we Wrzeszczu przed hotelem „Morskim”, z balkonu którego pan Przewodniczący Związku ogłaszał niegdyś pogotowie bydgoskie, kiedy zagraliśmy *Święci maszerują*, zebrany tłum wiwatował, jakbyśmy mieli ogłosić coś znacznie bardziej podniecającego niż strajk generalny.

Aa, transparenty. No tak, transparenty. Świadek oskarżenia, przepraszam, ale znów uleciało mi z pamięci jego nazwisko, o tak, dziękuję, tak zatem świadek mówił o trzech. Stanowczo zaprzeczam. Bo transparenty były tylko dwa, ten z przodu platformy – „Jestem za, a nawet przeciw” i ten z tyłu – „Nie chcem, ale muszem”. Tak, jeszcze raz stanowczo zaprzeczam, żadnego trzeciego transparentu z napisem „Precz z preczem!”, żadnego takiego hasła nie było. To są pokrętne konfabulacje świadka, wysoki sędzie, tak. Skąd wzięły się te transparenty? Naprawdę, nie wiem skąd. Zakłócenie ruchu ulicznego? No tak, parę samochodów musiało istotnie przyhamować, gdy zmienialiśmy pasmo, ale żadnej stłuczki przecież nie stwierdzono.

Co było dalej? Jeden z muzyków zapytał:

„Panowie, co robić z tak mile rozpoczętym dniem?” No cóż, wysoki sędzie, bezrobotni nie muszą wstawać do pracy następnego dnia. Zaopatrzywszy się w niezbędne prowianty i napoje w sklepie przy Chełmońskiego, ruszyliśmy – już wolniej i bez muzyki – ulicą Abrahama, aż do Doliny księcia Sambora, tam gdzie zaczyna się las.

Czy mieliśmy jakieś plany? No tak, usiąść na trawie, rozpalic ognisko, wypić piwo, zagrać jakiś kawałek, pośpiewać, a potem popatrzeć w gwiazdy. To był nasz cały plan: majówka w połowie sierpnia, wysoki sędzie, chwila wytchnienia na łonie natury, ofiarowana nam przez los.

Klerycy? Mój Boże, któż mógł się tego spodziewać! Zobaczyliśmy ich mniej więcej w połowie doliny, po przeciwległej stronie. Szli, a raczej maszerowali w dwóch równych kolumnach i śpiewali do akompaniamentu gitary: „Więc ruszaj, ruszaj tam, gdzie Ziemię Obiecaną daje ci Pan!”. Ładne to było: soczysta zieleń traw, długie, coraz dłuższe cienie popołudnia, cykanie świerszczy, czerń przesuwających się czworoboków, no i ta Ziemia Obiecana, o której śpiewali. My rozłożyliśmy się w cieniu dębów, dobrych sto metrów od nich. Powiedzmy, pół godziny zajęło nam zbieranie gałęzi i przygotowanie miejsca na ognisko. Nie, ależ nie, nie zwracali na nas w ogóle uwagi ani my na nich. Dziwiło nas tylko trochę, że co przemaszera sto metrów, po równej jak stół łące, przeformowują kolumnę, robią w tył zwrot i wracają, śpiewając przy brzęku gitar: „Podaj rękę swemu bratu, niechaj nikt nie czuje się sam” albo: „Na pomoc, na ratunek człowiekowi, ktoś woła SOS”.

„Pewnie przygotowują się do festiwalu” – powiedział pan Janek, kadłubowiec z SA. – „Moja córka przerabia to co roku”.

„Do festiwalu w Sopocie?” – zdziwił się autowiolista Fox.

A wtedy pan Janek wyjaśnił, że co roku odbywa się młodzieżowy festiwal sacro—songu, no i ci tutaj klerycy trenują pewnie jakąś scenę zbiorową, coś w rodzaju wielkiego finału, jak w Opolu albo w Kołobrzegu. Nie, nic to nam nie przeszkadzało, choć przyznam, że słowa niektórych pieśni i głosy kleryków były tak słodkie, iż nie konweniowały z goryczą naszej egzystencjalnej sytuacji. Co mam na myśli? Na przykład, kiedy rozpaliliśmy ognisko, jakieś pół godziny przed zmierzchem, a klerycy utworzyli na łące wielki krąg i trzymając się za dłonie zaśpiewali: „Płoną ogniska w świecie, o, ludzie, czy już wiecie, że wam miłość zmieni

oblicze tej Ziemi?”, kiedy tak zaśpiewali, pomyślałem, że miłość, owszem, jest rzeczą dobrą i szlachetną, lecz co do zmiany oblicza tej Ziemi, nie byłbym wcale takim optymistą, nie jeden chciał je zmienić, a wychodziły z tego rzeczy najdalsze od miłości. Co mam na myśli? Goethego, wysoki sędzie, Goethego. Jeśli ze zła może się rodzić dobro, czego dowodzi doktor Faust, to możliwe jest również odwrócenie tej zależności: zło może powstać wówczas, gdy dawka aplikowanego dobra jest zbyt duża. Mówi o tym Arystoteles w *Etyce*, wysoki sędzie, a także w zaginionym, drugim liście do Macedończyków.

Tak, dobrze, wracam do sprawy. Co było dalej? Ogień trzaskał wesoło, kielbaski skwierczały na patykach, a my gawędziliśmy popijając leniwie. Instrumenty były odłożone, tak, czekaliśmy na odmarsz kleryków, nie chcąc im przeszkadzać. Aż tu nagle, ze środka tego wielkiego kręgu czarnych sutann, unosi się w powietrze balon, tak, balon w kształcie sterowca, taki pomniejszony Zeppelin, podłużne cygareto wypełnione gazem, unosi się, zawisa w powietrzu nad łąką i ku naszemu zdumieniu klerycy znów ustawiają się w kolumny, znów ćwiczą marsz ze śpiewem, tyle że teraz prowadzą tę maskotkę na dwóch linach. Ćwiczyli ten manewr parokrotnie, dzięki czemu odczytaliśmy na jednej burcie napis „Pro Life”, a na drugiej – „Sierpień miesiącem poczętego życia”.

No i zaczęło się, wysoki sędzie, jak w sądny dzień na forum Zgromadzenia Narodowego. Muzycy natychmiast się podzielili. Za nimi kadłubowcy z SA. Także i my, wysoki sędzie, dalecy byliśmy od jednomyślności. Koncepcja zderzała się z antykoncepcją. Wstrzeźliwość z pogańskim wyuzdaniem. Miłosierdzie z bezlitosną zapalczywością. Zupełnie tak, jakby pod dębami walczył święty Paweł z Dionizosem, a święty Augustyn egzorcyzmował Priapa, pomniejszego bożka, któremu zza drzew sekundowali Nietzsche z doktorem Freudem. Mój Boże, ileż gniewnych słów przefrunęło nad doliną i nad głowami kleryków. Tylko nasz woźnica, Bartosz, leżał w trawie, spoglądał w niebo i wzdychał:

„Eee tam, panowie, i tak wszyscyśmy potępieni, wiem, bo to mój proboszcz co niedziela mówi”.

Dyskusja przerodziła się w kłótnię, kłótnia w awanturę.

„Chodźcie – powiedziałem do kolegów moich, Zbyszka i Michała – to sensu przecież nie ma, mieliśmy grać i śpiewać, mieliśmy się weselić, a skaczemy sobie do gardeł jak kundelki, a może nawet owczarki!”

I pewnie, wysoki sędzie, opuścilibyśmy roznamiętnioną kompanię bezrobotnych, gdyby nie to, że w ostatniej chwili, zza drzew, wyszło ku nam siedmiu młodzieńców jednako ubranych, jednako gniewnie spoglądających, choć na szczęście niejednako uzbrojonych. Najmocniej przyszczytany wystąpił przed szereg i mówi:

„W imieniu Konfederacji Polski Nieskalanej wzywam panów do: jeden – natychmiastowego ugaszenia ognia; dwa – natychmiastowego zaprzestania wrzasków, trzy – natychmiastowego rozejścia się do domów. Jesteście tu panowie nielegalnie!!!”

Zabrakło nam języka w gębie, wysoki sędzie. O, te ich krótkie spodenki, o, te ich kolana obnażone, o, te ich równo przystrzyżone grzywki i podgolone karki, o, te ich spojrzenia gniewne i niewinne, którymi obrzucali z taką pogardą transparenty na platformie i nas samych, o, wszystko to wyglądało niesamowicie, wysoki sędzie!

„Posłuchajcie mnie” – powiedział wstając autowiolista Fox.

„My—nikogo—nie—słuchamy!” – przerwali mu chórem młodzieńcy. – „Nikogo—oprócz—naszego—drogiego—wodza—cześć! Cześć! Cześć!”

O, jakaż to była mowa i konwencja jaka, wysoki sędzie, autowiolista Fox natychmiast ją wyczuł, wziął się pod boki i mówi niczym nasz regimentarz koronny:

„Stoimy przecież we własnym kraju i nie czynimy żadnych *hostilitates* wolnym jego obywatelom. Idźcie, panowie harcerze, do domu, na herbatę albo i na kubek gorącego mleka, bardzo proszę”.

„My—nie—jesteśmy—żadni—tam—harcerze!” – zapał falsetem pryszczaty. – „Jesteśmy—legionistami—naszego—ukochanego—wodza!”

„Cześć! Cześć! Cześć!” – powtórzył wierny oddział.

„A cóż nas to obchodzi?” – Zbyszek wstał i wtrącił się do rozmowy. – „Wasz wódz nie jest dla nas żadną władzą!”

„Właśnie” – stanąłem obok Zbyszka i autowiolisty Foxa. – „To wy, jak się zdaje, jesteście tu nielegalnie! A mamy wasze wiedzę, chłopaki? A ojcowie wasi? A pozwolenie na broń? Macie pozwolenie? Ten pan” – wskazałem na Michała – „kolega nasz, jest prokuratorem, więc radzę wam uważać, chłopcy!”

„Nie uznajemy—żadnej—tam prokuratury” – odszczeknął pryszczaty legionista. – „Zajęliśmy ten teren—na ćwiczenia—strzeleckie—a przy okazji—zabezpieczamy przygotowania—do—jutrzejszej demonstracji”.

„Demonstracji?!” – zapytaliśmy zgodnym chórem. – „Jakiej znowu demonstracji?”

„W obronie praw—narodu—do życia—z udziałem tysięcy—rodzin! Panowie są—nie—uświadomieni—etycznie—i—narodowo—to—widać” – spojrzał na nas z obrzydzeniem i pogardą – „ale—to się—wkrótce—w naszym kraju—zmieni—oj zmieni—wszystko się zmieni—i odrodzi! Zwalczymy ducha pasywizmu—abnegacji—dekadencji i—zachodniej —pornografii—już my—wyedukujemy naród, a kiedy—nasz ukochany wódz—zostanie przyzden...”

„Ty, mały! Spylaj, ale to już!” – nie wytrzymał kadłubowiec z SA, pan Janek, za którym podnieśli się pozostali kadłubowcy i muzycy. – „Prezydenta to wybraliśmy sobie sami i wara wam od niego, no, spylaj, ale to już, bo jak zdejmę pasa i zerznę ci dupę, to cię twój ukochany wódz nie pozna!”

Słowa zostały wypowiedziane. Nadeszła pora czynów. Pryszczaty zdjął z ramienia karabinek sportowy i zanim zdążyliśmy cokolwiek zrobić, wystrzelił w powietrze.

„To dla ostrzeżenia!” – krzyknął.

Tak, wysoki sędzie, tylko słabemu wyszkoleniu tych chłopiąt, tylko ich niesprawności zawdzięczaliśmy fakt, że nie poląła się krew. Świadek oskarżenia, przepraszam, nie mogę wymówić jego nazwiska, o tak, dziękuję, no więc świadek oskarżenia powiedział:

„Pod przemożnym wpływem alkoholu, udawszy się w celach dalszej libacji na leśną polankę w lasach komunalnych, sprowokowali bójkę, w wyniku której pobili grupę młodych turystów ćwiczących marsz na azymut”.

No, nieźle, wysoki sędzie, a będzie jeszcze nieźlej, jak nam przybędzie takich turystów i takich marszy na azymut! Poza tym, dlaczego świadek ani słowem nie pisał o tym, że to my ich rozbroiliśmy? Zeznał natomiast:

„Za pomocą krótkiego bojowego karabinka sportowego oskarżeni przestrelili następnie wypróbowywany na łące balon, narażając tym samym społeczny komitet organizacji ‘Pro Life’ na wielomilionowe straty”.

Wysoki sędzie! Kiedy pryszczaty legionista wystrzelił w powietrze, pan Janek z SA jak tygrys rzucił się szczupakiem pod jego nogi, obalając go na trawę, no a my, my nie mieliśmy wyjścia, wysoki sędzie, my musieliśmy działać równie szybko, więc kiedy po drugiej stronie doliny klerycy maszerowali śpiewając o miłości i nadziei, my, wysoki sędzie, rzuciliśmy się na krótkospodnich legionistów, doceniając – zaiste – walory walki wręcz. Nie zdążyli zdjąć nawet tych swoich pukawek. Ale jedna, w szamotaninie, niestety wypaliła. Tak, gdzie poszybowała ta zbląkana kula, w co następnie ugodziła, to już wiadomo, tego nie będę tutaj opisywał, wysoki sędzie. Chłopięta umknęły jak niepyszne, klerycy śpiesznie zwinęli kolorowy brezent, który już nie był tym, czym był przed chwilą, i też odeszli, a my zostaliśmy sami, z bronią zdobyczną i ostrym kacem moralnym, wysoki sędzie. No, bo czy tak miała wyglądać nasza beztraska majówka? Nasze święto bezrobotnych? Autowiolista Fox wyjął skrzypce i chyba dla ukojenia nerwów zaczął grać Schuberta, zaraz przyłączyli się doń trzej koledzy i

grali ten kwartet przy ognisku, a my siedzieliśmy obok nich, piliśmy ostatnie piwo, patrzyliśmy w gwiazdy i było nam smutno.

„Tak jakby ostatnia noc filozofów” – powiedział Zbyszek.

„Tak, ostatnia” – dodałem – „ale pierwsza pod dębami”.

Zanim wybrzmiał do końca kwartet Schuberta, pojawiła się policja. Nie, nie uciekaliśmy, wysoki sędzie.

„To panowie muzycy?” – zdziwił się komisarz. – „Nauczyciele? Technicy? Inżynierowie? A ja miałem alarmujące doniesienie, że tu grasują uzbrojone bandy, jak w czterdziestym piątym!”

Wtedy, zza drzew, wyszli bezszelestnie ludzie z brygady antyterrorystycznej, pan Janek z SA pokazał im, gdzie leży broń, wsiedliśmy do samochodów i już na komisariacie podpisaliśmy nasze zeznania. Potem nas wypuszczono.

Co do Bartosza—woźnicy, wysoki sędzie, to istotnie zagadkowa sprawa. Ulotnił się jak kamfora, nikt nie pamięta, w którym dokładnie momencie. Niektórzy mówili potem „Pod Kasztanami”, że to nie był żaden rolnik sfrustrowany, tylko święty Fikariusz, irlandzki patron woźniców, który uwielbia płać ludziom niewinne figle. Dlaczego jednak irlandzki święty miałby pojawić się w Polsce? To jest pytanie, które przekracza moje kompetencje.

Tak, wysoki sędzie, zmierzam do konkluzji. Otóż, reasumując, należy stwierdzić, że jesteśmy niewinni, ponieważ nie popełniliśmy żadnego przestępstwa. „Ludzie dopuszczają się czynów przestępczych tylko w trzech przypadkach” – mówi Arystoteles w pierwszej księdze *Retoryki*. Po pierwsze, wówczas gdy sądzą, że czyn ten może być dokonany, i to przez nich właśnie. Po drugie, gdy myślą, że czyn ten nie zostanie wykryty. Po trzecie, jeśli przypuszczają, że zostanie wykryty, lecz ujdzie im bezkarnie, a jeśli nawet zostaną ukarani, to i tak kara będzie mniejsza niż korzyści płynące z tego czynu. Proszę teraz zważyć, wysoki sędzie, czy którakolwiek z tych okoliczności, czy którykolwiek z tych motywów mógł być przez nas brany pod uwagę? Moim zdaniem, żaden. A zatem w świetle faktów i w świetle powyższej zasady, którą tak pięknie przed wiekami wyłożył filozof, jesteśmy, wysoki sędzie, niewinni.

Tak, skończyłem, wysoki sędzie, nie mam nic do dodania.

Czy powiedziałem dokładnie to, co chciałem powiedzieć? Tak. Pragnę jednak zwrócić uwagę wysokiego sądu na to, że pomiędzy słowami zawsze zostaje jakaś reszta, która jest tajemnicą.

Dziękuję

## SREBRNY DESZCZ

*Zbigniewowi Żakiewiczowi*

Anusewicz nie wierzył zbyt w prorocze sny, przepowiednie Sybilli i wróżenie z dłoni. A jednak, gdy obudził się tamtego dnia zlany potem i umęczony dusznością, poczuł, że coś musi się wydarzyć. Nina, dwudziestoletnia, piękna i zalotna, tańczyła na łące, jakby specjalnie dla niego. Szedł do niej wolno, czując pod stopami miękkie, łaskoczące źdźbła trawy. Obejmowali się mocno, niespodziewanie nadzy jak Adam i Ewa pod jabłonią. Poczul dojmujący spazm rozkoszy, dotykając wargami jej pełnych piersi. Zaraz potem, nie wiedząc dlaczego i po co, na łące pojawił się ksiądz Wołkonowicz. W podłataney sutannie, sfatygowanych butach, z kroplami potu na czole, huczał i grzmiał Izajaszowym słowem o spopieleniu ziemi i występnych jej mieszkańców. Dlaczego jednak w chwilę później wszyscy troje znaleźli się w pałacowej sali? I co znaczyć miała wojskowa orkiestra w niemieckich mundurach, która przygrywała im z dziedzińca? Ksiądz Wołkonowicz w wykrochmalonych przodach i nienagannie skrojonym fraku walcował teraz z Niną ubraną jak panna młoda, a on, Anusewicz, szedł za nimi, również w rytmie walca, przez opustoszałe sale, galerie, amfilady, schody.

Sen nie miał wyraźnego końca. Przez pewien czas Anusewicz spoglądał w sufit i nie był pewny, czy to jego mieszkanie, czy tamten, dziwnie pusty i nieznajomy pałac. Zaraz też, kiedy wstał i ujrzał swoją postać w lustrze, doznał głębokiego rozczarowania. Na łące jego ciało było gibkie i sprężyste. W rzeczywistości, do której wrócił, przedstawiało widok niezbyt zachęcający. Opasły i zwisający brzuch, siwe kępki nielicznych włosów na głowie i opuszczone ramiona przypominały bezlitośnie o minionych latach. Magiczna, odmładzająca moc snu podobiała mu się bardzo. Już przy śniadaniu uświadomił sobie, że nie czuł pożądania od kilku co najmniej lat. Dlaczego jednak Nina? I dlaczego ksiądz Wołkonowicz? Ją wywieźli Rosjanie zaraz na początku, w trzydziestym dziewiątym. Księdza Wołkonowicza Niemcy rozstrzelali jako zakładnika trzy lata później. Po Ninie zresztą też wszelki ślad zagał. Umarła w łagrze? Wyszła z Andersem i dokonała żywota wiele lat później w Londynie albo w gorącej Kalifornii? Jakie to mogło mieć znaczenie dzisiaj...

Gdzie oni teraz?

Anusewicz wychodząc z domu powtarzał to pytanie wielokrotnie i sprawiało mu ono ból. Wierzył co prawda głęboko w nieśmiertelność duszy, ale żeby od razu miał zmartwychwstanie? Czy było to aż takie pewne? Gdyby rozsypane w proch ciało wracało do swojej poprzedniej formy, mógłby jeszcze kiedyś zobaczyć nie tylko Ninę, ale cały tamten umarły świat. Sosnowe dukty o świcie, płaty płótna na łąkach, modrzewiowe belki domu w Rudzieńszczyźnie, ojca w butach do konnej jazdy albo płatek śniegu na futrzanym kołnierzu matki. Czy Bóg zajmuje się jednak drobiazgami? Wiele wskazywało na to, że ma stokroć poważniejsze kłopoty. Od rozpędzonych, rozpadających się galaktyk, przez nieustanne wojny, do wulkanów i pospolitych powodzi.

Anusewicz minął browar i w przejściu pod torami kolejki elektrycznej kupił trzy purpurowe róże. Wsiadając do tramwaju pewny już był, że jego sen nie pojawił się przypadkiem. Świadczyła o tym obecność księdza Wołkonowicza. Duchowny, wszystko jedno jakiego wyznania, zawsze oznacza jakąś zmianę. A może, kiedy wróci z teatru, znajdzie w skrzynce list od Niny? To byłaby niespodzianka. „Przyjeżdżam za miesiąc i muszę zobaczyć twoje wnuki”. Cudowne ocalenia, lata głodu i beznadziejnej nadziei, tak, mieliby o czym rozmawiać przy

karafce dereniówki. Gdy wysiadł z tramwaju niedaleko pałacu Uphagena, doszedł jednak do wniosku, że nie chciałby widzieć Niny starej i pomarszczonej, nawet z amerykańskim garniturem sztucznych zębów. Ta, którą ujrzał we śnie, była nieśmiertelna i szczęśliwa. Ta, którą witałby w progu swojego mieszkania, byłaby tylko nieudaną kopią, naśladownictwem tamtej. Ale na dalsze rozważania nie miał więcej czasu. Jak zawsze, wręczył kwiaty pani Andruszkiewiczowej, a ona, jak zawsze, dała mu klucz do magazynu.

W zupełnym mroku Anusewicz wymacał przełącznik reflektora i skupiona struga światła, przesuając się wzdłuż półek i wieszadeł, wydobywała z ciemności nieruchome głowy i korpusy lalek. Sindbad Żeglarz spoglądał szklanym wzrokiem na Alicję. Szewczyk Dratewka siedział skulony obok Kłapouchego. Smutny Ali Baba wspierał swoją brodę o Dziadka Utopka, a Sowa Pójdźka z kłapniętymi skrzydłami przycupnęła na nosie Pinokia, jak kura na grzędzie. Ich gesty, ich perypetie, ich śmieszne powiedzonka Anusewicz ożywiały wiele razy, używając im swego głosu i ruchu dłoni. Teraz, gdy był już tylko emerytem, przychodził tutaj raz w miesiącu i w absolutnej ciszy odgrywał z nimi swoje własne, improwizowane sceny. Bywało, że Zła Macocha mówiła słowami Lady Makbet albo że Jasiu Głuptak wymachiwał rękami i plótl te same brednie, co dawni i nowi politycy.

Raczej bez namysłu Anusewicz zdjął z wieszaka białoramienną, prześcieradlaną kostuchę. Rozplątał sznurki, poprawił mocowanie srebrnej kosi i potupał z nią jak po scenie – tam i z powrotem. Kłapała zębiskami jak należy. Zgrzytała kosą co się zowie. Lecz Anusewicz nie był czegoś zadowolony. Dopiero gdy zastępowała w rytm gwizdanego z cicha swingu, uśmiechnął się do niej i powiedział:

– Teraz widzę, staruszek, że masz przed sobą wielką przyszłość.

Kostucha rozłożyła ramiona i ukloniła się grzecznie przed niewidzialną publicznością. Ale to było wszystko. Żaden nowy pomysł, żadna improwizacja czy zabawny skecz nie przychodziły Anusewiczowi do głowy. Zazwyczaj spędzał tu godzinę, czasem więcej, nie patrząc na zegarek, a teraz każda minuta ciągnęła się nieznośnie. Doznawał przy tym nieprzyjemnego uczucia. Wydawało mu się, że poza snopem światła, z ciemności, której nie ogarnia, śledzi go czworo oczu: Niny i księdza Wołkonowicza. Kiedy zapalił górną lampę, nie szło mu wcale lepiej, bo inna myśl prześladowała go nieustannie. Ktoś związany z dzisiejszym snem czeka na niego w domu, podczas gdy on traci tu niepotrzebnie czas.

– Trzeba to przeciąć – powiedział głośno – najgorsza jest niepewność.

Nieco zdziwiona pani Andruszkiewiczowa zapakowała mu kostuchę w plastikową torbę, a on, bez zwyczajowej pogawędki, ruszył na przystanek. W tramwaju opanowały go znowu wątpliwości. Po co wraca do domu? Sen to sen – wiadomo, głupia mara. Mógł z powodzeniem zostać w teatrze. Natchnienie przyszłoby w samą porę, tak, na pewno.

I rzeczywiście – skrzynka na listy świeciła pustką, w drzwiach nie zatknięto żadnego karteluszka, a mieszkanie bez krzątany żony i harmideru wnuków wydawało się nienaturalnie ciche. Anusewicz poczłapał do kuchni i popijając chłodne elbląskie piwo, ustawił kostuchę na swoim biurku. Pośród rodzinnych fotografii, książek i notatek, bez dekoracji i reflektorów wyglądała zupełnie niegroźnie. Palce Anusewicza znowu ujęły sznurek, a jego głos odpowiednio skrzypliwie wyrecytował:

Mości panie weteranie,  
Dość świat szumi nim ustanie.  
Młody może, stary musi  
Bryknąć, bo go kaszel dusi.

Kostucha zaszumiała suknią, stuknęła kosą i następny kuplet zaśpiewała z odmiennym, może nawet trochę białoruskim akcentem:

Dałbym berło i z koroną,  
By mnie z tańca uwolniono.  
O! Nader przykre, niestety,  
Które śmierć skacze balety.

Drewniane buciska zatupały na blacie biurka. Anusewicz mruknął z przyzwalającym zadowolaniem, lecz następny kuplet nie wybrzmiał już w pokoju. Stało się to za sprawą pana Winterhausa, który w tej właśnie chwili zapukał do drzwi mieszkania. Anusewicz, z kostuchą na ramieniu, otworzył je niezbyt ochoczo i przez moment obaj panowie przyglądali się sobie w milczeniu.

– Jestem Winterhaus – powiedział Winterhaus. – Czy mogę z panem pochozmawiacz?

– Oczywiście – odrzekł Anusewicz i zaprowadził gościa do jadalnego pokoju.

Ale nie było w tym nic oczywistego.

– Pewien kłopot jest, jak zawsze przy taka chozmowa – westchnął Winterhaus – ale ja dłużej nie mogłem zwlekacz. Pan wie? Ja ze trzy chazy już wchodziłem na te schody i uciekałem. Balem sie.

– Mnie? – zapytał zdziwiony Anusewicz.

– Sytuacji. Pan wie? Ja tu mieszkałem. Aż do końca wojny.

– Ach tak – powiedział Anusewicz – to ciekawe. Gość nie wyglądał na typowego Niemca, chociaż jego wypielegnowana siwizna w połączeniu ze złotawymi oprawkami okularów, nie wspominając o akcencie, mówiły same za siebie.

– Czy chce pan zrobić zdjęcia? – zapytał Anusewicz po chwili kłopotliwego milczenia. – Obejrzeć pokoje? Niewiele tu zostało z dawnych rzeczy. Lustro w łazience, szafka na buty, więcej nic. Musi pan wiedzieć – ciągnął nieco poirytowany – że nie ja byłem pierwszym lokatorem. Przede mną był pewien urzędnik z Poznańskiego, a jeszcze przed nim jakiś krawiec, Żyd. Ten krawiec wyprowadził się w czterdziestym siódmym gdzieś na przedmieście Wrzeszcza, urzędnik dostał awans do Warszawy i wtedy wprowadziłem się tu ja. To było, zaraz, niech pomyślę, tak, to było dokładnie w czterdziestym dziewiątym, w maju. Co jeszcze chce pan wiedzieć?

– To nie jest zwykła spchawa – powiedział niepewnie Winterhaus – ja nie chce fotogchaffi, pamiontek, nic. Ja przez mego ojca tu przyjechałem. Ja ciongle ten sam, niesamowity sen miałem. Pan wie? On pozostawił skachb, w kchedensie tym kuchennym, co bok od pieca stał. On całe życie mówił: „Helmut, to pewnie tam jest”. A ja mu nie wierzyłem. Ale jak zmachł, to mnie sie snila w każda noc te kchedens i monety. W każda noc. A potem ciechpialem na *Schlaflosigkeit* i lekarz mi powiedział:

„Niech pan tam jedzie, Herr Winterhaus, i niech pan przekona sie, że nie ma żaden kchedens, żaden skachb, nie ma nic”.

Anusewicz otarł pot z czoła. Nie przypominał sobie kredensu. Piec, owszem, z żelazną płytą, stał w kuchni wiele lat, zanim nie podłączono gazu. Ale kredens? Kredens stał w jadalnym, tu, gdzie teraz segment i telewizor. Sprzedał go za grosze, w siedemdziesiątym pierwszym albo drugim. Miał mleczne szybki i popękany fornir w okropnym, wiśniowym kolorze. Sprawa monet zainteresowała go jednak bardzo.

– Dużo tego było – zapytał – pewnie złote?

– O, nie wiem – powiedział Winterhaus – pan wie, on zbiechał te monety, co byli bite w Danzig, to znaczy w Gdańsk – poprawił się – w tajemnicy przed moja matka, przede mno i przed mój bchat. Powienkszał ta kolekcja ciongle. Im wiecej miał, tym wienkszy stchach, że ona go odkchyje, że on wydaje na to wcionsz piniondze. I tak sie bal, że jak bylo już uciekacz, to nie mogli ich wyjonć, bo ona by zobaczyła, na co on wydawał tak długo lat. Pan chozumie?

– Rozumiem. Ale pan widział te monety?

– Nigdy.

—A matka? Brat?

– Oni też nigdy. I nikt mu potem nie uwierzył. Dopiecho ten mój sen, a potem lekarz, mówilem panu.

– Sny bywają różne – powiedział Anusewicz. – Ja dzisiaj na ten przykład śniłem, że jestem na łące, w naszej Rudzieńszczyźnie. Pan pewnie nie wie, gdzie to jest.

– Nie.

– Na wschodzie – westchnął Anusewicz – teraz to białoruski kraj.

Winterhaus pokiwał głową ze zrozumieniem. Ale nie wyglądał na zmartwionego, przynajmniej z tego powodu. Poszedł do kuchni za gospodarzem i chętnie przyjął piwo. Pokazał, gdzie stał kredens i opisał dokładnie, jaki był.

– Ach! – krzyknął Anusewicz. – Pan mówił kredens, kredens, a to była kuchenna szafka, tyle że trzyczęściowa, tak?

—Tak.

– No, a w której były ukryte te monety?

– W schodkowej, najwienkszej. Tak ojciec mówił. I tak mnie sniło się.

– Benek! – zawołał Anusewicz. – Ach tak, Benek!

Ale czy on to jeszcze ma?

I zanim Winterhaus zdążył cokolwiek powiedzieć, Anusewicz wzuł buty, zarzucił na ramiona marynarkę i zakomenderował:

– Idziemy, panie Helmut, prędko.

Tu nastąpiła pewna kontrowersja. Winterhaus zaproponował, żeby wzięli taksówkę i że on zapłaci. Anusewicz zaś nie chciał się na to zgodzić i z uporem obstawał przy tramwaju, który – jak zawsze w takich przypadkach – długo nie nadjeżdżał.

– Kto to Benek jest? – zapytał wreszcie Winterhaus.

– Szwagier, brat mojej żony – wyjaśnił Anusewicz. Po czym dodał, że szafka, o której była mowa, a ściślej, jej największa, środkowa część, dawno temu podarowana została Bernardowi, który ożenił się z Barbarą i potrzebował mebli.

– Albo wyrzucił ją, albo trzyma gdzieś w piwnicy – rozważał głośno Anusewicz. – A jeśli to znalazł?

Tu Anusewicz przypomniał sobie ów niespodziewany zakup samochodu, którym Bernard przed paru laty zaskoczył wszystkich. Niby skąd wziął nagle tyle pieniędzy? Ale o tym nie powiedział Winterhausowi. W zatłoczonym tramwaju rozmowa się nie kleiła, a kiedy koło Bramy Wyżynnej wsiedli do autobusu i ruszyli w kierunku Orunii, Winterhaus powiedział ścisłym głosem:

– Pan wie? Mnie nie chodzi o piniondz, majontek. Ja tylko spchawdzić chciałem, pchawdę ojciec gadal czy nie? No i ten sen, pchoszem pana. Pan w sny wierzy? A potem *Schlaflosigkeit*.

– Hm – mruknął Anusewicz —jedne sny coś zapowiadają, o czymś mówią. Inne są bez znaczenia, znaczą się, durne. I kto by to rozeznał?

Autobus zatrzymał się nad kanałem Raduni, w cieniu starych drzew. Kiedy wysiedli, po prawej stronie wyrastał ze wzgórz dawny kościół Jezuitów, po lewej zaś łagodnym skłonem wyżyna przechodziła coraz wolniej i wolniej w zupełną płaskość depresji, pociętą kanałami i szachownicą pól. Ruszyli w lewo, mijając biedne, czynszowe kamienice, małe fabryczki, składy, tory kolejowe, aż wreszcie ocienione kasztanami kocie łby skończyły się i weszli w polną drogę.

– Mój ojciec – powiedział Winterhaus – był urzędnik w Danziger Strassenbahn, to jest tchomwaje elektchyczne. Pod koniec wojna zchobili go dichektochem.

– A mój – powiedział Anusewicz – miał Rudzieńszczyznę. Licha ziemia, ale mnóstwo lasów, tartaki, młyn, jeziora...



– Nie poszedł na wojnę – ciągnął Winterhaus – bo miał kulawą nogę, pchawa.  
– Mój też nie poszedł – wyjaśnił Anusewicz – bo był za stary. Ale zabrali go Sowieci i już nie wrócił. Nigdy. Potem, jak przyszli Niemcy, rozstrzelali stryja Witolda, no, i zostałem sam, z matką.

– Za to mój stachszy bchał – dodał Winterhaus – pod Kuchskiem zginął. Führer przysłał list i kreuz poszmiechtny.

– Ja byłem jedynakiem – powiedział Anusewicz.

Ostatni odcinek drogi przez groblę obaj panowie przeszli w milczeniu. Domek Bernarda stał nad kanałem, pośród spróchniałych wierzb, liści łośnianu i nie strzyżonej trawy. Na podwórku, oprócz wraku ciężarówka, leżały pordzewiałe blachy, cegły z rozbiórki, zwoje drutu, a z bujnych chaszczki pokrzywy wystawał kadłub dziurawej płaskodenki, w której urzędowały kury.

– Niech pan nic nie mówi – uprzedził Anusewicz – ja zagadam.

Barbara gotowała zupę. Dzieci były na wakacjach, pod Kościerzyną, a Benek – jak powiedziała – jeździł na taksówce. Anusewicz przeszedł do rzeczy krótko i węzłowato. Czy Barbara pamięta tamtą białą szafkę, którą przywieźli im furmanką z Wrzeszcza? To było dwa dni po weselu, kiedy się wprowadzili do tej rudery i zaczęli remont.

– Jakże mam nie pamiętać – zaśmiała się Barbara – piliście przez trzy dni, ty, Benek no i ten furman, Bieszke, a ja musiałam karmić jego szkapę i łątać dach, bo lało. *Knöpy* – fuknęła – nigdy z was pożytku.

Anusewicz zamachał rękami. Po co mu przypomina tamte rzeczy? Chodzi o szafkę z mieszkania przy Gołębiej. Ten oto gość, pan Winterhaus, przyjechał z Niemiec w poszukiwaniu rodzinnych dokumentów, fotografii. Trzeba mu pomóc, bo w tej szafce prawdopodobnie były ukryte...

– *Was ist verloren?* – Barbara zwróciła się do pana Winterhausa.

– O, ja mówię po polsku – gość, ukłoniwszy się, ucałował dłoń gospodyni. – Czebrzeszyn, krzonszcz, czina, o tak, moja babka uczyła mnie po polsku, bo była Polka, choć nazywała się Kostechke.

– Gdzie jest ta szafka? Macie ją jeszcze gdzieś? – naciskał Anusewicz. – Sprawdzimy i pójdziemy sobie, żadne to przecież turbulencje. Pan Winterhaus, musisz wiedzieć, Barbaro, mieszkał w naszym mieszkaniu, to jest, chciałem powiedzieć, my mieszkamy tam, gdzie on kiedyś, no i jak przyszli Ruscy, nie wszystko zdążył zabrać. W tej szafce były...

– Carskie ruble – zaśmiała się Barbara – góra złota. Weźmiecie ją ze sobą? Trochę mniej próchna będzie w rupieciarni. Jest tam, w szopie nad kanałem. Ja robię obiad, zjecie potem zupy?

Anusewicz odchrząknął twierdząco i prowadząc Winterhausa przez podwórko, zmierzał do blaszanego pudła—garażu, które Barbara łaskawie nazwała szopą. Zaiste, gęsta tu była rupieciarnia. Oprócz stolarskich narzędzi, pustych skrzynek, zeschniętych wręgów, samochodowych części, motyk, łopat, płóciennych worków, flaszek i słoików znajdowało się też kilka połamanych taboretów, dziurawe krzesło, rozpruta kanapa, zdezelowany motorower komar, dziecięcy wiklinowy wózek, narty, żeliwny piecyk, sznury z hakami na węgorki, radio w ebonitowej skrzynce, a także obtłuczony bidet i sztaluga.

– O! – powiedział Winterhaus. – To jest coś!

– Ale gdzie szafka? – Anusewicz bezradnie poruszył ramionami. – Wcale jej nie widzę.

Dopiero po chwili dostrzegli to: płócienną draperię niebieskiego koloru, z białym gołębkiem i napisem „POKÓJ – MIR”. Gołąb trzymał w dziobku gałązkę, trudno powiedzieć, czy oliwną, a cały rysunek otoczony był symbolicznym laurem.

– No – Anusewicz zerwał transparent z szafki – mamy cię wreszcie! Gdzie to miało być?

– Tu, na dole – pokazał Winterhaus – trzeba piechwsza wachstwa podłogi odbić. Tak mnie się śniło. I tak ojciec mówił.

Znaleźli dłuta, młotki i prędko zabrali się do roboty. Pod pierwszą warstwą sklejkę była druga, potem jeszcze jedna i wreszcie zdumionym oczom Anusewicza i nie mniej zdumionym oczom Winterhausa ukazały się rzędy wąskich przegródek, w których owinięte w bandaż, niczym guziki liczydeł, spoczywały monety. Szczeliny utkane były watą i dodatkowo oklejone kitem.

– Niezły był konspirator z pańskiego tatusia – powiedział Anusewicz wydłubując jedno zawiniątko po drugim – można było przewrócić to pudło do góry nogami, a i tak nic by nie zabręczało. Patrzcie, patrzcie, a tu są jakieś większe...

Zrobili miejsce na stolarskim blacie i układali krążki jeden po drugim. Gdy wyjęli ostatni, Anusewicz poklepał Winterhausa po plecach i dodał:

– Pan zaczyna.

Winterhaus drżącymi palcami rozwinął pierwszy gałganek. Na stół upadła srebrna moneta wielkości dolarówki.

– Coś takiego, coś takiego – wyszeptał Anusewicz. Rewers przedstawiał Chrystusa w długiej szacie, z królewskim jabłkiem w dłoni, wokół którego biegła błagalna sentencja „DEFENDE NOS CHRISTE SALVATOR”. Na awersie zaś przeżyły się dwa lwy, podtrzymujące godło miasta oplecione napisem „MONETA NOVA CIVI GEDANENSIS”. Ponad grzywami zwierząt widniała jeszcze data: 1577.

– To z czasów wojny – zawyrokował Winterhaus —zamiast polskiego kechola wizerunek Jezusa wybili.

– Wojny, tak, tak, wojny. – Anusewicz rozwinął następną szmatkę, z której wydobył pieniądze mały, widać poważnie starszy, bo z mocno wytartym wizerunkiem. – No, a to, cóż to będzie?

Winterhaus zdjął z nosa okulary i posługując się lewym szkłem jak lupą, stwierdził:

– To jest moneta pchinca pomoczkiego. Widzi pan ten gchyf? O, tu jest napisane: „DANCEKE DOMINI ZWANTOPELK”. Niech pan patrzy.

Anusewicz, ustawivszy szkło w odpowiedniej odległości, aż zagwizdał z uznania. Kaszubski książę z dumnie rozwiniętą chorągwią i tarczą domu Gryfitów spinał ostrogami konia.

– W tym czasie – mruknął – przodkowie moi czcili jeszcze święte węże.

Ale Winterhaus nie dosłyszał go. Rozsuplując następne zawiniątka, rzucał na stół brzęczące grosze, talary, półtalary, trojaki, donatywy, orty i wyglądało to niczym srebrny deszcz, w którym gdzieś tylko przez przypadek błysnęła sztuka złota. Jagiellonowie, Sasi, Wazowie i gryfici, komturzy pruscy, elektorzy, wszyscy spoczywali teraz zgodnie obok siebie, jakby nigdy nie dzieliły ich dobyte miecze, bitewne pola, cła, intrygi, podstępne mordy i okręty pozatapiane gdzieś na dnie zatoki. Nie było duplikatów. Jedynie pięciodukatówka z popiersiem króla Władysława i panoramą miasta na rewersie występowała w trzech, nieidentycznych zresztą egzemplarzach.

– *Schlaflosigkeit* – westchnął z zadowoleniem Winterhaus – ja chyba już na to ciechpieć nie bede.

– O tak, zapewne. – Anusewicz przywracał dolnym partiom szafki poprzedni wygląd. – Ale jak pan to wywiezie? Trzeba mieć specjalne pozwolenie. Czy są jakieś papiery potwierdzające własność? Bo jak nie, to mogą być kłopoty.

– O, ja wcale o tym nie myślałem. Pan wie? Najważniejsze jest, że spchwadził się mój sen. Techaz już wiem, że ojciec nie był wachiat.

– Przecież nie odda pan tego do muzeum?

– Muzeum? Czemu nie? Kolekcja Winterhausa-tchomwajarza, to by mogło być całkiem sławne.

Prawdopodobnie delikatny spór toczyłby się dalej, gdyby nie to, że do blaszanej szopy nad kanałem wpadł jak po ogień podniecony Bernard.

– O, wa – gwizdnął przeciągle – to niezłe dokumenty znaleźliście w mojej szafce. I ona uwierzyła – puknął się w czoło – głupia, że wy szukacie jakichś fotografii. Zaraz mnie tknęło, że coś tu kręca, przylatuję i proszę, bez mojej wiedzy takie sprawy. Benek jestem – podał dłoń Winterhausowi – taxi do usług.

– Winterhaus – powiedział Winterhaus.

– No, nie przesadzaj – Anusewicz starał się przemówić do szwagra łagodnie – ta szafka nie była ani moja, ani twoja.

Bernard nie mógł oderwać wzroku od monet. Brał je w palce, oglądał i przekładał z miejsca na miejsce.

– Taak? To w takim razie czyja ona była? Skoro pan Winterhaus nie zabrał jej z sobą, należała najpierw do Żyda, potem do poznaniaka, a potem do ciebie. A ty podarowałeś ją mnie. Proste? Jak słońce. Należy się znaleźć, pewnie. Nie pragnę cudzej szkody. Co pan uważa, her Winterhaus?

– No tak, no tak, nie znam wasze pchawo. Ja myślę, że pan Bechnachd powinien coś otrzymać. Pan Anusewicz też. Choć z dchugiej stchony, ja myślę, że to jest pełna kolekcja. Panowie mnie chozumiejo? Tu chyba są *alles* piniondze bite w Danzig, w Gdansk – poprawił się —od pchinc Świantopelk do Wolne Miasto. Ja pchoponuje panom trzy tysionce machek do podziału, *gut*?

– Trzy tysiące marek? Za komuny to była forsa —Bernard obracał w dłoni dukat saskiego elektora – ale dziś? Dziś nie kupisz za to nowego samochodu.

– Dlaczegoż wy, Kaszubi, pazerni jesteście gorzej sępów? – nie wytrzymał Anusewicz. – Ty się, Benek, opamiętaj, gdzie nasz honor? Honor gdzie?

– A ty od Kaszubów łapy precz trzymaj! Patrzcie go, bosy Antek zza Buga. Szlachecki gest, co? Przechlali dawno temu Polskę, a teraz dupą świecą. Panowie bracia, ha,ha!

– Tak? Tak? – Anusewicz podskoczył i zagulgotał jak indor. – A kto z Niemcami trzymał? Kto zamordował Leszka Białego?

– Ktosz zamochdowany jest? – zapytał Winterhaus, przestępując niespokojnie z nogi na nogę. – To politik, nie klócić się, nie klócić.

Ale szwagrowie nie słuchali już gościa, tylko własnej, gorącej krwi. Bernard wiele mógł ścierpieć pod adresem własnym i swoich ziomków, ale nigdy tego, żeby księciu Świętopelkowi przypisywać zabójstwo polskiego księcia. Anusewicz zaś puścić mógł mimo uszu bosego Antka i szlachecki gest, nigdy natomiast tak podlej insynuacji, że to oni, panowie bracia, przepili dawną Polskę. No i zaczęło się. Najpierw od przepychanki, od której przyszło do wymiany ciosów.

Kiedy do szopy weszła Barbara, ujrzała swego męża i Anusewicza na podłodze, szczepionych z sobą w zapaśniczym kłinczu. Winterhaus, trzymając się oburącz za głowę, biegał wokół szwagrów i powtarzał:

– *Alles in Ordnung! Alles in Ordnung!* Po co ten *Lärm* ? Po co ten *Krawall*? Cztechy ty-siency machek dam. Cztechy i pół ty-siency!

Nic to jednak nie pomogło, podobnie jak krzyki i szturchańce Barbary. Walka nie szła już przecież o pieniądze, ale o to, co będzie górą: zapalczywość kaszubska czy raczej porywczosć kresowa? Skrzydlaty Gryf czy Pogoń? I nie wiadomo, na czym by stanęło, gdyby nie Barbara. Jej praktyczny, kobiecy rozum podszeptał rozwiązanie proste i skuteczne. Wybiegła na moment z szopy i wróciła tam, zbrojna w gumowy ogrodniczy wąż. Pod strumieniami zimnej wody szwagrowie przerwali bójkę. Prychając ocierali twarze, na których nie znać było śladów satysfakcji.

– Za pięć minut podaję obiad – orzekła rozjemczym —i żeby mi ani słowa o tym – wskazała na monety.

Tak zatem pierwsze łyki barszczu spłynęły do gardeł w zupełnym milczeniu. W szcęk sztucców i dyskretne siorbanie wkradał się tylko na werandę wizg jaskółek, które śmigwały

między okapem domu a kanałem. Pan Winterhaus spoglądał na podbite oko Anusewicza, na rozdartą koszulę Bernarda, to znów na rozłożysty klon, w cieniu którego swe pyszne pióra stroszył buńczuczny kogut.

– *Ja* – powiedział wreszcie, wychyliwszy do dna kieliszek czystej wódki – mój ojciec to dziwny człowiek był. Ten tchomwaj – zamyślił się – ten tchomwaj nocny, co go bomba chozbuchnęła...

– Czy to był tramwaj—barykada? – zapytał Anusewicz. – Widziałem takie jeszcze rok po wojnie, zasypane gruzem.

Węgorz w potrawce podany przed drugim daniem opóźnił nieco odpowiedź pana Winterhaus, choć właściwie nie była to odpowiedź, tylko opowieść przerywana jedynie wydłubaniem ości, brzękiem kieliszków i mlaskaniem.

Tamtej nocy przed uderzeniem, kiedy rosyjscy artylerzyści czyścili lufy swoich armat i obliczali trajektorie, pan Winterhaus—dyrektor udał się do zajezdni i krążył pośród pustych hal, znieruchomiałych zwrotnic i wygaszonych lamp, a kiedy natknął się na ostatni wóz, który nie został zmilitaryzowany, wskoczył do niego, podniósł pałąk i ruszył nim na miasto, przypominając sobie dawne czasy, kiedy był jeszcze zwykłym motorniczym, i najpierw zrobił trasę trójki, potem piątki, następnie zaś siódemki, i zatrzymywał się na przystankach, głośno wywołując ich nazwy i jeździł tak od Friedensschloss do Weichselbahnhof, od Broesen do Ohra i Emaus, sam zmieniał zwrotnice na mijankach i dziurkował strefowe bilety, a nocne patrole wojska Schupo i SS salutowały mu, bo w przedniej szybie wozu przezorny Winterhaus—dyrektor ustawił podobiznę Führera pomiędzy dwiema oliwnymi lampami, niczym w katolickim kościele, więc myślano, że to propagandowy kurs dla podtrzymania ducha bojowego, co było wskazane, co było potrzebne, jako że na stuletnich konarach Wielkiej Alei wisieli już dezertyrzy i defetyści z tabliczkami na piersiach: „Nie chciałem umierać za Führera i Ojczyznę”, a ich buty dzwoniły o szyby wozu jak krople marcowego deszczu albo deszczu ze śniegiem, i w ten sposób tramwaj pana Winterhaus—dyrektora przemykał wązowami ulic, parkami, alejami miasta, aż do momentu, kiedy zadrżała ziemia i pierwsze pociski uderzyły w Dolne Miasto i Wyspę Spichrzów, aż do momentu, kiedy wielkie jężory ognia zaczęły trawić czerwony gotyk Hanzy, wtedy właśnie pan Winterhaus—dyrektor wyrzucił w błoto podobiznę Führera, zdmuchnął oliwne lampki i wywiesił na wozie białe prześcieradło, lecz niewiele to pomogło, bo torowiska były już rozerwane, rozprute granatami i nie mógł jechać dalej, wyskoczył więc z tramwaju i biegł do domu, a wtedy za jego plecami gruchnęła pocisk i ostatni cywilny tramwaj miasta Gdańska rozpadł się na tysiące kawałków szkła, metalu i drewna, a pan Winterhaus—dyrektor zatrzymał się i pojął, porażony tą nagłą metamorfozą, że to absolutny koniec jego tramwajarskiej kariery, którą zaczynał jako pomocnik mechanika, i absolutny koniec tego miasta, które nigdy już nie będzie tym, czym było.

– Piękne—westchnął Anusewicz – te buty wisielców—defetystów zaglądające w szyby, no i to białe prześcieradło.

– Ja tam nie widzę w tym nic pięknego – wtrącił Bernard zabierając się, jak inni, do kotle-tów. – Dostali w dupę, bo zasłużyli sobie. Ale za mało. Za mało. Powinni ich wszystkich na Syberię, jak chciał Stalin.

– Tam bachdzo zimno jest – stwierdził Winterhaus. Rzeczowa uwaga wywołała przy stole ogólną wesołość. Żartowano na temat Rosjan i Syberii dobrą chwilę, a kiedy skończyła się już wódka i desery, Bernard utoczył domowego wina i ciepłe popołudnie nad kanałem, w brzęczeniu much i cykaniach świerszczy, nabrało pełni bukolicznego blasku.

Do dzisiaj nie wiadomo, kto wpadł na pomysł wodnej eskapady. Anusewicz, który przypomniał sobie łódki w noc świętojańską na Rudzieńszczyźnie? Bernard, który od dziecka rybaczył na Kaszubach? Czy może pan Winterhaus, którego pamięć podsuwała dość niejasne obrazy kamiennych śluz, zwodzonych mostów i kanałów, jako krajobrazu tej części miasta? W każdym razie stało się to niespodziewanie. Barbara, krzątając się wokół stołu, spostrzegła

nagle, że trzej panowie, drzemiący jeszcze przed chwilą w trzcinowych fotelach, zniknęli z werandy. Ich głosy, wesole i donośne, dobiegały teraz znad wody. Pobiegnęła tam i ujrzała Bernarda z Anusewiczem wyciągających ponton z szopy.

– Chyba poszaleliście! – krzychała. – W takim stanie na ryby? Nie ma mowy.

Ale jej duch kobiecy, który pragnął raz jeszcze tego dnia okiełznać ducha niespokojnych mężczyzn, musiał ustąpić. W trzech panów wstąpił bowiem solidarnie duch chłopięcy, łaknący odmiany i przygody.

– Jakże tam ryby – warknął Bernard. – Chcemy popływać trochę, dla ochłody.

– Tak, tak – dodał Anusewicz – od tej strony widok miasta jest niecodzienny.

Wreszcie, kiedy wojskowy ponton został nadmuchany i kiedy Bernard zamocował na rufie mały silnik, panowie załadowali się do środka. Barbara zdążyła podać im z pomostu termos z kawą i kruche ciasteczka – na wszelki wypadek. Przez chwilę silnik nie chciał zapalić i ponton kręcił się dookoła własnej osi.

– Co za cholerne pierdziawko – złościł się Bernard. —Nie używałem tego od zeszłego roku.

Ale i ta przeszkoda ustąpiła. Za którymś pociągnięciem sznurka powietrze rozdarł straszny huk, po czym w oparach benzynowej chmury i warkocie ponton majestatycznie ruszył przed siebie, rozcinając zieloną firankę wodnej rzęsy. Anusewicz, z głową wychyloną przez półokrągły dziób, komenderował:

– Teraz prawą, Benek, prawą, mówię, tam na środku są resztki jakichś pali.

Bernard przytakiwał ze zrozumieniem, lecz uwagi szwagra niewiele go poruszały. Znał każdy na tej toni zatopiony złom i każdy niebezpieczny korzeń. Nie darmo łowił tu węgorze na wszelkie dozwolone i niedozwolone sposoby. Wreszcie, gdy dopłynęli już rzeką do śluzy, pan Winterhaus, spoglądając na zarośnięte trzciną, trawą i łopianem bastiony, powiedział:

– Tu z ojcem na majówce byłem. Ale wtedy całkiem inaczej to wyglądało.

– Tak – wyjaśnił Bernard – tędy nie można dziś płynąć do miasta. Śluza jest niespławna. Ale możemy przenieść ponton na drugą stronę, właściwie czemu nie?

Trzej panowie, nie bez lekkiego zasapania, przenieśli gumową łódź przez ziemny wał, przez kamienne obramowanie śluzy i spuścili ją ponownie na wodę, obok zarośniętych powojem ruin budynku, który wyglądał na dawny spichlerz. Widok, jaki teraz ujrzeli, zachwycił zwłaszcza Winterhauza. W gęstym tunelu zieleni mieli przed sobą brązową nitkę Motławy, w której odbijał się, pośród obłoków, ceglany gotyk kościelnych i ratuszowych wież.

– Ja postanowienie zchobilem, ja skachb zabchalem – rzekł Winterhaus i ku zdumieniu Anusewicza i Bernarda wydobył zza pazuchy płócienny worek, w którym stare monety porbrzękiwały niczym ociążały rój szykujący się do lotu. Anusewicz i Bernard spojrzeli na siebie, ale na dociekania, dlaczego Winterhaus zabrał ze sobą pieniądze, kiedy i w jak niedostrzegalny sposób to uczynił, nie było czasu.

Ponton popychany silnikiem płynął pod mostem ulicy Elbląskiej, mijał brzydkie wieżowce Kamiennej Grobli, kajakową przystań i stare spichrze przy Chmielnej, zaś pan Winterhaus na chybił trafił wydobywał z szarego płótna monety swojego ojca i układając je na trzy kupki, recytował monotonicznie:

– To dla mnie jest, to dla pan Benek, a to dla Anusewicz. To dla mnie jest, to dla pan Benek, a to dla Anusewicz.

Niepostrzeżenie minęli Ołowiankę i na wysokości Polskiego Haka, gdy w miejsce nabrzeży, spichrzów i budynków zaczęły ich otaczać wielkie kadłuby statków, Anusewicz zaniepokoił się, czy aby nie są już za daleko, czy aby wolno im tu pływać taką łupinką, i to w dodatku z gumy. Bernard miał inne zdanie: zobaczą jeszcze mury twierdzy, a potem zawrócą na wysokości pomnika, bo przecież jak wycieczka, to wycieczka, co się zaś tyczy nawigacji, pływał tu dziesięć lat temu na pchaczu „Buhaj” i zna tu każdą boję, tak samo jak celników i poli-

cjantów z portu. Gdy dopłynęli do Westerplatte, pan Winterhaus zakończył podział i oddał szwagrom ich część skarbu.

– Trzeba to uczcić – Benek wyjął zza pazuchy piersiówkę – no, na zgodę, niech pan patrzy, Winterhaus, to pomnik naszych bohaterów, to byli pierwsi w Europie, panie Winterhaus, co powiedzieli Hitlerowi: *No pasaran*.

– O, ja wiem, że tu nie byli Czechy, te szczaly to ich w naszym domu było nawet słuchacz.

– A tu – wskazał ręką Anusewicz – cumował pancernik „Szlezwik—Holsztyn”.

– Z przyjacielską wizytą, *herzlich wilikommen!* – dodał Bernard i obrócił rudlem silnika w ten sposób, że ponton zatoczywszy szerokie półkole płynął teraz w kierunku miasta.

Błaszany kieliszek od piersiówki krążył łagodnie pomiędzy dłońmi podróżników, a portowy zapach smaru, niezbyt czystej wody i ryb zmieszał się po chwili z aromatem kawy, którą z termosu Barbary nalewał do kubka Anusewicz.

– Pienkny dzień, pienkny dzień – powtarzał Winterhaus – nigdy o takim nie śnilem.

– Życie jest piękniejsze od snów – powiedział Anusewicz z przekonaniem – sam pan widzi.

Chciał dodać coś jeszcze, ale rozmarzony Winterhaus zaintonował czystym, mocnym głosem:

*Das Wandern ist des Müllers Lust,  
das Wandern, das Wandern*

i zachęcił ruchem głowy, aby szwagrowie przyłączyli się do niego, na co Anusewicz i Bernard powtórzyli:

*das Wandern, das Wandern*

na co Winterhaus, jeszcze radośniej przeskoczył do incipitu strofy drugiej:

*Vom Wasser haben wir's gelernt*

i wszyscy żeglarze powtórzyli, w doskonale już zestrojonym trio:

*Vom Wasser haben wir's gelernt,  
vom Wasser, vom Wasser.*

I chociaż nie był to rwący potok, nad brzegiem którego stałby młyn i dom z pruskiego muru, tylko kanał portowy, gdzie z brzegów zamiast jodeł strzelały w niebo stalowe dźwigi i żurawie, wszyscy trzej poczuli się w tej chwili rzeczywiście jak wędrowcy, którzy schodząc z gór napotykają urocze, samotne gospodarstwo, a w nim...

Pieśń nie została jednak dokończona. Przy słowach o panu majstrze i pani majstrowej w lewej burcie coś zachrobotało, syknęło i pufnęło, a w sekundę później ponton zaczął pogrążyć się nadspodziewanie szybko w ciemnozielonych odmętach Motławy. Bernard nie zdążył nawet odczepić silnika, który z sykiem i bulgotem pociągnął | sflaczała płachtę na dno.

– Jezus Maria, panie Winterhaus, czy umie pan pływać?! – krzyknął Anusewicz.

Ale Winterhaus, kręcąc się dookoła chaotycznym pieskiem, nie dosłyszał pytania, powtarzał za to wciąż:

– *Mein Gott, mein Gott*, wszystko przepadło, *alles*. I rzeczywiście, nie było czego ratować. Worek z częścią Winterhaus'a i plastikowa torba z monetami Bernarda poszły na dno równie prędko, jak ponton obciążony silnikiem. Tylko Anusewicz, który rozparcelował swój udział po wszystkich kieszeniach marynarki, nie był stratny, ale kiedy zaczęli płynąć w stronę na-

brzeża, ten balast ciążył mu okropnie. Zrzucił buty i odzyskawszy trochę wigoru po pierwszym zaskoczeniu, usiłował jedną ręką opróżnić wypełnione po brzegi kieszenie. Nie było to jednak łatwe. Marynarka stała się sztywna jak pancerz i Anusewicz poczuł, że coraz trudniej utrzymuje się na powierzchni. W końcu, z ogromnym wysiłkiem, wysunął z rękawów najpierw lewe, potem prawe ramię i teraz, znacznie już lżejszy, dopłynął jako ostatni do brzegu.

Z trudem i mozołem sforsowali na koniec oślizły występ nabrzeża. Leżeli na trawie, patrzyli w niebo i nie mówili nic.

– Wszystko się utopnęło – powiedział wreszcie Winterhaus.

– Jak złapię Ruska, co mi sprzedał tę łódź z demobilu, obję mu pysk – odgrażał się Bernard.

Podnieśli się i ruszyli przed siebie. Winterhaus trzymając jeden ocalały but w dłoni, Bernard boso, Anusewicz zaś w szarych skarpetkach. Dopóki chroniły ich cień kasztanów i mury magazynów przy ulicy Wiosny Ludów, na której wylądowali, czuli się jeszcze nie najgorzej, ale gdy przeszli mostek nad kanałem Raduni i w blasku zachodzącego słońca wkroczyli na Targ Rybny, pełen turystów i handlarzy, nie mogli się oprzeć wrażeniu, że oczy wszystkich ludzi skierowane są właśnie na nich. Na szczęście mały hotel przy Straganiarskiej, w którym zatrzymał się pan Winterhaus, był niedaleko i dotarli tam po kilku minutach. Dopiero w pokoju z widokiem na pochyloną wieżę Świętego Jana, Anusewicz poczuł, że w kieszonce koszuła pozostała mu jedna moneta.

– Niech będzie dla pana – podał złoty krążek – na pamiątkę.

– Nie, nie, zatrzymać pchoszę – Winterhaus zmieniał właśnie spodnie – ja zachaz po taksówkę dla panów dzwonię, a wieczorem zapchaszam na kolację.

– Na kolację? – zdziwili się szwagrowie.

– Ja panów pchoszę bende o napisanie mały pchotokól dla moja żona. Że te piniondze sie znaleźli, a potem utopneli, *gut?* Żeby ona nie myślala, że ja nienochmalny. Wystachczy, że ona myśli tak o mój ojciec.

– Niech spoczywa w spokoju – wymamrotał Bernard, gdy wsiadali do taksówki.

Anusewicz był milczący, serce biło mu nieregularnie, czuł duszności i chciał jak najprędzej znaleźć się w domu. Nie słuchał paplaniny kierowcy i Bernarda, kiedy utknęli w korku, obok stoczni i trzech krzyży. Znów tak jak rano po przebudzeniu, trapiły go dziwne myśli. Czy Nina chciała powiedzieć mu coś ważnego? Czy pojawienie się księdza Wołkonowicza obok niej, na łące, zwiastowało jakąś zmianę w jego życiu? To prawda, dzisiejszy dzień był zwariowany pod każdym względem, ale czy o to mogło właśnie chodzić tamtym dwojgu, którzy po tylu latach przekroczyli mroczne i głębokie rzeki zapomnienia, aby pojawić się w jego śnie? I cóż by to w końcu miało znaczyć – monety jakiegoś Niemca, który miał babkę Polkę, opadające na muliste dno portowej rzeki?

Pod przymkniętymi powiekami Anusewicz ujrzał łąki Rudzieńszczyzny rozciągnięte nad zakolami Rudejki, chłopki grabiące siano i pana Żubrowicza, który zjechał linijką z Kniaziowskiej Góry, podśpiewując:

Anusewicz, na kanapie,  
Czemuś się po jajcach drapie.

Była to stara, sąsiedzka zwada. Ojciec Anusewicza odpowiadał zazwyczaj:

A Żubrowicz, stary dureń,  
Folwark przepił, kupił kureń.

O co tam kiedyś poszło i dlaczego Anusewicze nie lubili Żubrowiczów, tego nie wiedział, i wiedział, że nigdy się nie dowie.

Zamknięty w kręgu własnych myśli, pożegnał się z Bernardem i wszedł do przyjemnie chłodnego mieszkania. Wypił parę łyków piwa i położył się na tapczanie.

Kostucha, pozostawiona na biurku, patrzyła na Anusewicza nieruchomym, szklanym spojrzeniem.

– Staruszko – powiedział czule – dzisiaj się tobie wywinąłem. Czy wiesz? O mały włos, a zostałemby topielcem.

I wtedy poczuł coś dziwnego. Najpierw zawirował tapczan, a wraz z nim cały pokój. Znów zahuczała wojskowa orkiestra, tym razem niewidoczna. Kostucha zeskoczyła na podłogę, zakręciła się w tańcu na trzy, zaczęła rosnać, powiększać się z sekundy na sekundę i kiedy doszła już do ludzkich rozmiarów, zrzuciła prześcieradłany habit. Już nie kostucha, ale Nina, dwudziestoletnia, piękna i zalotna, tańczyła na dywanie, jakby specjalnie dla niego. Chciał do niej podejść i tak jak w swoim śnie, który pamiętał przecież doskonale, dotknąć jej ciała. Nina zaśmiała się i umknęła do jadalnego pokoju. Anusewicz poszedł za nią, ale za ścianą nie było już jadalni, tylko zakole rzeki i łąka, ta sama, którą pamiętał ze swojego snu. Zobaczył na niej Żubrowiczów, Anusewiczów i wszystkich innych, o których pamiętał i których dawno już zapomniał. Nina podała mu dłoń i prowadziła do nich, ale ksiądz Wołkonowicz zastąpił im drogę i kazał Anusewiczowi spojrzeć za siebie. Ujrzał własne ciało, które nie należało już do niego, a nad nim pochyloną panią Zofię. Przysiadła na tapczanie i z zaciśniętych palców męża wyjęła złotą monetę. Królewska podobizna nie przyciągnęła jej uwagi, ale rewers z widokiem miasta wydawał się dziwnie znajomy. Nad szafkami, fortami i kanałami, nad wieżą Najświętszej Marii Panny, Mikołaja, Katarzyny i ratusza, nad portem, przedmieściem i Długim Targiem ujrzała pani Zofia trzy hebrajskie litery, które z obłoku wawrzynowych gałązek opromieniały to wszystko, błogosławiąc miastu i światu. Nie potrafiła ich odczytać, lecz domyślając się, co oznaczają, wyszeptła to nie nazwane imię i powstrzymując płacz, zamknęła powieki męża.

– Czy chcesz tam wrócić? – Anusewicz usłyszał mocny głos, który nie należał do księdza Wołkonowicza.

– Nie – odpowiedział – skądże znowu? I ruszył po miękkiej, wilgotnej łące Rudzieńszczyzny przed siebie.



## ULICA POLANKI

Czasami próbowałem wyobrazić sobie tę chwilę właśnie tak: pochylony nad wysokim, orzechowym biurkiem, pradziadek Tadeusz pisze ostatnie zdanie memoriału w sprawie przemysłu naftowego; jest już późno, filujący w lampie knot przez moment odwraca jego uwagę od drobnego problemu orzeczenia, który zaraz zostanie rozwiązany, lecz zanim na czerpanym papierze pojawi się ostatnia kropka i piasek z kałamarza wysuszy linie atramentu, do drzwi mieszkania przy Ujejskiego niespodziewanie ktoś kołacze, w gabinecie pojawia się Maryna:

„Poczta” – mówi jak zawsze lakonicznie. „O tej porze?” – dziwi się pradziadek Tadeusz. „Z Widnia, kurierem” – wyjaśnia Maryna i po chwili dodaje: – „Tylko za osobistym pokwitowaniem wielmożnego pana”.

W galowym uniformie sam poczmistrz Maciejewski czeka w przedpokoju, proszony do gabinetu nie śmie wejść, dopóki – trzasnąwszy obcasami – nie wręczy adresatowi obszernej koperty i nie wyszepce, przejęty:

„To z kancelarii Najjaśniejszego Pana”. W istocie, trzy okrągłe pieczęcie odcisnięte w brązowoczerwonawym laku, z dwugłowym orłem monarchii i godłem rodziny panującej, to oczywisty dowód, że przesyłka nie wyszła z żadnego urzędu lub raczej – że nadano ją z urzędu najwyższego, tam, skąd jak z Olimpu spojrzenie Najjaśniejszego Pana obejmuje całą chwałę i wielkość Cesarstwa.

Jest dzień dwudziesty października 1912 roku. Mój pradziadek Tadeusz, choć nie lubi Habsburgów, należy do generacji dziewiętnastego wieku i listu od monarchy nie może czytać inaczej niż na stojąco, stoją więc w gabinecie wszyscy troje: pokojówka Maryna, poczmistrz Maciejewski i on, profesor mechaniki, niegdyś oficer cesarsko—królewskiej marynarki, odczytujący piękne, kaligraficzne pismo sekretarza, pod którym widnieje sucha pieczęć i podpis samego Franciszka Józefa. Wreszcie podnosi wzrok i bez uśmiechu, jak gdyby chodziło o rachunek z magistratu, mówi:

„Wygląda na to, że na starość zostałem tajnym radcą dworu, czy to nie zabawne?”

Maryna czyni trzykrotny, unicki znak krzyża, a poczmistrz Maciejewski jest zachwycony, bo oprócz spodziewanego cygara i korony napiwku, otrzyma przywilej rozplotkowania tej wiadomości po mieście, zanim napiszą o tym popołudniowe gazety. Już później, kiedy zostanie w gabinecie sam, pradziadek Tadeusz dokończy ostatnie zdanie memoriału w sprawie przemysłu naftowego Galicji i Lodomerii, skierowane do Sejmu Krajowego, po czym zamyśli się nad dziwacznymi kolejami losu. Przyznany mu dopiero co tytuł nie jest czymś nadzwyczajnym: w samym Wiedniu jest co najmniej dwustu tajnych radców, a w całym Cesarstwie, jeśli policzyć i tych, co podali się do dymisji, będzie ich ponad tysiąc, lecz przecież niepowtarzalny smak tej chwili, jej absolutna wyjątkowość wcale nie płynie z nadanego tytułu, który niewiele znaczy, tylko z faktu, że przez krótki moment, potrzebny na podpisanie dokumentu, uwaga monarchy skierowana była wyłącznie na niego, skromnego profesora politechniki, którego patenty, memoriały i wykłady przyniosły cesarsko—królewskiemu państwu wymierną, pewną, choć bezprzesadną korzyść. Następnego dnia pradziadek Tadeusz odwiedzi sklep Aleksandra Kafki przy Placu Mariackim, by tam, wśród szapoklaków, meloników i kapeluszy wybrać nowy cylinder typu Habig, potrzebny mu na krótką uroczystość wręczenia nominacji, która odbędzie się w Wiedniu, już za niecały miesiąc.

Myślałem o tym, kiedy listonosz przyniósł pocztę. Pomiędzy rachunkami, wśród kolorowych reklamówek „Świata Książki”, próbek szamponu, widokówki z Wiednia, przedstawiającej Hofburg, oraz folderu Opla, skryła się biała, podłużna koperta z nadrukiem kancelarii prezydenta. Nie byłem tym specjalnie poruszony, choć naturalnie skłamałbym mówiąc, że kompletnie mnie to nie obeszło: czegoż mógł chcieć ode mnie, pod koniec września 1995 roku, prezydent Lech Wałęsa? Urzędy, o które nie zabiegałem, dawno zostały już rozdane, koncesje przydzielone, hierarchia zasług w boju o niepodległość na wieki ustalona, a tytułów radcy czy też tajnego radcy dworu prezydent Lech Wałęsa nie przyznawał. O cóż więc mogło mu chodzić?

Postanowiłem trzymać swoją ciekawość na uwięzi, epicko wzmóc napięcie i ostatecznie koperta z jego kancelarii pozostawała przez całe popołudnie nie rozcięta. Nie byłem państwowym urzędnikiem, miałem pilniejsze rzeczy. Anula, jak zawsze po moim spotkaniu ze Zbyszkciem, które przeciągnęło się do rana, była zła i wyszła z domu trzaskając drzwiami; miałem posprzątać, zrobić zakupy, zabrać bieliznę z magła, przywieźć ze szkoły Julka, dać mu obiad, zadzwonić do notariusza, zająć się, jednym słowem, domem i sprawami niecierpiącymi zwłoki, co przychodziło mi bez trudu, tym bardziej że czekał na mnie list od pana prezydenta.

Z odkurzaczem w dłoniach, potem w ulicznym korku, także w kolejce do kasy sklepu, starałem przypomnieć sobie te chwile i miejsca, w których nasze drogi przecięły się niezawodnie: najpierw więc bramę stoczni, z której spoglądał papież w kwiatach, potem budynek związku, wreszcie maleńką salę u ojców dominikanów, gdzie konspirowaliśmy w stanie wojennym. Wszystkie te spotkania były przelotne, ledwie że osobiste, prezydent nie mógł mnie pamiętać. Skąd raptem przyszło mu do głowy wysłać list do kogoś, kto, tak jak ja, nie bywał w jego domu ani antyszambrował w przedpokojach Belwederu? To raczej ja pamiętałem go dokładnie, gdy tam, na bramie, w osiemdziesiątym roku mówił: „A jednak zwyciężyliśmy” lub gdy w budynku związku, chodząc z fajką zaglądał do biurowych klitek czasem o ósmej rano, jakby chciał sprawdzić, dlaczego o tej porze nikt nie zabiera się do pracy, i tylko u nas, depeszowych dziennikarzy, widział ruch w interesie, a wtedy zadowolony pykał z fajki, kiwał przyjaźnie głową i mówił: „No, jednak pracujemy”. To raczej ja mógłbym napisać do niego list z wymówką za tamten wieczór u dominikanów, kiedy wkroczył na salę i przerwał Danielowi jego najlepszy wiersz, jakby poeta nie miał prawa go dokończyć, jakby natychmiast musiał przerwać i usunąć się w cień, skoro na salę wkroczył ze swoją świętą Przewodniczącą zdelegalizowanego związku, mówiąc w dodatku głośno: „No, proszę państwa, ja nie mam czasu czekać”, chociaż do końca wiersza było niewiele już linijek, a sam Przewodniczący, zamiast piętnastu umówionych minut, dawał swój wywiad przez godzinę i kwadrans, czym ostatecznie pogrążył oczekujących na swój występ krytyka, felietonistę i malarza, też zresztą zdelegalizowanych dekretem stanu wojennego. Czegoż więc oczekiwać mógł ode mnie, po latach, pan prezydent?

Anula wróciła z pracy, bez słowa sprawdzała efekty mojej działalności, ale – niestety – wszystko było w jak najlepszym porządku, nie miała już za co mnie ofuknąć, z nadzieją dotknęła jeszcze kieliszków i szklanek, lecz szkło umyte było i wytarte wprost z nadzwyczajną starannością, bez śladu choćby jednej linii papilarnej, i niebieskie oczy Anuli, wyrażające umiarkowane zdumienie spojrzały wreszcie na stół, gdzie obok rozciętej koperty z kancelarii prezydenta leżała biała, jasna kartka, na której kilka linijek tekstu czerniło się w równych rządach. Anula chwyciła pismo, przebiegła je szybko wzrokiem i natychmiast powiedziała głośno, z tonem pretensji w głosie:

– No, oczywiście, a ja nie mam się w co ubrać. Zapadła cisza, w której piętnaście lat naszego małżeństwa przeglądało się jak w weneckim zwierciadle. Anula otworzyła szafę i przedko, jakbyśmy już za godzinę mieli pojechać na pięćdziesiąte urodziny pana prezydenta, prze-

kładała sukienki, garsonki, bluzki i zakieoty, z których żadna – jej zdaniem, oczywiście – nie nadawała się na wizytę w prywatnym domu głowy państwa. Stos ubrań rósł jak piramida, Anula mamrotała coś o wyborach, muzyce disco—polo i Kwaśniewskim, lecz prawdę mówiąc w tamtej chwili nie obchodziły mnie zupełnie jej sukienki ani Kwaśniewski z kapelą disco—polo, ponieważ w zaproszeniu pana prezydenta jedno słowo wprawiło mnie w zakłopotanie, a potem podziałało niczym proustowska magdalena, uruchamiając przedziwny, kapryśny i meandryczny mechanizm pamięci. Tym słowem była nazwa ulicy, przy której w małym domku z ogrodem od kilku lat mieszkał pan prezydent, ulicy, która nazywa się Polanki.

Na planie miasta z początku wieku Pelonker Weg ciągnęła się nieprzerwanie od koszar żółtych huzarów, czyli dzisiejszej Słowackiego, aż do Oliwy, gdzie jej wylot wychodził wprost na narożnik opackiego parku. W tamtych czasach nawierzchnia jej pokryta była nie kostką, nie asfaltem, ale kocimi łbami i konne wozy, które zdążyły z Matami, Matemblewa i Firogi w dół, na oliwski targ, skręcając z Hochstreiss właśnie w Polanki, musiały hurkotać niemiłosiernie. Nikomu to nie przeszkadzało, gdyż w tamtej części drogi oprócz huzarskich stajen i koszar skrytych za murami nie było mieszkalnych domów, a tylko łąki, na których wypasano bydło. Domy zaczynały się dopiero od zakrętu, nad którym w 1911 wybudowano most dla kolejowej linii Wrzeszcz—Brętowo—Kartuzy, a mówiąc ściśle, były to okazałe wille, dworki i pałacyki bogatych patrycjuszów, pomiędzy które z czasem, i tylko z rzadka, wciskały się skromniejsze domki. Ta część Polanek – od koszar do zakrętu z mostem – nigdy nie przystawała do charakteru dalszej drogi, nie było tutaj wzgórz, parkowych alei biegnących wprost w ulicę ani bogatych domów; te, które zbudowano u schyłku lat dwudziestych, a potem w spółdzielniach mieszkaniowych, którym patronował Adolf Hitler, nosiły w sobie piętno tymczasowości, pośpiechu dwudziestego wieku, kanciastej i topornej geometrii lat trzydziestych, może więc dlatego, a może z całkiem innych powodów właśnie tę część Pelonker Weg przemianowano na Hubertusburgerallee, pozostawiając nazwę Polanki dla piękniejszej części drogi – tej od zakrętu pod mostem kolejowym aż do Oliwy.

Sama nazwa, być może śmieszna dla przybyszów, mieszkańcom okolicy zdawała się zawsze naturalna: wystarczyło zboczyć z głównego traktu nieco w górę, na wzgórze morenowe, a już obejmowała człowieka łagodna przestrzeń bukowego lasu, gdzie na prześwietlonych polankach, pośród wysokiej trawy, odbywały się rodzinne pikniki i randki zakochanych, a dalej, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się doliny: szeroka Dicke Eche i wąska, prawie jak górski jar, Reinketal, co prowadziła do Oliwy. Ciężkie, dwukonne wozy, skręciwszy pod mostem w lewo, jechały teraz nieco szerszym traktem, mijając ocienione lipami dwory: Schopenhauerów z oficyną zwróconą prosto do ulicy, najokazalszy Montbrillant z górnym i dolnym parkiem, cofnięte nieco ku wzgórzom Soermannów i Morgenrothów, a także tonące w kaskadach ogrodów wille, które co kilkanaście lat zmieniały właścicieli. Latem, gdy matka uchylała okno i czerwcowe słońce, złagodzone cieniem kasztanów, wpadało do pokoju, słyszałem turkot konnych wozów ciągnących do Oliwy i chociaż moja ulica nie nazywała się już Hubertusburgerallee, tylko Chrzanowskiego, a Pelonker Weg niepostrzeżenie stały się Polankami, podobnie jak Dicke Eche – Samborowem, konne wozy hurkotały zupełnie tak samo jak wówczas, kiedy moja ulica była jedynie częścią Pelonker Weg i kiedy mój pradziadek Tadeusz przechadzał się Wałami Hetmańskimi we Lwowie. Już później, kiedy asfalt zastąpił na Chrzanowskiego i Polankach bruki, konne wozy zniknęły całkowicie, a mimo to czasami słyszałem ich turkot, i teraz, gdy Anula rozebrawszy się przed lustrem, przykładła do opalonego ciała raz jedną, raz drugą sukienkę, znów usłyszałem tamto równomierne szłapanie końskich kopyt, znów odprowadzałem wzrokiem konne wozy, które mijają nasz dom, potem tyły zajezdni tramwajowej, zerwany most i wreszcie wjeżdżały na Polanki, ulicę zdziczałych ogrodów, zapuszczonych parków i dworów, które nie miały właścicieli.

Był to jednak moment krótszy niż ten, jakiego potrzebowałem na przypomnienie sobie mapy z początku wieku: czyż mogłem myśleć dalej o tamtych pasmach czasu, kiedy Anula migiała w lustrze raz naga, raz ubrana? Nie, nie pomyślałem wcale o panu prezydencie, któremu zawdzięczałem ów zaskakujący pokaz mody we własnym mieszkaniu, ani o pradziadku Tadeuszu, który jadąc do Wiednia w roku 1912 miał w kartonowym pudle nowiutki cylinder typu Habig, moje myśli krążyły nadal przy Polankach, lecz z całkiem innej już epoki, epoki naznaczonej rewolucyjnym ciałem bujnej Eweliny.

W każdy czwartek Michał wysiadał z tramwaju na przystanku przy uniwersytecie, zazwyczaj czterech minut potrzebował, aby ścieżką pomiędzy ogródkami działkowymi przejść do Polanek, następnych siedmiu, by wzdłuż akademików dotrzeć do willi, gdzie na piętrze, w mieszkaniu pod numerem drugim, oczekiwała go wdowa po kapitanie żeglugi śródlądowej, bujna Ewelina. Nie była wcale gruba ani otyła, jedynie jej miedzianokasztanowe włosy, którymi natura obdarzyła ją ponad wszelką miarę i rozsądek, przydawały wdowie owego wrażenia bujności.

Lubiliśmy stać w oknie studenckiego pokoju i przez lornetkę obserwować, jak Michał opanowanym ruchem poprawia mankiet koszuli pod rękawem marynarki, naciska przycisk dzwonnka, a wreszcie znika w mrocznym, okrytym lizajem portalu willi. I po chwili następowało to, na co czekaliśmy cały tydzień: bujna Ewelina wychodziła na balkon, patrzyła przez chwilę w niebo, zdejmowała ze sznurka swoje ostatnie pranie i z naręczem bielizny w dłoniach, zaciągając kotary na przeszklonych, czteroskrzydłowych drzwiach balkonu, znikała we wnętrzu mieszkania, gdzie już oczekiwał jej kochanek. Nigdy dłużej, lecz również ani razu krócej, nie trwały ich czwartkowe spotkania: dokładnie po półtorej godzinie Michał pojawiał się w drzwiach kuchennych willi i przez zdziczały klomb, w cieniu kanadyjskiego świerka, podążał ścieżką wprost na chodnik, skąd tylko trzy minuty dzieliły go od akademika.

Lubiłem jego niespokojny wzrok, którym omiatał zawsze nasz powielacz, sterty papieru, płachtki hektograficznej kalki.

„Czy to się może udać?” – pytał siadając z kubkiem herbaty w kąciku, ale w tych jego słowach nie było strachu, raczej wątpliwość, czy cała ta zabawa w konspirację, gazety, druki i prelekcje, na które z rzadka tylko przychodzili robotnicy, warta jest naszych starań, skoro po drugiej stronie barykady miast powielaczy mieli rozpylacze, a oprócz tego sprawną maszynę radia, gazet, telewizji.

Byliśmy młodsi od Michała i nikt nie wątpił, że to się musi udać, więc na to konto przeprowadzana była zrzutka, Jarek wybiegał do sklepu pod wieżowcem po chleb, żółty ser, ogórki i wódkę, czasami dostał wszystko, czasami zamiast chleba przynosił tylko herbatniki lub cebulę, lecz wódka była zawsze i zawsze rozmawialiśmy o Rosji – tej Bakunina i Breżniewa, i jeszcze o Berlinie – tym Wschodnim i Zachodnim, a gdy dyskusja dobiegała końca, Michał wypijał ostatni swój kieliszek, brał owiniętą w gazety paczkę bibuły, żegnał się z nami i wychodził. Nie odjeżdżał z tego samego przystanku, na którym wysiadał w południe, idąc do bujnej Eweliny, szedł Polankami do rogu Bażyńskiego, mijał po drodze platany z dziedzińca starej karczmy, gospodarstwo ogrodnika, potem obecny dom pana prezydenta, aż wreszcie skręcał w dół, przecinał linię tramwajową i po piętnastu minutach wsiadał do kolejki elektrycznej na stacji Gdańsk—Przymorze, która kiedyś, przed zbudowaniem falowców i punktowców, też nazywała się Polanki.

Zanim tam jednak dotarł, w pokoju wybuchała kłótnia o bujną Ewelinę; Michał nie wspominał o niej nigdy, za to czasami, gdy spostrzegł na swojej marynarce długi, miedzianokasztanowy włos, nawet w ferworze dyskusji zdejmował go dwoma palcami i puszczał delikatnie w powietrze jak motyla, a wówczas, z pochyloną lekko głową, przypominać musiał swoich

przodków, spolszczonych książąt ruskiej krwi: hetmanów, wojewodów i biskupów, których portrety dawno już zetlały, a kości rozrzucone na Litwie, Podlasiu, Wołyniu, Ukrainie czekały zmartwychwstania w obrządku rzymskim, nie cerkiewnym. Tak, kłóciliśmy się o bujną Ewelinę, a raczej o jej stosunek do ostatniego z rodu: czyjej uczucie nie było przypadkowo podszyte chęcią pozostania księżną? Jakkolwiek żyliśmy w kraju proletariackiej dyktatury, to jednak dla pewnego gatunku kobiet ten rodzaj zamążpójścia mógł się wydawać nadzwyczaj atrakcyjny, ba – wymarzony; lecz bujna Ewelina nie ułatwiała nam zadania i nigdy nie pokazywała się z Michałem w mieście, być może ich czwartkowe schadzki, okryte nieprzesadną mgielką tajemnicy, były jedynymi, na jakie sobie pozwalali; zapewne musiała się domyślać naszych burszowskich fascynacji i niewinnego podglądactwa, gdy w dni wiosenne, na rozpalonym słońcem balkonie, rozkładała leżak i jednym szybkim ruchem zdejmowała stanik, obnażając swe niezbyt duże, lecz przepięknie ukształtowane piersi, które podobnie jak jej twarz, szyję i obojczyki oplątywała burza miedzianokasztanowych włosów, unoszonych przez wiatr z zatoki.

– O czym ty myślisz? – Anula wkładała na siebie przed lustrem białą, zwiewną sukienkę, która na pewno nie nadawała się na pięćdziesiąte urodziny pana prezydenta. – Jeżeli o tym, że pojedziemy tam taksówką, to zapomnij o tym.

Wiedziałem, że kwestia taka padnie nieuchronnie, jak zdanie antycznego chóru, lecz że tak prędko, na cztery dni przed przyjęciem na Polankach? Nie, tego nie mogłem się spodziewać i wspomnienie bujnej Eweliny razem z zapachem farb drukarskich, który unosił się nad Polankami pod koniec lat siedemdziesiątych, umknęło prędko w niebyt, na rzecz całkiem innego skojarzenia i obrazu: ujrzałem, jak moja babka Maria przymierza przed lustrem balową suknię i przenosząc wzrok ze zwierciadła na obecnego przy niej męża, mówi zaniepokojonym głosem:

„No, chyba jednak weźmiemy Ambrożego”.

Na co dziadek Karol odpowiada stanowczo:

„Wykluczone, będę prowadził sam”.

A wtedy ona:

„To ja nie jadę”.

I już zaczyna się pomiędzy nimi sprzeczka, a w chwilę później awantura, albowiem co roku, gdy otrzymywali zaproszenie na bal noworoczny od prezydenta Mościckiego, dziadek pragnął prowadzić ich automobil sam, przez śniegi, wioski i zawieje, uwielbiał wprost po przygodach jazdy zajeżdżać ze stłuczoną latarnią lub wygiętym jak kalosz błotnikiem na wawelski dziedziniec, by spojrzeć na zegarek i triumfalnie oświadczyć babce:

„No, przecież mówiłem, że zdążymy”.

Na co ona szeptała cicho:

„To już ostatni raz, Karolku” – chociaż wiedziała doskonale, że za rok o tej samej porze dziadek da wolne Ambrożemu, zapakuje do kufra swój frak, cylinder i lakierki, po czym w skórzanej kurtce i goglach kupionych u Tertila siądzie za kierownicą mercedesa, by o parę minut poprawić swój sportowy wynik na trasie Mościce—Kraków.

„Czy mężczyźni zawsze muszą zachowywać się jak dzieci?” – myśli babka Maria przed lustrem. – „Czy te ich polowania, rajdy, aeroplany, zjazdy, te ich wieczory w myśliwskim klubie z galonami whisky zawsze będą ważniejsze niż nasz spokój, niż nasze kobiece pragnienie ładu i bezpieczeństwa?”

„Obawiam się, że tak” – odpowiada mina dziadka Karola. – „Przecież nareszcie żyjemy w wolnym, własnym kraju, bez Habsburgów, Hohenzollernów i tych okropnych Romanowych, dopiero teraz cieszą nas bale, smakują whisky i cygara”.

Zawzięcie kłóć się przed lustrem: ona mu przypomina ich zeszłoroczną trasę, podczas której dwa razy utknęli w zaspie, złamali resor, omal nie dachowali w rowie, on przypomina jej swój ostatni zakup: specjalne opony Dunlopa i łańcuchy sprowadzone ze Szwajcarii. I ostatecznie jadą sami, bez Ambrozego, już za Dunajcem wóz wpada w pierwszy poślizg, trzeba przywołać chłopca z końmi, dziadek radośnie odnotowuje opóźnienie, bo teraz będzie je nadrabiać, teraz nareszcie będzie walczyć z przestrzenią, czasem i pogodą.

„Tylko do czego ja jestem mu potrzebna?” – zamyśla się babka Maria na tylnym siedzeniu, oboje przecież znają prezydenta, jeszcze ze lwowskich czasów, kiedy jej ojciec wykładał na politechnice, a ojciec Karola administrował rządową fabryką tytoniu, aż do pamiętnego lata 1914 roku, gdy w Sarajewie zamordowano następcę tronu, Ferdynanda.

Anula przymierzała teraz biały szal, a ja odprowadzałem wzrokiem zgniłozielone pudło mercedesa, w którym oboje, Maria i Karol, jechali na noworoczny bal do prezydenta Mościckiego już po raz ostatni w życiu, bynajmniej nie dlatego, iżby mój dziadek rozbił się na drodze: był to trzydziesty dziewiąty rok i następnego balu już nie było, następny bal na Wawelu wydawał gubernator Frank, ten sam, co troszczył się o polskie lasy, których nie starczy na szubienice dla Polaków, następny rok mój dziadek Karol spędzał już w Oświęcimiu, z niskim numerem wytatuowanym na przedramieniu, a babka Maria robiła przecier z brukwi, czekając na jakieś wiadomości zza obozowych drutów.

– Więc pojedziemy naszym samochodem – Anula skończyła przymierzanie – będziesz prowadził tam i z powrotem.

– Czy wiesz – próbowałem oponować – jaki tam będzie na Polankach tłok? I gdzie ja zaparkuję? Taksówka jest o wiele wygodniejsza!

– Taksówka spowoduje, że będziesz nadużywał – Anula nie zostawiała cienia wątpliwości – a ja nie mam ochoty słuchać tych twoich politycznych bzdur.

– Co masz na myśli – byłem podminowany – mówiąc o politycznych bzdurach?

W krótkich, rzeczowych zdaniach wspomniała tamten wieczór: minister robił coraz większe oczy i szybko dolewał sobie whisky, podczas gdy ja wyłuszczałem mu koncepcję unii Kaszubsko—Galicyjskiej z eksterytorialną autostradą przez Mazowsze, którą to Unię Północy z Południem powinno scalać, błogosławić i dźwżyć berło Habsburgów, bo przecież nie Hohenzollernów ani w żadnym wypadku Romanowych.

„Problemy korytarza są zawsze wybuchowe” – minister drapał się za uchem. – „Poza tym Habsburgowie, no wie pan, nie za bardzo...”

Na co go niemal przekonałem, że właśnie Habsburgowie najprędzej nauczą się po polsku, a zwłaszcza po kaszubsku, i jako najstarsza w Europie dynastia pozbawiona tronu, chętnie przyjmą to polityczne zamówienie, byle nie przeszkadzali nam za bardzo warszawscy urzędnicy.

„A ba, warszawscy urzędnicy” – minister był pod wrażeniem autostrady. – „Z tym najtrudniejsza sprawa, oni nie zgodzą się na korytarz, nigdy...”

I podczas gdy przy stoliku w Cotton Clubie robiło się coraz gęściej i ciekawiej, podczas gdy niemal ustaliliśmy już z ministrem wszystkie szczegóły Unii Gdańska z Krakowem, która jak piękny łuk tęczy wzniosła się ponad warszawską sejmokracją, Anula zła i obrażona wzięła taksówkę i pojechała do domu, właściwie na co zła i za co obrażona, nie wiedziałem, bo czyż nie byliśmy wreszcie we własnym, wolnym państwie, czyż pogawędka z ministrem w klubowej atmosferze mogła być czymś nagannym, czyż whisky i cygara nie smakowały w końcu jak należy, czyż wreszcie polityka nie mogła stać się poezją, natchnioną przez muzy twórczością, w której fantazja i polot liczą się bardziej niż statystyka, niż zwykłe chamstwo i kręactwo?

– Właśnie dlatego – Anula skończyła swe krótkie przemówienie – nie lubię takich spotkań: rozkręcasz się i gadasz politykom takie rzeczy, że nigdy nie wiadomo, czy jesteś całkiem normalny..

– To raczej oni – teraz byłem już oburzony – są stuknięci, czy wcale tego nie dostrzegasz? Tu wymieniałem litanię partii, liderów i najświetniejszych ustaw, od których mogło się zakreślić w głowie. – Kto tutaj jest normalny?

– Kobiety – krótko ucięła Anula – tylko one.

Z tak apriorycznym sądem trudno mi było wchodzić w spór, w dodatku Julek włączył telewizor i na ekranie zajaśniała opalenizna Kwaśniewskiego: na scenie zbitej z desek grał zespół disco—polo, kandydat na najwyższy urząd przeginał się tanecznie, zdjął marynarkę, poluzował krawat i nawet mrugnął okiem, na co tłum zareagował wybuchem entuzjazmu, zwłaszcza kiedy zespół zaśpiewał o wspólnej Polsce dla Polek i Polaków, na co Anula zaśmiała się serdecznie, a Julek jęknął:

– Jezuu, czy jego nie stać na wynajęcie lepszych klezmerów?

I już chcieli załatwić Kwaśniewskiego, już zamierzali pozbyć się go z naszego domu, przełączyć kanał na inny, ale nie dopuściłem do tego i zawłaszczwszy pilota, wpatrywałem się uważnie w twarz kandydata na najwyższy urząd, a im mocniej jaśniała ona na ekranie, tym bardziej odczuwałem wiew nostalgii za inną epoką przy Polankach: tą, która nie znała jeszcze zapachu drukarskiej farby, podziemnych druków, konfiskat, wyroków za kolportaż i piersi bujnej Eweliny.

Czyż mogłem się mylić? Tak, tę samą twarz z telewizora, którą rozżarzał teraz magiczny rytm disco—polo, widziałem w sali uniwersytetu, pod wielkim transparentem „Socjalistyczny Związek Studentów Polskich zaprasza do debaty”. Przyszliśmy w kilkunastu niezrzeszonych, nie żeby robić zamieszanie – któż wtedy mógł się na to ważyć – lecz żeby zadać kilka pytań, ot tak po prostu: czy nie można by książeczek pracy wydawać także niezrzeszonym? Czy nie można by poprawić sytuacji w państwie przez wolne wybory? Czy nie można by zarejestrować jakiejś innej organizacji, która nie miałaby w statucie marksizmu—leninizmu?

Kwaśniewski za każdym razem odchrząkiwał w swój charakterystyczny, miękki sposób i mówił: „Wykluczone”, a potem dodawał jeszcze: „Nie, to nie przejdzie, koledzy, uwierzcie mi, naprawdę”, czym wkurzał nas okrutnie i wcale nie dlatego, że wszystko było z góry wykluczone, lecz że nazywał nas „kolegami”, co już doprawdy zakrawało na szyderstwo: pociągi przyjaźni, gwiazdziste zloty, transparenty, obozy pracy to była jego, a nie nasza specjalność, to była jego, a nie nasza wiara, to była jego gra, nie nasza, więc kiedy mówił nam „koledzy”, kiedy się do nas zwracał w ten niesłychanie uprzejmy i wyszukany sposób, traktował nas tak, jakbyśmy grali w jego drużynie, choć subiektywnie mogło się nam zdawać, że gramy przeciw niemu, i taka była właśnie – na owe czasy błyskotliwa – metoda Kwaśniewskiego: nie walił z grubej rury jak bolszewicki tuz, nie nazywał nas swołoczą, reakcją, bandą czy choćby zachodnią agenturą, o nie, on nas przyłączał dialektycznie, niepostrzeżenie, krok po kroku, do swojej partyjnej awangardy, on nam dowodził, że wszystkie nasze rozterki, bunty i uczucia scalają się w jedno myśli ognisko i nawet jeśli jesteśmy „przeciw”, to przecież tak naprawdę, nie zdając sobie z tego sprawy, jesteśmy nieuchronnie „za”.

I nawet, owszem, owo swoiście logiczne arcydziełko działało na niektórych, a zwłaszcza na niektóre: kilka przyszłych nauczycielek, niczym kółko różańcowe otoczyło po spotkaniu kolegę Kwaśniewskiego i zapytaniom ich nie było końca: czy będzie można wyjechać do NRD? A co ze żłobkiem dla studenckich dzieci? Czy będą utrzymane ulgi tramwajowe? I czy w programie filolożek nie ma zbyt dużo godzin starocerkiewnej gramatyki?

Kolega Kwaśniewski rad był tym problemom: któż bowiem, jeśli nie on – Przewodniczący Rady Uczelnianej – obiecać mógł praktyki wakacyjne w NRD? Jaka – jeśli nie jego organizacja – wpłynąć mogła na senat uniwersytetu, by zechciał ufundować żłobek? Któż inny miał się zająć zniżkami na bilety tramwajowe? Tylko w dziedzinie starocerkiewnej gramatyki kolega Kwaśniewski był nieco powściągliwy, lecz jego niechęć dla tej sprawy nie miała wcale przyczyn politycznych:

„Problemy gramatyki zostawmy gramatykom” – powiedział uśmiechnięty, na co przyszłe nauczycielki zareagowały niemalże z entuzjazmem, tak samo jak tłum wyborców, który obserwowałem teraz w telewizji, kiedy kandydat na najwyższy urząd, po zakończeniu tańca disco—polo, uniósł obie dłonie zaciśnięte w jeden splot i krzyknął:

„Jestem z wami!”

– Popatrz, zupełnie się nie zmienił – Anula była pod wrażeniem owego scenicznego gestu.

Być może miała rację, w istocie, kandydat na najwyższy urząd wyglądał jak przed laty: młodzięczy, wyluzowany w każdym calu, lecz jedno się zmieniło niewątpliwie. Teraz Kwaśniewski nie używał już słowa „wykluczone”, teraz miał w pogotowiu inne słowo i kiedy po estradowych trudach napierał nań tłum fanów, kiedy pytano o zasiłki, aborcję, mieszkania, konkordat, pegeery i emerytury, on odpowiadał: „Oczywiście” i uśmiechnięty jak Karel Gott rozdawał paniom autografy; szczególnie właśnie paniom podobał się ten chłopak: europejski, swojski, prowincjonalny i stołeczny, niezmordowany działacz młodzieżowy.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Anula wychodziła właśnie do kuchni. – Jeżeli tak się denerwujesz, to po co oglądasz telewizję?

Ale ja wcale nie byłem zdenerwowany. Przypominałem sobie tamten wieczór przy Polankach: po debacie w sali uniwersytetu chcieliśmy jeszcze gadać przy piwie i przy winie, lecz studencki klub „Wysepka” był tego dnia dla nas zamknięty. Za drzwiami, na których przyczepiono kartkę z napisem „Impreza zamknięta”, w huku dyskotekowej muzyki skręcały się wyłącznie ciała zrzeszone.

– Pieprzę ten ich śmierdzący Hades – powiedział Roman. – Chodźmy do mnie.

Lecz w małym pokoju akademika było zbyt ciasno, ruszyliśmy przez Polanki, paręset metrów, w Dolinę Samborową, tam, pod dębami, zasiedliśmy przy ognisku i chociaż nikt z nas nie miał wtedy nawet najmniejszego zamiaru bawić się w politykę, pytanie „Co robić?” wisiało w powietrzu niczym ogromny znak zapytania, co chwila ktoś wznosił zdrowie kolegi Kwaśniewskiego albo jego organizacji, a wówczas, wznosząc butelki piwa jak puchary, niczym sofoklesowy chór śpiewaliśmy na dwa głosy: „Wykluczone, wykluczone”.

W ten sposób, nieświadomie, witaliśmy nową epokę przy Polankach, której symbolem stała się później bujna Ewelina. Mijały lata, zmieniały się pokoje, powielacze i punkty kontaktowe, lecz ona towarzyszyła nam przez cały czas, jakby trzymała za nas kciuki, jakby z balkonu, na którym widywaliśmy ją często, chciała nam przesłać znak:

„Chłopaki, będzie dobrze”.

Dopiero w pewien październikowy czwartek osiemdziesiątego roku Michał odwiedził nas o półtorej godziny wcześniej niż zwykle, czego – w ferworze sporów o nowy statut nowego związku studenckiego – zrazu nie spostrzegliśmy, i nie pytany przez nikogo zakomunikował:

– Ewelina jest w szpitalu, to nic groźnego, tylko badania, wiecie.

Ktoś nawet wyraził mu współczucie, ktoś prosił ją pozdrowić, lecz wtedy byliśmy już w takim szwungu, w takim rozpędzie i gorączce, że nikt nie przejął się tym zbyt. Potem, w stanie wojennym, kiedy umarła bujna Ewelina, nikt z nas nie poszedł na jej pogrzeb. Niektórzy byli usprawiedliwieni – trudno im było mieć przepustkę z więzienia czy obozu, inni, zajęci własnym życiem lub w dalszym ciągu konspiracją, być może przeoczyli ten nekrolog w prasie – skromne nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele ewangelicko—augsburskim nieopodal plaży, a trumnę z ciałem Eweliny złożono, do dnia sądu, w sopockiej ziemi komunalnego cmentarza.

„Gdzie jest jej dusza teraz – pomyślałem – skoro ewangelicy nie uznają czyśćca?”



– O, Ponton! – Julek przełączył kanał i wskazał na Wałęsę. – Zobacz, jak się nadyma!

W istocie, prezydent Lech Wałęsa nie wyglądał w kadrze najlepiej: trochę zdenerwowany, a może i zmęczony, tłumaczył reporterom, że podczas drugiej kadencji, jeśli tylko wygra te wybory, tak samo będzie za, a nawet przeciw w temacie lewej nogi.

– Dlaczego Ponton? – spytałem Julka. – Tak go nazywacie w szkole?

Julek pstryknął pilotem i na niemieckim kanale komercyjnym nieśmiertelny John Wayne w kowbojskim kapeluszu, mierząc z colta do złoczyńcy, wycedził: *Hande hoch!*

– O Jezu! – mój syn był pełen irytacji. – Do czego służy ponton? Do przeprawy przez rzekę albo do ratowania tonących w czas powodzi. No, nie rozumiesz tego?

Patrzyłem, jak złoczyńca sięga po broń, lecz szeryf John Wayne był szybszy od rewolwerowca i celnym strzałem powalił go na ziemię.

– Bez ciebie ani rusz – odpowiedziałem.

– Wątek jest jak ponton – Julek uśmiechnął się do Johna Wayne’a – bo na pontonie nawet komuna nie utonie.

– Co to za język – Anula wróciła do pokoju – i czy naprawdę nie macie innych już tematów, nic tylko na okrągło polityka?

Być może powinienem był przypomnieć tamtą, cudowną telewizję, w której każdy dziennik zaczynał się jak msza od rytualnych słów „pierwszy sekretarz naszej partii” lub w dni świąteczne – „uchwałą komitetu centralnego powołano”, lecz Julek znów przełączył kanał i na ekranie pojawił się rosyjski helikopter: smuga rakiety poszybowała w dół jak bryzg jasnego światła i czeczeńska chałupa w ułamku sekundy zamieniła się w obłok rozżarzonego popiołu. Następny kadr pokazał zwęglone i poskręcane ciała, potem powstańcy odbijali wieś, Rosjanie dobijali rannych, „Allah jest wielki – mówiła brodata twarz dowódcy – da nam zwycięstwo nad tymi synami szatana”. Helikoptery Mi–28 znów unosiły się nad górami w promieniach zachodzącego słońca, warszawski indeks giełdowy nie miał się tego dnia najlepiej, pogodę zapowiedziano zmienną, z przejaśnieniami przechodzącymi w przelotne opady lub odwrotnie, a rosyjska armia, która zaledwie od paru lat nie stała w Polsce, przeżywała moralny kryzys i zaopatrzeniowe kłopoty.

Z kopertą, na której widniała pieczętka kancelarii prezydenta, wyszedłem do swojego pokoju i odłożywszy zaproszenie, zacząłem szperać w starych fotografiach. Zapewne lato, gorące i upalne, lecz który był to dokładnie miesiąc? Prawdopodobnie sierpień: komunikaty radiowe, wypełnione po brzegi słowami „Praga”, „Hradec Kralove”, „bratnia pomoc”, smrodliwie unosiły się w podwórkach, lecz w naszym domu tego akurat popołudnia mówiło się o panu Franiu, malarzu i artyście, który jako jedyna osoba w naszym mieście najpierw uzyskał paszport, a potem udał się do Rzymu i wreszcie powrócił był szczęśliwie z wiecznego miasta, z za kurtyny.

„Co to jest *performance*”? – spytałem ojca przy herbacie. – „Czy to coś w rodzaju przedstawienia?”

„O nic nie pytaj, lecz zapamiętaj wszystko, co będą widziały twoje oczy i co usłyszą twoje uszy” – oświadczył uroczyście.

Na takie niesłychane *dictum*, musiałem ćwiczyć cnotę cierpliwości, lecz ojciec, skoro tylko mineliśmy zerwany most i wkroczyliśmy na Polanki, uchylił nieco rąbka tajemnicy.

„Otóż *performance* to taki rodzaj dzieła, w którym widzowie stają się uczestnikami zdarzenia”.

„Czy to zdarzenie jest właśnie sztuką?” – przerwałem mu.

Szczerze był zakłopotany. Gdybym zapytał go o stożek Macha, drugą zasadę dynamiki Newtona, a nawet zakrzywioną czasoprzestrzeń, wyjaśniłby mi wszystko: rzeczowo, przystępnie, lakonicznie. Lecz jego inżynierska dusza nie czuła się zbyt pewnie na terytorium sztuki, zwłaszcza tak niebywale nowoczesnej, awangradowej, jaką być miało owo tajemnicze i nie do końca zrozumiałe *performance*, przygotowane niemal w konspiracji przez pana Franio, na jednej z polan, przy Polankach.

„Pan Franio” – westchnął ojciec – „będzie ożywiał jeden z obrazów włoskiego mistrza. To znaczy” – ciągnął z namysłem – „najpierw zaprezentuje nam kopię tego płótna, a później upodobni zebranych uczestników wydarzenia do postaci z tego właśnie obrazu. Rozumiesz?”

Skinąłem głową, chociaż idea nie była dla mnie całkiem oczywista.

„Tak” – powiedziałem – „ale po co to robi? Czy nie wystarczy mu sam obraz, to znaczy jego kopia?”

„Artyści” – ojciec uniósł palec – „to wiecznie niespokojni i często niepoważni ludzie. Widocznie samo płótno nie czyni go szczęśliwym, a czy wiesz” – zręcznie zmienił wątek obok starej i zaniedbanej willi – „że w tym domu mieszkał prawie do końca wojny Artur Greiser?”

Mineliśmy balkon, z którego szef gdańskiej NSDAP spoglądał zapewne często na oliwskie wzgórza, tak, był to ten sam balkon, na którym wiele lat później zobaczyć miałem bujną Ewelinę w blasku miedzianokasztanowych włosów, lecz wówczas, w sześćdziesiątym ósmym, kiedy sierpniowym popołudniem maszerowaliśmy z ojcem przez Polanki, gdyby nam ktoś powiedział, że jeszcze za naszego życia Rosjanie wyjdą z Polski, że wcześniej będzie „Solidarność”, stan wojenny, wreszcie wybory, że to wszystko wydarzy się naprawdę, a jeszcze na dodatek że domek, obok którego zaraz przejdziemy, kupi kiedyś laureat pokojowej nagrody Nobla, który z elektryka stanie się prezydentem, o nie, tego przecież nie mogliśmy znieść spokojnie, bo wydawałoby się nam, że ktoś, kto snuje takie wróżby, nie tylko jest wariatem, lecz że okrutnie i cynicznie szydzi z naszej ówczesnej sytuacji, o której lepiej było milczeć niż dyskutować chociażby z sąsiadem.

Tak zatem kiedy szukałem fotografii z tamtego, pierwszego w moim życiu *performance*, myślałem o przyszłości, że zawsze, mimo tysięcy specjalistów, prognoz, uczonych przewidywań i ekspertyz, jest całkowicie zasłonięta, niejasna i nieprzewidywalna jak chimeryczne bóstwo, które czasami tylko i na chwilę daje nam to, o czym marzyliśmy długie lata. A przeszłość? Byłaby tylko pozółkłym kartonikiem zdjęcia, kosmykiem włosów, taktem zapamiętanej melodii, nieobecny już w powietrzu zapachem leśnych ziół, widokiem twarzy, które po latach z takim trudem wydobywamy z pokładów niepamięci?

Tak, niewątpliwie, pan Franio był mistrzem sztuki persfazyjnej. Kiedy mój ojciec ujrzał kopię płótna (był to *Koncert wiejski* Giorgione’a), powiedział:

„Wykluczone, ze względu na te panie i na mojego syna”.

Lecz jego przyjaciel z czasów studiów zaproponował, żeby choć przymierzyli stroje, na co się zgodził z ociąganiem, a kiedy już zasiedli na trawie, w bufiastych spodniach, biletach, jasnych koszulach, pochylając się nad winem i owocami, kiedy panie zaczęły się rozbierać, mój ojciec znowu protestował:

„O tym w ogóle nie było mowy. Franek”.

Na co artysta przekonywał, że tak pięknych modelek jak te, świeżo przybyłe do jego akademii, ojciec nie znajdzie nawet we Włoszech, a co do dzieci, to czyż w kościołach, muzeach i podręcznikach nie widzą one stokroć marniejszych golizn, nie tak wysmakowanych jak owe dwie panie, które – niech no tylko spojrzy na płótno – tak doskonale przypominają swoje prototypy?

„Franek, ty zawsze lubieś się wygłupiać” – ojciec nie czuł się jednak na swoim miejscu. – „Ale żebym ja?”

Na co pan Franio wyjął gitarę i zagrał czarującą frazę, wypili wina, panie dyskretnie przysiadły wokół nich, a delikatne plamy słońca, które oświetlało całą czwórkę poprzez kopuły

liści, pełgały na ich twarzach migotliwie. O czym rozmawiali? Co śpiewali? I jakie pili wino w sierpniu, sześćdziesiątego ósmego, na polanie leżącej nie opodal Polanek? Nie pamiętałem tego.

A fotografia, którą wreszcie odnalazłem? Fotografia przypominała o czymś innym: gdy rozbawieni konwersacją, muzyką i ową niewinną, choć jakże nieuchwytną atmosferą włoskiego renesansu, usłyszeli trzask migawki, natychmiast odwrócili głowy w kierunku obiektywu i kompozycja, tak pieczołowicie stylizowana przez pana Frania, została naruszona. Na płótnie Giorgione'a żadna z czterech osób nie patrzy w kierunku malarza. Scena jest obiektywna w tym znaczeniu, że widz ma wrażenie bycia niewidzialnym świadkiem. Natomiast na zdjęciu, które obracałem teraz w palcach, wszyscy, odwróciwszy głowy w kierunku soczewki aparatu, nagle wybałuszili oczy.

„Natychmiast schowaj ten aparat” – ojciec omal nie powstał z trawy. – „Jak ci nie wstyd?”

„Nie, nie, to bardzo dobrze, tylko musimy się ustawić dokładnie jak na płótnie” – mitygował pan Franio. – „To przecież pierwszy w naszym mieście, awangardowy *performance*!”

Lecz chwila, dana im raz, tylko ten jeden i jedyny, nigdy już nie wróciła. Zza buków wybiegł czarny dog, wpadł w środek towarzystwa, polizał jedną z modelek, wyrzucił dzban z winem i merdając ogonem, z biretem pana Frania w zębach, biegał wokół bukolicznej grupki jak szalony. Za dogiem nadchodziła pani. Dostojna, w jasnej sukni, z gałązką sosny w dłoni, była to żona malarza i artysty.

„Jak śmiesz” – powiedziała. – „I to w dodatku przy dzieciach! A panu, panie inżynierze” – to było do mojego ojca – „szczerze się dziwię, że też przynajmniej pan nie ma oleju w głowie!”

Ojciec próbował coś tłumaczyć, niezdarnie przywoływał sądy pana Frania, ale to tylko pogorszyło sytuację: w żonę artysty wstąpiła bowiem furia i na nic zdały się pojednawcze słowa. Kiedy zaś nazwała obie miłe panie „dziwkami”, wybuchła awantura, ponieważ pan Franio, broniąc czci swoich modelek, godności sztuki oraz czystości idei *performance*, doprowadził żonę do prawdziwego szału. Chłszcząc ich pełne ciała sosnową gałązką, nie dała im się nawet ubrać, pan Franio przywoływał dogę, który rozwlóczył po polanie najrozmaitsze części damskiej garderoby, i tylko mój ojciec zachował się przytomnie: skoczył w krzaki leszczyny i szybciućko, niemal na jednej nodze, zamienił włoski strój na swe normalne spodnie i koszulę. Bardzo się chyba wstydził wszystkiego, co zaszło na polanie, i chyba dlatego wracaliśmy lasem, nie Polankami. U wylotu Zielonej Doliny, tam gdzie krzyżuje się ona z łąkami Samborowa, ojciec zatrzymał się nagle i powiedział: „Oddaj ten film”.

Wykręciłem rolkę z mojego „Druha”. Ojciec schował ją do kieszeni. Szliśmy przez bujną, wysoką trawę. Jej słodki zapach rozptywał się w nadchodzącym zmierzchu, podobnie jak *crescendo* świerszczy i daleki, ostry krzyk jastrzębia kołującego nad wzgórzami.

„Popatrz” – ojciec wstrzymał mnie za rękę. – „Czy widzisz ten samochód?”

Pośrodku doliny, oblana łuną zachodu, stała błękitna skoda—octavia. Obok auta, na kocu, leżeli nieruchomo mężczyzna i kobieta.

„To jest pan Cyrson” – wyszeptał ojciec. – „Ze swoją kochanką”.

Widok byłego właściciela byłego sklepu kolonialnego w byłym Wolnym Mieście Gdańsku nie wywarł na mnie szczególnego wrażenia. Podobnie jak słowo „kochanka”, które znałem jedynie z wierszy Mickiewicza. Ale samochód, lśniący powabnym blaskiem i smukłą linią karoserii, tak niepodobny do ciężkich i topornych warszaw, moskwiczy czy enerdowskich petek, ów czeski model skody, stojący pośród wysokich, falujących traw, w ciepłe, sierpniowe popołudnie sześćdziesiątego ósmego roku, na zawsze zapadł w moją pamięć, niczym symbol tamtego niespokojnego lata. W epoce bujnej Eweliny, gdy przy Polankach pożyczałem książki Hrabala, Kundery, Škvoreckiego, gdy z wypiekami pożerałem ów opis aresztowania czechosłowackiej delegacji, jaki zostawił Zdenek Mlýnar, zawsze przypominałem sobie tamto popołudnie, nad którym unosił się duch Giorgione'a, europejskiej awangardy oraz technicznej myśli Czechów, w postaci błękitnej, pięknej skody.

– Co tam oglądasz – Anula weszła do pokoju – nie będziesz dziś pracował?

Pokazałem jej widokówkę, na której Hofburg był już tylko wielką muzealną trumną; na drugiej stronie Liza donosiła, że po sprawdzeniu wszędzie, gdzie było to możliwe, musi mnie rozczarować: wiedeński antykwariusz (ten opisany w powieści *Demony* Heimito von Doedera) nie mógł być krewnym mego pradziadka Tadeusza, a zbieżność nazwisk – jak to zazwyczaj dzieje się na styku życia i powieści – miała charakter przypadkowy.

Anula mówiła coś o prezydencie, chyba że nigdy nie był w Wiedniu, nie byłem pewien, czy ma rację, lecz ona, odpływając w sen, zupełnie mnie już nie słuchała, podobnie jak cztery dni później, kiedy spocony, zły, zdenerwowany, szukając długo miejsca na zaparkowanie samochodu, powiedziałem:

– A widzisz, trzeba było wziąć taksówkę.

Było zimno i siąpił drobny deszcz. Niezbyt silny, lecz przenikliwy wiatr znad morza podnosił co chwilę poły namiotu ustawionego w ogrodzie i zanim party zaczęło się na dobre, nad Polankami zapanował ostry, jesienny chłód. Gdy tylko zabrzmiały pierwsze dźwięki muzyki disco—polo, przypuszczałem, że to sąsiedzi pana prezydenta – niechętni jego drugiej kadencji – uruchomili za płotem sto kilkadziesiąt watów. Ale Anula poprowadziła mój wzrok w głąb ogrodu i tam, pod małym daszkiem na estradzie, ujrzałem wykonawców. W wilgotnym powietrzu zadźwięczały gitara, perkusja, elektroniczna klawiatura i głos solisty pociągnął pierwszą strofkę:

„Niech żyje wolność, wolność i swoboda”.

Struchlałem, kiedy w rytmie tych dźwięków, niemal tanecznie zbliżył się do mnie ksiądz prałat, w swej nieśmiertelnie białej, admirałkiej marynarce. Anula czmyhnęła w tłum, ujrzałem ją po drugiej stronie namiotu, gdzie rozmawiała z Donaldem i jego żoną Małgorzatą, tymczasem ksiądz prałat z tacy niesionej przez kelnera podjął dwa kieliszki szampana, podał mi jeden z nich i rzekł:

– Za zdrowie pana prezydenta!

A kiedy upiłem łyk, natychmiast zaczął mówić, że mój ostatni film podobał mu się bardzo, że ubogacił, zakorzenił i tak dalej, nie śmiałem przerwać, nie śmiałem mu wyjaśnić, że nigdy w życiu nie nakręciłem jednej sceny, nawet kamerą amatorską, i w momencie gdy zaczerpnął powietrza, zapytałem wskazując na puste poły jego nieskazitelnie białej marynarki:

– Czemu tak skromnie dzisiaj? Na co uściślił:

– Ma pan na myśli moje ordery?

– Ordery – powtórzyłem jak echo – odznaczenia, wstęgi i buła... – ugryzłem się w język.

– Ach, jestem tutaj *incognito* – bynajmniej się nie spieszył. – I wie pan, nigdzie nie można się pokazać —dotknął marynarki – żeby zaraz nie napisali o mnie „próżny”.

Skinąłem głową ze współczuciem, do prałata zbliżał się następny rozmówca i zgodnie z paskudnym obyczajem owych stojących przyjęć, mogłem oddalić się, nie dokończywszy wątku. Gdzieś w tłumie mignęła sylwetka pana prezydenta, widocznie skończył witać gości i wreszcie mógł odetchnąć, muzycy nieustannie grali, pierwsze porcje sałatek i zakąsek spływały na talerze, nie byłem jednak głodny, chciałem przedostać się na drugą stronę, gdy nagle i niechcący potrafiłem w tłoku siwowłosego generała: jego posepna, nigdy nie uśmiechnięta twarz, jego spojrzenie twarde i marsowe z bliska wydały się jeszcze bardziej nieprzystępne niż na ekranach telewizji.

– Bardzo pana generała przepraszam – wyrzuciłem jednym tchem – taki tu tłok.

– O, nic nie szkodzi – uważnie mi się przyjrzał – ale, niech mi pan powie, co pan porabia teraz?

Dziwny był nacisk, jaki położył na ostatnie słowo, bo przecież nigdy, na żadnym raucie ani tym bardziej poligonie nie byliśmy sobie przedstawieni, nie znaleźliśmy się wcale, a na dodatek jego przenikliwe, inteligentne spojrzenie musiało wyczuć we mnie – i to na pierwszy rzut oka – materiał niewojсковy.

– No cóż – odebrałem szklaneczkę usłużnie podaną przez kelnera – pracuję tutaj, w Gdańsku.

– W Gdańsku? – generał zdziwił się spokojnie. – A nie żal panu Warszawy?

Już chciałem odpowiedzieć: „Bierze mnie pan za kogo innego”, ale gdy pomyślałem, że po takim zdaniu, jego pochmurna mina stanie się gradowa, a świdrujące spojrzenie przewierci mnie na wylot, rzuciłem krótko:

– Nie, absolutnie nie, panie generale – i oddaliłem się pozostawiając go na placu boju.

Po drugiej stronie nie było wszakże już Anuli ani Donalda z Małgorzatą, musieli odejść do innego kółka albo kłębili się przy stole, który teraz przeżywał najcięższe obleżenie, w równym i monotonnym rytmie disco—polo. Tak, przez chwilę znów pomyślałem o Kwaśniewskim: tej samej muzyki, którą pan prezydent bawił teraz gości, on używał na politycznych wiecach i mityngach, wprawdzie nie wszędzie, ale często i czyż nie byłoby zabawnie, gdyby tych dwóch, zamiast spotykać się w telewizyjnym studio, zamiast się pocić w blasku jupiterów, gdyby tych dwóch nagrało kiedyś wspólną płytę disco—polo? Tak, była to myśl błazeńska i głupia z bardzo wielu powodów, ale czy wówczas, we wrześniu 1995 roku, nie miałem prawa przypuszczać, że niezależnie od wyniku tych wyborów zwycięzcą nie będzie wcale Kwaśniewski czy Wałęsa, lecz wszechobecny, narodowy kicz?

– Z nieba pan mi tu spadł – leciwa dama zbliżyła się tymczasem do mnie – czy weźmie pan udział w jubileuszu naszej dobroczynnej fundacji?

– Dlaczego ja? – byłem serdecznie już poirytowany, albowiem tak jak prałat i generał dama wzięła mnie za kogoś innego. – Zupełnie się do tego nie nadaję!

– Panie prezesie – rozpoczęła swoją przemowę —musi pan wiedzieć...

Lecz dalej już jej nie słuchałem, tylko kiwając najprzejmiej głową, myślałem o tamtym, deszczowym i pochmurnym dniu sierpnia, w którym mój dziadek Karol opuścił gmach so-pockiego Kurhauzu i statkiem „Titania” udał się do Gdańska. Tak, widziałem go, jak maszeruje Długim Pobrzeżem w tłumie podobnych mu turystów, przystaje obok poleru, robi zdjęcie Motławy z holownikiem w tle i jest poirytowany z powodu deszczu, z powodu babki Marii i z powodu sfastyk; deszcz nadchodzi falami co chwila i co chwila dziadek musi rozkładać parasol, chowając aparat i przewodnik do plecaka, babka Maria jest tego dnia niedysponowana i spędza cały dzień w hotelowym pokoju, a sfastyki wiszą wszędzie: na frontonach kamienic, na przedprożach, nawet na ulicznych latarniach, idzie więc dalej, aż do Węglowego Targu i bierze stamtąd – zniechęcony do dalszego zwiedzania – taksówkę do Sopotu, gdzie babka Maria, oczekując go w hotelu, nadal ma migrenę, dziadek wkłada więc kilkanaście guldenów do pugilaresu i udaje się do kasyna, gdzie najpierw w oko przegrywa prawie wszystko, a potem podchodzi do ruletki, gdzie machinalnie stawia dwa ostatnie sztony na *rouge* i wygrywa, a wtedy, unosząc wzrok z wirującej kulki na krupiera, omal nie wykrzyknie:

„Ależ to ty, von Moll, co tutaj robisz?!”

Lecz wzrok byłego kapitana cesarsko—królewskiej baterii ciężkich dział mówi mu wyraźnie:

„Nie teraz, Karolu, pogadamy później...” – i pokazuje mu, żeby obstawił *noir*, dziadek wygrywa niezłą sumkę i nie odchodzi od stołu, dopóki piramidki sztonów nie urosną przed nim jak nowojorskie drapacze, dopóki Gustaw von Moll nie skończy swojej krupierskiej zmiany, a wtedy, już przed kasynem, padają sobie w objęcia, bo przecież ich koleżeństwo z okopów

wielkiej wojny to coś więcej niż przyjaźń, więc dziadek zaprasza Gustawa do „Kakadu”, nie opodal, ale kapitan von Moll szepce; „Nie, tam roi się od tajniaków, a zresztą, muszę być dzisiaj u Hoffmanna, może pojedziesz ze mną?”

Przez chwilę trwa rozmowa:

„Nie wypada” – mówi mój dziadek. – „Nie znam tego Hoffmanna i jest już dosyć późno”.

„To nic nie szkodzi” – mówi kapitan von Moll. – „Ernest Teodor to wyjątkowy człowiek, artysta” – dodaje po namyśle. – „Na pewno się ucieszysz”.

Biorą więc spod hotelu taksówkę, lecz zgodnie z prośbą kapitana, gdy czarny dodge wiezie ich w stronę Oliwy, gdy skręca obok opackiego parku, gadają tylko o pogodzie, hotelach, kursie guldena i połączeniach kolejowych. I wprawdzie dziadek wciąż jeszcze nie wie, jakie koleje losu zagnały von Molla tutaj, do Wolnego Miasta, i uczyniły zeń krupiera, to jednak zaczyna się domyślać, że nawet tutaj, w Wolnym Mieście, czasami lepiej wysiąść jest z taksówki o dwie przecznice wcześniej. Ostatni odcinek drogi idą więc przez Pelonker Weg piechotą, w strugach deszczu, który jak murmurando jest tłem narracji kapitana.

„Czyż jego los” – zastanawia się dziadek Karol przeskakując rwące strugi i kałuże – „nie jest przypadkiem odwrotnością mego?”

Kapitan stracił swoją ojczyznę, kiedy rozpadła się monarchia. Rzuciwszy się w wir interesów, postradał cały swój majątek. Później, przez parę lat, chciał to nadrobić w Gujanie Holenderskiej, ale prócz nowych długów, malarii i rany postrzałowej nie przywiózł do Wiednia nic cennego. Może skutkiem tych okoliczności przystał do socjalistów? Ale i ten wybór kapitana Gustawa von Molla okazał się pechowy. Dokładnie w dzień *Anschlusu* musiał opuścić Austrię, a Wolne Miasto Gdańsk, owa enklawa pod skrzydłami Ligi Narodów, wydała mu się jedynym miejscem w Europie, gdzie można jeszcze mówić po niemiecku, bez obrzydzenia i poczucia wstydu.

„Sam widzisz” – ciągnął już przy frontonie domu, który wynurzył się nagle z ciemności parku i alei – „jak bardzo się myliłem”.

– Pani się myli – przerwałem dobroczynnej damie —nie jestem właścicielem żadnej firmy, nie mogę wspomóc tak szlachetnego przedsięwzięcia.

Pewna, że kłamię, spojrzała na mnie bazylijskowym wzrokiem i odpłynęła wreszcie w przeredzony tłum. *Garden—party* przy Polankach znacznie przed czasem miało się ku końcowi. Atmosferyczny, melancholijny niż, który rozciągnął się nad miastem i zatoką, jakby niepomny zasług jubilata, chciał zepsuć urodziny prezydenta. Zapewne też dlatego – i nie bez wahań – zdecydowano prosić gości na pokoje. W kuchni, w przylegającym do niej saloniku, zrobiło się nadzwyczaj tłoczno. Podano kawę, likiery i herbatę.

– A, jesteś tutaj – powiedziała Anula.

– Tak – powiedziałem.

– Zobacz, zaraz zaśpiewa – mruknął Donald.

– Chyba falsetem – wyszeptalem.

Na kanapie, pośród wianuszka roześmianych pań, opowiadając anegdoty, z kieliszkiem musującym w dłoni, chrześcijańsko—narodowy lider co chwila poprawiał swoją grzywkę, która, bynajmniej nie zalotnie, wciąż opadała mu na czoło.

„Żal, żal, za dziewczyną, za zieloną Ukrainą...” – zaintonował niezbyt pewnie, lecz kiedy przyszło do pierwszego refrenu, w którym domagano się wina i pochówku na tejże Ukrainie, wianuszek pań i asystujących wokół oficerów podjął chóralnie nieśmiertelną, patriotyczną pieśń kresową.

Tymczasem dziadek Karol i kapitan Gustaw von Moll zasiedli już do stołu.

„Proszę wybaczyć” – powie Ernest Teodor – „lecz moja żona nie czuje się dziś dobrze”. – I kiedy obaj panowie skłonią ze zrozumieniem głowy, dokończy: —”Zapewne przez tę pogodę”.

Deszcz bębni nieustannie w szyby salonu, a dziadek Karol, który z początku rozmowy przysłuchuje się tylko, zaczyna rozumieć, że jest oto świadkiem pożegnania i że jego przyjaciel Gustaw von Moll już jutro wsiądzie na norweski statek, którym popłynie najpierw do Lizbony, a stamtąd liniowym pasażerem do Nowego Jorku. Ci dwaj ufają mu, gdy bez ustanku rzucają szyderstwami w Lobsacka, Greisera i całą ich brązowosrączkową bandę, gdy ustalają adres, na który Gustaw będzie pisał listy, gdy mówią o papierach, jakie należy za wszelką cenę wywieźć stąd jak najdalej. Być może niepotrzebnie dziadek ofiarowuje swoją pomoc:

„Nie wiem, w czym rzecz, panowie” – mówi. – „I nawet nie chcę wiedzieć, ale za dwa dni będę już w Polsce, daleko od ich macek, możecie na mnie liczyć.

Zapada cisza, którą wypełnia bicie zegara, szcęk widelców i bulgot wody w rynnach.

„Panie Huelle” – odzywa się wreszcie Ernest Teodor z lekkim, przyjaznym uśmiechem – „ja wiem, że wy, Polacy, jesteście pierwsi w konspiracji, lecz nieco pana rozczaruję, ta rzecz, o jakiej była mowa, nie ma znamienia polityki, a co do pańskiej propozycji, która przynosi panu zaszczyt, powiem krótko: dziękuję panu za gotowość oddania tej przysługi”.

„Ernest ma na myśli” – Gustaw von Moll nalewa sobie wina – „że jak załatwią się z Czechami, to wy jesteście numer jeden w kolejce do *Anschlusu*”.

„My” – odpowiada spokojnie dziadek Karol – „będziemy przecież walczyć”.

„Tak” – przerywa mu Ernest Teodor – „co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości, ale jak długo?”

I znów w salonie przy Polankach zapada cisza, tym razem dłuższa niż poprzednio, bo żaden z nich – ani Austriak bez ojczyzny, ani Polak na wakacjach w Wolnym Mieście, ani też tego miasta obywatel – nie może sobie wyobrazić w sierpniu trzydziestego ósmego roku, jak długo potrwa wojna, o której wiedzą wszyscy trzej, że jest nieunikniona.

Spojrzałem na posępną twarz siwowłosego generała. Stał, z założonymi w tył rękoma, patrząc jak inni na rozśpiewaną grupkę. Jego mina, nie wróżąca Sztabowi Generalnemu nic dobrego, zrobiła się jeszcze posępniejsza, gdy lider z grzywką wstał z kanapy i rozsuwając nieco wianuszek podochoconych pań, zaintonował, niejako wprost do oficerów: „My, pierwsza brygada”.

Tuż obok nich przechodził właśnie pan prezydent, lecz nie przyłączył się do chóru i nawet nie obdarzył go uśmiechem. Może nie lubił lidera z opadającą na czoło grzywką? A może był zły na żonę? W ostateczności goście mogli się rozjechać, nikt nie obiecał im pogody, a teraz, w skromnych wnętrzach niewielkiego domku, który nie był pałacem ani nawet willą, zaprowadzili nagły i gruntowny chaos. A może, usłyszawszy słowa legionowej pieśni, pomyślał o tym, że tamta niepodległość, która przetrwała ledwie lat dwadzieścia, miała – przynajmniej na początku – ów słodki, ów jedyny, niepowtarzalny smak zwycięstwa, wywalczonego z bronią w rękę? Bo ta obecna, której on sam był żywym już symbolem, choć osiągnięta z takim trudem, nie bez ofiar, ta obecna miała w sobie coś niejasnego, zabrakło w niej momentu triumfu, lecz nie zabrakło kompromisów z tymi, którzy przez lata odmawiali nam wolności, którzy przez lata zamykali ją do więzień, którzy przed laty strzelali jej o świecie w tył głowy, którzy na wiecach gładko mówili: „Wykluczone”, a teraz śmiali się z własnych nikczemności, teraz

szydzili z prezydenta, że głupek, nieokrzesany, ambicjoner, że jego język polski sprawia trudności gramatykom i tłumaczom, bo brzmi jak mowa robotnika z narzędziowni.

„A cóż w tym złego, do cholery” – pomyślałem. – „Cóż w tym złego”.

I nagle poczułem straszny wstyd za pomysł z tamtą płytą disco—polo, bo przecież, mimo wszystkich grzechów pana prezydenta, zestawić go w jednej kapeli z Kwaśniewskim Aleksandrem, niczym na barokowym maszkaronie, to byłby pomysł taki, jakby barona von Trote posadzić w konfesjonale, gdzie spowiednikiem jest Gavrilo Princip, jakby Quislinga przyrównać do bohaterów Telemarku albo świętej pamięci prymasa Wyszyńskiego zrównać z pamięcią o prokuratorze Wyszyńskim, czyli pomieszać to, czego nie należało łączyć, jeśli nie było się postmodernistą albo tekściarzem disco—polo.

Prezydent przeszedł mimo chóru i zatrzymał się obok swojej żony. Pani Danuta, jak zawsze skupiona i uważna, ubrana z powściągliwą i nienaganną elegancją, mówiła coś do niego.

– Jeśli nie on, to kto? – Donald podał mi koniak.

– Może masz rację – powiedziałem – ale ta twoja partia to nie powinna się nazywać Unia, tylko Mumia, bo kiedy zbliżają się wybory, budzi się z poobiedniej sjesty i strzela kulą w płot.

Donald zgrzytnął zębami i w ruchu jego szczęk można było odczytać narastającą irytację, chyba nie tylko na mnie.

– Nie – wtrąciła się Anula wskazując na panią Danutę – ona byłaby znacznie lepszym prezydentem. Kobiety mają więcej taktu i politycznego zmysłu, niż wam się wydaje.

– Wam – spytałem – to znaczy komu mianowicie?

Ale Anula zignorowała moją zaczepkę i wygłosiwszy skrócony kurs umiarkowanego feminizmu, syknęła do mnie:

– Jeżeli mamy wracać razem, więcej już nie pij.

– Tak – powiedziałem – zaraz jedziemy.

– Nie mówię, że się mamy śpieszyć – dodała – poszukam jeszcze koleżanki, widziałam ją przed chwilą.

Musiałem iść do toalety. Za salonikiem, na końcu korytarza, do jasnych drzwi ustawiała się długa kolejka. Szczęśliwie nikt mnie nie zagadnął i oczekując cierpliwie na swoją kolej, mogłem przenieść się myślami do innego domu przy Polankach, tego, gdzie pięćdziesiąt siedem lat wcześniej mój dziadek Karol, Gustaw von Moll i Ernest Teodor Hoffmann zjedli już właśnie pożegnalną kolację.

„I to wszystko zebrał pan sam?” – pyta dziadek wskazując na biblioteczną szafę, za której szybą, na honorowym miejscu widnieje zeszyt rozmów Beethovena obok listu Schuberta, partytury Lortzinga i autografu Chopina. – „To wszystko?” – powtarza z niedowierzaniem dotykając srebrnego fletu króla Prus, Fryderyka, batuty Wagnera, skrzypiec Lipińskiego, spinek Liszta, notesu Brahmsa, zegarka Roberta Schumanna i ulubionego młynka do kawy Mendelssohna.

„Rozwijam kolekcję ojca” – odpowiada Ernest Teodor. – „Ale tego nie kupiliśmy w żadnym antykwariacie” – i podaje dziadkowi niewielki, podziurawiony przez mole kapelusz. – „To pozostawił w tym domu cesarz Francuzów, w czerwcu 1807 roku”.

Mój dziadek bierze w dłonie napoleoński pieróg i nie wie, co powiedzieć; przypomina sobie jedynie, jak przez mgłę, nazwiska z książki Askenazego: Dąbrowski, Giełgud, Downarowicz i chyba jeszcze Lefebvre, marszałek.

„Widzę, że pan mi nie dowierza” – śmieje się Ernest Teodor. – „To normalne, aż osiem dworów przy Pelonker Weg ubiega się o tę jedną noc z życia cesarza, ale pokażę panu coś jeszcze, to jest koronny dowód”.



Pochylają się nad mapą wszyscy trzej i odczytują notatkę, którą czerwcowego wieczoru 1807 roku pozostawiła na wojskowym papierze ręka Lefebvre'a:

„Na osobistą prośbę gospodarzy, najjaśniejszy cesarz Francuzów pozostawia tu swoje imię, wieczne jak piramidy”.

„Co za styl miał ten syn młynarza” – żartuje Gustaw von Moll. – „I pomyśleć, że był marszałkiem, a ja, syn barona, skończyłem wojnę w randze kapitana!”

Pod notatką Lefebvre'a widzą jak na dłoni zamaszty podpis Napoleona.

„Ten dom” – wyjaśnia Ernest Teodor – „należał wówczas do francuskiej rodziny”.

Kolejka do toalety niewiele się skróciła. Przeszypując z nogi na nogę wyobrażałem sobie obłoczki kurzu, jakie opadały na Polankach tamtego czerwcowego poranka spod końskich kopyt, gdy Napoleon w asyście marszałka i szwadronu polskich kirasjerów opuszczał Oliwę, udając się w kierunku Gdańska przez Wrzeszcz. Jeżeli nie skręcili w miejscu dzisiejszej Bażyńskiego na główny trakt – myślałem – i posuwali się dalej Polankami aż do potoku Strzyży, to dokładnie sto osiemdziesiąt osiem lat temu musieli przejechać obok nie istniejącego jeszcze wówczas domu pana prezydenta, a potem, skręciwszy nieco na wschód, obok domu, w którym spędziłem dzieciństwo i który wówczas, w roku 1807, tak samo jeszcze nie istniał. Wiadomo, że domy spalone i zburzone mają swoje widma, ale czy domy, które jeszcze nie istnieją, również je posiadają? Na to pytanie Platon odpowiedziałby twierdząco, Arystoteles wzruszył ramionami, a Schopenhauer puknąłby się w czoło i ryknął: „Młody człowieku, czy nie lepiej zajmować się filozofią po oddaniu moczu, niż przed?”. Lecz toaleta była tylko jedna i w wąskim przejściu robiło się coraz bardziej tłoczno.

„Odwiozę panów, oczywiście” – mówi Ernest Teodor i wszyscy trzej zbierają się do wyjścia.

Po chwili gospodarz niknie w ciemnościach, Gustaw von Moll i mój dziadek słyszą jego kroki oddalające się na zwirowej alejce, u której wylotu, tuż obok oficyny znajduje się garaż. „Popatrz” – mówi dziadek – „przestało padać, a ja tyle rzeczy miałem ci jeszcze do powiedzenia”.

„Tak” – kapitan von Moll wyciąga paczkę papierosów vineta – „chyba się już nie zobaczymy”.

„Może po wojnie” – żartuje dziadek – „w jakimś amerykańskim kasynie”.

„O, tak” – śmieje się von Moll – „ty będziesz krupierem, a ja przyjdę z portfelem wypchanym pieniędzmi”.

Wielki jak szafa buick zajeżdża pod gazon i kiedy pasażerowie utoną wygodnie w skórzanym kanapie, automobil rusza powoli w dół, lipową aleją, wyjeżdża na Pelonker Weg, sunie wzdłuż śpiących, zamglonych ogrodów dokładnie tą samą trasą, którą sto trzydzieści jeden lat wcześniej posuwał się ze swoim polskim szwadronem mały kapral z Korsyki. Przez Hochstriss, Adolf Hitler Strasse i Kastanienweg buick wjedzie na drogę do Brzeźna, by dotrzeć wreszcie po piętnastu minutach do Neufahrwasser, gdzie w nędznej, czynszowej kamienicy nad kanałem ostatnią noc na poddaszu spędzi Gustaw von Moll. Scena pożegnania jest krótka i rzeczowa. Ernest Teodor podaje kapitanowi małą skórzaną teczkę i mówi mu: „Powodzenia”.

Dziadek Karol podaje Gustawowi dłoń i mówi:

„Mam przecucie, że jednak się spotkamy”.

Samochód zawraca i kiedy znów znajdzie się na Adolf Hitler Strasse, kieruje się ku Sopotom. A kiedy jest już blisko „Casino Hotel”, Ernest Teodor zwraca się do dziadka:

„Czy pan domyśla się, co jest w tej teczce?” „Nie, i nie zamierzam pytać” – odpowiada dziadek. „No to powiem panu” – Ernest Teodor skręca już na hotelowy podjazd. – „To operowa partytura”.

„Pańska?” – pyta dziadek czując już w dłoni chłód niklowanej klamki.

„W pewnym sensie moja” – mówi Ernest Teodor. – „I mam nadzieję, że za parę lat usłyszysz pan o tym więcej”.

„Tak, za parę lat” – powtarza dziadek. – „Życzę tego panu z całego serca i dziękuję za niezwykły wieczór”.

Już w hotelowym hallu, odprowadzany do windy sennym wzrokiem portiera, dziadek Karol usiłuje przypomnieć sobie nazwę ulicy, przy której nocował niegdyś Napoleon: „Pelonker Weg czy raczej Pelonker Strasse?” —zastanawia się już w pokoju, przy oknie, za którym rozciąga się jasny pas plaży i niewiadome, zaciągnięte mgłą morze. Babka Maria obudzi się, gdy Karol wyjdzie z łazienki, jego opowieść o niezwykłym spotkaniu z Gustawem von Moll, kolacji przy Polankach i kolekcji Ernesta Teodora bardzo ją zaciekawi, tak, nie ma już migreny i jutro, w ostatni dzień pobytu, koniecznie przejdzie się po plaży, a wieczorem pojedą razem do Waldopery na *Parsifala*, w którym wystąpić ma młoda i nie znana jeszcze nikomu Norweżka.

Dziadek opowiada Marii o autografie cesarza Francuzów, notatce marszałka Lefebvre’a, a także partyturze, którą ten dziwny Niemiec polecił wywieźć Gustawowi, a kiedy snuje tę opowieść, nawet nie może się domyślać, że jego wnuk, który za dziewiętnaście lat —kiedy nie będzie już Wolnego Miasta, wolnej Polski i Niemieckiej Rzeszy – że jego wnuk zamieszka nie opodal Polanek i usłyszysz tę historię z ust babki Marii pewnego zimowego popołudnia, a potem, przez lata będzie ją nosić w sobie jak niepotrzebny balast, być może tylko po to, żeby przypomnieć ją sobie we wrześniu 1995 roku, na pięćdziesiątych urodzinach prezydenta, w jego skromnym domku przy ulicy Polanki.

W kolejce byłem już czwarty, jednakże ta pozycja, z tak wielkim trudem osiągnięta, coraz mniej wydawała się bezpieczną. Raptownie opuściłem szereg i wyszedłem na dwór: wiatr ustał i przestało padać, pod namiotem znów zaroilo się od gości. Z tęsknotą spojrzałem w głąb ogrodu, lecz anarchiczna myśl, by tam, ukrywając się za krzewem jaśminu, przez moment udać posążek Bachusa, ta myśl wydała się zbyt prostacka, jak na ówczesne miejsce i czas akcji. Nie, nie miałem już innego wyjścia: po paru krokach minąłem bramę posesji i szybko, jakbym był chodźcą, maszerowałem wzdłuż Polanek, do pierwszej ścieżki, która wiodła od ulicy w las. Wreszcie, uwolniony od terroru fizjologii, mogłem głęboko zaczerpnąć powietrza. Poczulem pierwszy, melancholijny wiew jesieni: w zapachu zeschniętych liści, wilgotnej kory, buczyny i żołądki, nadchodziła pora długich spacerów i rozważań. Droga kręciła się wokół wzgórza, szedłem powoli i nie myślałem już o panu prezydencie, Kwaśniewskim Olku, muzyce disco—polo, dziadku Karolu, bujnej Ewelinie, Anuli, korsykańskim kapralu ani tajnym radcy najstarszej monarchii w Europie, myślałem o Arturze, tym małym, pięcioletnim, który uciekał przed swoją nianką z dworskiego parku właśnie tutaj i zatrzymywał się na wzgórzu, skąd widać było wówczas zatokę, statki i poprzednie stulecia splecione w murach opactwa. Zawsze wzruszała mnie ta scena: niania wspina się powoli i nie bez trudu w górę, jej suknia zahacza o kolczaste gałęzie gęstych jeżyn, a zrezygnowany głos nawołuje:

„Arturku, dziecko drogie, nie doprowadzaj mnie do rozpacz, Arturku, kochanie, powiedz mi, gdzie jesteś?!”

Lecz mały Arturku to nie jest postać z Andersena, o nie, już raczej z braci Grimm. Widzę go, jak oparty o pień sążnistego buka, przysłonięty kitą paproci, śledzi uważnie nianię i obojętnym wzrokiem odnotowuje każdy jej upadek, zadrażnienie palca, zerwanie rąbka nowej

sukni, widzę ten jego uśmiech, kiedy zrezygnowana wraca na dół, przebiega przez park i wpada do dworu z okrzykiem:

„Proszę pani, proszę pani, Arturek znów ma humor!” Dopiero gdy pani Joanna zacznie się wspinać na wzgórze, Arturek ze śmiechem wychodzi ze swojej kryjówki i biegnie prosto w objęcia matki, która – aczkolwiek niezbyt mocno – skarci go w przytomności niani.

Tak, lubiłem też sobie wyobrazić tamten dwór przy Polankach, pusty, z nie ogrzаныmi pokojami, przez których mroźną amfiladę przechadza się dojrzały Artur, niecąc w sobie płomienny żar krytyki Kanta, obracając na wszystkie strony jego stwierdzenie, że aby pojąć coś jako wielkość, trzeba przedstawić to jako wielokrotność pewnej jedności; albo gdy snuje właśnie – zapatrzony w jesienne liście buków – myśl o przemijaniu i pamięć podsuwa mu wers 153 z VI księgi *Iliady*, po którego przytoczeniu Artur zapisze w swoim brulionie: „Tak więc wszystko trwa tylko przez chwilę i szybko zmierza do śmierci”; lubiłem sobie wyobrażać to miejsce przy Polankach właśnie w ten sposób, chociaż niewiele to miało już wspólnego z prawdą: mały Artur został wzięty na kolana przez matkę, która tłumaczy mu, że wyjeżdżają z Gdańska już na zawsze, więc obraz kilkudniowego pakowania i dworu pośród wzgórz zostaną w jego fenomenalnej pamięci na zawsze, podobnie jak zdanie z pamiętnika matki, która napisze:

„Król pruski napadł miasto i ssał z niego soki, aż do zupełnego wyczerpania”.

Byłem zmęczony. Na podwórzu pana prezydenta dogasali w grupkach ostatni goście.

– Gdzie ty się podziewałeś?! – Anula spojrzała na moje lekko zabłocone buty i zdjęła szybko z marynarki zeschnięty liść. – Nie było cię na „Sto lat” i na występie baletowym.

– Bardzo żałuję – wymruczałem – ale przed jazdą wołałem się przewietrzyć.

– Przynajmniej raz – zlustrowała mnie uważnie. – No, idę po płaszcz.

Po chwili samochód toczył się wolno, jakby pod prąd.

– Pamiętasz nasz pierwszy spacer przez Polanki? —zapytałem.

– Nie – ziewnęła Anula – było ich tyle, że wszystkie są jak jeden, stary film.

Nie pojechałem przez Morenę. Na Słowackiego skręciłem w dół i przyśpieszyłem nieco w pustym o tej porze Wrzeszczu. Zapewne Ernest Teodor ułożył się już do snu, Gustaw von Moll nerwowo sprawdzał skrytkę w swojej walizce, dziadek Karol śnił o jesiennym polowaniu w Karpatach Wschodnich, babka Maria słuchała bicia fal o pale sopockiego mola, mały Artur śledził lot ćmy wokół lichtarza, korsykański kapral wyjeżdżał z Gdańska przez Niziną Bramę, a pan Franio na balkonie willi rozmawiał z bujną Ewelina, malując ją jako Dianę w manierze Caravaggia, z księciem Michałem jako Borgią w tle. Po chwili w domu patrzyłem, jak Anula rozbiera się do snu: zrzuca czólenka, wypływa z czerni sukienki, halki i stanika, zdejmując spinki, klipsy, szybko mówi:

„Dobranoc” i zapada w objęcia Morfeusza, który swoim niewidzialnym skrzydłem przykrywa delikatnie jej wtuloną do poduszki głowę. W moim pokoju, na biurku tajnego radcy dworu, leżało pismo z kancelarii pana prezydenta i kartka z Wiednia przedstawiająca Hofburg. Wyjąłem czystą kartkę i zapisałem na niej tylko dwa słowa: „Ulica Polanki”. A potem dopisałem: „Memoriał w sprawie trzydziestu ośmiu lat”.

Znów padał deszcz. Zapewne także nad Oliwą, której dachów, ulic, ogrodów i zaułków nie zamieniłbym na żadne inne w świecie.